SĘDZIOWSKA KASTA POD OCHRONĄ

Ziemkiewicz: Komisja Europejska paraliżuje polskie sądownictwo

TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 7/514 13–19 LUTEGO 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy rosyjski separatyzm doprowadzi do rozpadu Rosji? – rozważa Mikołaj Iwanow

CZYM JEST SUPER BOWL ŚWIĘTO AMERYKAŃSKIEGO FUTBOLU

Pierwszą wojnę światową roznieciła propaganda wojenna

# JAK SIĘ ZACISKA PĘTLA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829 07 9 772299 850000 Nakład: 52 500 egzemplarzy

## Bruksela zamyka dla aut spalinowych centra polskich miast. To początek

epraca.pl id512146251

HISTORIA DO RZECZY

# NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

## ROK 1933. WYBÓR NIEMCÓW: HITLER KANCLERZEM, CZYLI POCZĄTEK KOSZMARU

– mówi prof. Grzegorz Kucharczyk, piszą Piotr Semka, Jakub Ostromęcki, Grzegorz Janiszewski, Michał Mackiewicz i inni

**TWARZE 1863 R. –** Marka Gałęzowskiego o wolnych Polakach opowieść datowana, a POWSTAŃCZE DAGEROTYPY prezentuje Tomasz Stańczyk

**BEZRADNY KONSUL II RP –** prof. Mikołaj Iwanow o dyplomatach polskich na Białorusi w latach 1922–1939

**JAN PAWEŁ II I RONALD REAGAN –** z amerykańskim historykiem prof. Paulem Kengorem rozmawia Piotr Włoczyk

**ZA DŹWINĘ DO PRACY –** Sławomir Koper przypomina sezonową przedwojenną emigrację Polaków na Łotwę

**PÓŁKSIĘŻYC ZASZEDŁ POD LEPANTO –** Maciej Rosalak o zwycięstwie floty chrześcijan nad Turkami w 1531 r.

**UPADEK ERICHA KOCHA –** Piotr Zychowicz: były gauleiter Prus wcale nie miał w celi kolorowego telewizora

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**


eprasa.pl d51214625f

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

# Między potęgą a słabością

W środę wieczorem Sejm, jak można się było spodziewać, odrzucił poprawki Senatu i ustawa nowelizująca prawo o Sądzie Najwyższym wylądowała na biurku prezydenta Andrzeja Dudy. Co zrobi z nią prezydent – nie wiem. Wprawdzie ustawa jest pod każdym względem fatalna: pogłębia chaos, praktycznie uniemożliwia dochodzenie sprawiedliwości, prowadzi do niekończącego się przeciągania nawet zamkniętych procesów, wreszcie pozbawia głowę państwa ważnej, pozytywnej prerogatywy – prawa do ostatecznej nominacji sędziów – ale wszystkie te wady mogą się okazać niewystarczające, by prezydent zdobył się na odwagę i wyrzucił do kosza potworek legislacyjny spreparowany pospołu przez Komisję Europejską i premiera Mateusza Morawieckiego.

Zwyczajnie nie wiem, co zrobi prezydent, ale, z całym szacunkiem dla jego urzędu, wydaje mi się to nie najbardziej istotne. To, co najważniejsze, już się wydarzyło. A tym, co najważniejsze, była spektakularna kapitulacja rządzącej większości w stosunku do szantażu Brukseli. Pierwszy raz można się było naocznie przekonać, ile są warte zapowiedzi władzy, kiedy zderzy się z przemagającą siłą polityczną po drugiej stronie. Polska po raz pierwszy pokazała, że kto chce na niej wymusić ustępstwo, musi tylko odpowiednio dokręcić śrubę.

Cała historia ma – jakżeby mogło być inaczej – wątki kabaretowe. Deklaracje niezłomności skończyły się w chwili, kiedy okazało się, że Bruksela nie przekaże Polsce funduszy z Krajowego Planu Odbudowy. Opowieści o wstawaniu z kolan rozpłynęły się jak mgła, kiedy tylko nogą tupnęła pani Ursula. Zresztą, żeby było zabawniej, tę broń do dyscyplinowania Warszawy Komisja dostała w podarunku od samego rządu. Premier, przypomnę, najpierw dał Brukseli do ręki instrument nacisku, bo zgodził się na mechanizm „pieniądze za praworządność", a następnie ogłosił, że pieniądze te już dostał i – szczyt nieroztropności – że potrzebne są one Polsce niczym tlen. Tym samym sam niejako wydał się w ręce opozycji. Zadeklarował przecież wszem wobec, że prawdziwym kryterium oceny jego własnych rządów będzie decyzja Unii o przekazaniu Polsce funduszy. Długo obserwuję polską politykę, ale takiej fuszerki jeszcze nie widziałem. Co ciekawe, nawet tak daleko idąca usłużność wobec Brukseli zapewne skończy się na niczym, bo fundusze (pomijając już to, czy są one w ogóle realnym wsparciem) przed jesiennymi wyborami i tak do Polski nie popłyną.

Jedna rzecz jednak musi zaskakiwać: Jak to możliwe, że w tym samym czasie, kiedy polski rząd kapituluje przed Brukselą i w pośpiechu realizuje kolejne „kamienie milowe", których spełnienie może wreszcie otworzy zamkniętą bramę do skarbca (Sezamie brukselski, otwórz się – powtarza błagalnie Warszawa), polski premier sroży się i natęża, opowiadając, jak to zmusił inne państwa Unii – i to te, które mają pośrednio ogromny wpływ na decyzję o KPO – do pomocy wojennej Ukrainie? Jeśli wierzyć rządowej propagandzie i jej zwolennikom, to Polska odnosi od tygodni największe dyplomatyczne zwycięstwa w dziejach. Bardziej wysublimowani mówią, że zmuszając inne kraje Unii do zaangażowania na rzecz Kijowa, mieliśmy do czynienia z sytuacją win-win (nie ukrywam, że się uśmiechnąłem, czytając te komentarze); inni prościej: twierdzą, że wreszcie nadeszła polska epoka, era potęgi i wielkości. Rzeczywiście, kto by to śnił wcześniej, że przed Warszawą ugną się i Berlin, i Paryż, i w ogóle wszyscy wątpiący, niechętni i tchórzliwi?

A więc dysonans poznawczy: Jak to możliwe, że ten sam premier nie potrafił przeciwstawić się presji Brukseli, przeprowadzając szkodliwą dla Polski ustawę, i dokładnie w tym samym czasie obwieścił, że zmusił do posłuszeństwa wobec swojego planu pomocy Ukrainie największe europejskie potęgi? Która opowieść jest prawdziwa? Czy ta o polskiej potędze czy ta o polskiej słabości?

Możliwości jest zapewne kilka. Jeśli jednak odrzucić wytłumaczenia odwołujące się do psychologii, to pozostaje chyba przyjąć, że tzw. dyplomatyczne sukcesy są, jakby to powiedzieć, nieco na wyrost. Inaczej: jeśli największe państwa Unii nie uległy Polsce w sprawie KPO, a uległy w sprawie pomocy zbrojnej dla Ukrainy, to obawiam się, że w tym drugim wypadku uległy, ale nie Polsce. Można raczej domniemywać, że skuteczność Polski w roli największego adwokata pomocy zbrojnej dla Ukrainy wynikać musi z czego innego niż nasza własna moc przekonywania i znaczenie. Obawiam się, że to, co niektórzy odtrąbili jako dziejowe zwycięstwo, było sprytnym manewrem naszych amerykańskich sojuszników, którzy woleli się posłużyć Warszawą do wywierania presji na Niemcy i Francję, niż sami występować w pierwszej linii. To jedyne logiczne wytłumaczenie, sądzę, tej osobliwej, pozornej sprzeczności między słabością wobec Brukseli i potęgą wobec Berlina i Paryża. ©℗



eprasa.pl d51214625f

## TEMAT TYGODNIA


**18** ŁUKASZ WARZECHA
**ODBIORĄ NAM SAMOCHODY**
Lewicowa inżynieria nas ograniczy

**22** JAKUB WOZINSKI
**REWOLUCJA „NA PYCH"**


## KRAJ


**24** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**SĄDY ZATESTOWANE NA ŚMIERĆ**
Komisja Europejska paraliżuje polskie sądownictwo

**27** PIOTR SEMKA
**W OPOZYCYJNYM KONTREDANSIE**

**30** JAN FIEDORCZUK
**KLUB STETRYCZAŁYCH LIBERAŁÓW**

**32** ŁUKASZ ZBORALSKI
**ILU ŻOŁNIERZY BĘDZIE NAS BRONIĆ**


## KULTURA


**34** ROZMOWA Z MARKIEM TELEREM
**ZŁAMANE SERCA PAŃ**
Filmowi amanci II RP

**37** PIOTR GOCIEK
**TU SĄ CHINY**


## NIE PRZEGAP


**40** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA**


## OPINIE


**46** ŁUKASZ WARZECHA
**POLSKA ILUZJA, WĘGIERSKI REALIZM**
Odpowiedź na polemikę Piotra Semki

**48** WITOLD REPETOWICZ
**„REALISTYCZNE" ODERWANIE OD REALIÓW**

**50** DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
**PIERWSZĄ WOJNĘ ŚWIATOWĄ ROZNIECIŁA PROPAGANDA WOJENNA**

**53** PAWEŁ CHMIELEWSKI
**DNI RELATYWIZMU**


## HISTORIA


**56** MIKOŁAJ IWANOW
**REPUBLIKA DALEKIEGO WSCHODU?**
Czy rosyjski separatyzm doprowadzi do rozpadu Rosji?


## ŚWIAT


**60** MACIEJ PIECZYŃSKI
**STARCIE GENERAŁÓW**
Kim są najważniejsi dowódcy wojny na Ukrainie

**62** TOMASZ ROWIŃSKI
**ŚWIADECTWO I OSKARŻENIE**


## EKONOMIA


**66** JACEK PRZYBYLSKI
**REWOLUCJA BOTÓW**
Czy sztuczna inteligencja zabierze ci pracę?

**70** ROZMOWA Z DR. KRZYSZTOFEM TENEROWICZEM
**NA EURO ZYSKUJĄ TYLKO NIEMCY**


## SPORT


**72** ŁUKASZ MAJCHRZYK
**SUKCES NA SKRZYDEŁKACH**
Czym jest Super Bowl


## ŻYCIE I NAUKA


**74** ADAM ZUBEK
**SEJSMICZNA ZBRODNIA**
Kiedy trzęsie się ziemia


## FELIETONY:


SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)




eprasa.pl d51214625f

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki** (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

**ISSN nakładu podstawowego 2299-8500**
**Nr indeksu 288 829, Nakład 52 500 egzemplarzy**

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierowć na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

## Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## Gen bezpieczeństwa i gen wolności

*Znakomite trzy artykuły podsumowujące (?) pandemię COVID-19 w „Do Rzeczy" nr 3/2023. Generalnie – godna najwyższego uznania postawa „Do Rzeczy" w trakcie całej tej p(l)andemii. [...]*

*Nie miejmy złudzeń: kurz nie opadnie do końca i prawda o pandemii, o rzekomej z nią walce i – przede wszystkim – o ciemnych interesach na gigantyczną skalę z nią związanych nie ukaże się w całej swej krystalicznej ohydzie. Nie ukaże się – mimo że dowody na (zapewne nie pierwszy i nie ostatni) „przekręt stulecia" są coraz bardziej oczywiste. Dlaczego to nie nastąpi? Dlatego że – jak mówi znana piosenka – „do tanga trzeba dwojga". Każdy dowód, każda poszlaka, każdy argument, niezależnie od swej siły obiektywnej, aby miały „moc sprawczą" – w tym wypadku moc społeczną, polityczną, a także karną – wymagają odbiorcy. Odbiorcy przygotowanego intelektualnie, a także moralnie. A z tym jest różnie. Nie sposób oczywiście wymagać od każdego zdolności rozpoznania argumentów naukowych z dziedziny biologii, medycyny itp. Nie każdy też potrafi właściwie ocenić dane statystyczne, nie każdy w końcu ma czas i siły, by się tym zajmować. Ludzie w praktyce polegają na autorytetach (w cudzysłowie lub bez), kierując się z różnym skutkiem „instynktem prawdy", który pozwala odróżnić oszusta od człowieka uczciwego. Ale jest jeszcze coś, co jest bodaj najważniejsze. W każdym świadomym człowieku drzemią dwa „imperatywy", które można określić jako „gen wolności" i „gen bezpieczeństwa". Otóż ciemne siły tego świata pracują usilnie i nieustannie, by stłumić w człowieku gen wolności i rozbudzić, wyolbrzymić gen bezpieczeństwa. Paradoksalnie z negatywnym skutkiem dla samego bezpieczeństwa – ale przecież nie o dobre intencje w tym chodzi. Pandemia była (i jest) poligonem dla procesu „walki o duszę", o zniszczenie genu wolności – z pewnością niejedynym i nie ostatnim.*

***Z wyrazami szacunku***
***Maciej Rybicki***

NEKROLOG

*Z głębokim bólem żegnamy*

# *Profesora Szewacha Weissa*

*ocalonego z niemieckiego Holokaustu,*
*potem współtwórcę potęgi państwa Izrael,*
*jednego z czołowych izraelskich polityków,*
*wieloletniego posła do Knesetu i jego przewodniczącego,*
*przewodniczącego Rady Instytutu Pamięci Yad Vashem,*
*niezapomnianego ambasadora Izraela w Polsce,*
*oddanego sprawie współpracy narodów Polski i Izraela,*
*Kawalera Orderu Orła Białego,*
*wieloletniego felietonistę tygodnika „Do Rzeczy".*

***Składamy wyrazy wielkiego współczucia wszystkim Jego Bliskim przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"***



eprasa.pl d51214625f

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Kadyrow sięga po śląską kartę

PIOTR SEMKA

Ramzan Kadyrow to ulubiony bandzior Putina. Ten czeczeński watażka, który uzyskał od Kremla licencję na bezkarność w dyktatorskich rządach nad swoim krajem, odwdzięcza się swoim mocodawcom, występując w roli kogoś, kto mówi rzeczy, których oficjalna dyplomacja sowiecka nie chce brać na swoje konto. Na liście wrogów i tematów, które Kadyrow lubi podejmować w swoim typowym, pełnym wulgaryzmów i nienawiści tonie, Polska zajmuje wysokie miejsce.

Po raz pierwszy czeczeński bandzior zainteresował się Polską w maju zeszłego roku. Mówił wówczas: „Interesuje mnie Polska. Polsko, co ty chcesz osiągnąć? Po Ukrainie, jeśli padnie rozkaz, w sześć sekund pokażemy, na co nas stać. Lepiej zabierzcie swoją broń, swoich najemników. Przekażcie oficjalne przeprosiny naszemu ambasadorowi. Tego tak nie zostawimy". Po raz kolejny Kadyrow zajął się naszym krajem parę dni temu. Jak stwierdził, w ramach wspierania Ukrainy Warszawa zdołała wyczerpać własne zasoby militarne, a teraz jest zdezorientowana: „Co będzie, jeśli po pomyślnym zakończeniu SPECJALNEJ OPERACJI WOJSKOWEJ Rosja rozpocznie denazyfikację i demilitaryzację kolejnego kraju? Przecież po Ukrainie na mapie jest Polska!". Co istotne, Kadyrow postanowił zagrozić Polsce za pomocą kwestii separatyzmu śląskiego. Jak stwierdził: „W lipcu odbędzie się coroczny Marsz Autonomii Śląska, który za każdym razem ściąga coraz więcej uczestników. Moim zdaniem ten region Polski zasłużył na specjalny, niezależny status i bardzo potrzebne jest referendum, podczas którego Rosja może udzielić pomocy organizacyjnej".

Słowa człowieka Putina do specjalnych poruczeń pokazują, że wszelkie tendencje odśrodkowe w Polsce są przez Rosję bardzo uważnie obserwowane i wykorzystywane propagandowo. Od ponad dwóch dekad przestrzegam przed możliwością wykorzystania hasła Śląskiej Autonomii do osłabienia naszego kraju. Bardzo często pojawia się argument, że Ruch Autonomii Śląska to ugrupowanie stosunkowo niewielkie i że pisanie o nim tylko przysparza mu reklamy. Ja patrzę na to inaczej. Bardzo niebezpieczne tendencje RAŚ do wykopywania rowu między Polską a Śląskiem to potencjalna groźba, której nie należy lekceważyć.

Autonomiści śląscy nie skomentowali w żaden sposób wypowiedzi Kadyrowa, ale wzruszanie ramionami nic tutaj nie zmieni. Rosyjscy analitycy szukają słabych punktów w Polsce, która została znienawidzona w Moskwie za pomoc Ukrainie, i każdy taki słaby punkt naszego kraju jest uważnie analizowany, aby mógł być wykorzystywany do wywierania presji na nasz kraj. Trzeba było dopiero wypowiedzi Ramzana Kadyrowa, aby sobie to w pełni uświadomić. A jednak o całej sprawie napisało raptem parę mediów po prawej stronie. Większość mediów liberalnych, jeśli już nawet wspomniała o ostatnich pogróżkach Kadyrowa, to kwestii mieszania się przez czeczeńskiego bandziora do spraw śląskich już nie komentowała. A możliwość zagrania przez Rosjan kartą śląską musi być brana przez nas bardzo poważnie pod uwagę ©℗

FOT. LEONID SHCHEGLOV/BELTA/AFP/ EAST NEWS

## ZEMSTA ŁUKASZENKI. ANDRZEJ POCZOBUT SKAZANY NA OSIEM LAT ŁAGRU

Andrzej Poczobut, dziennikarz i znany działacz Związku Polaków na Białorusi, został przez reżim oskarżony m.in. o „wzniecanie nienawiści" i osadzony w areszcie w marcu 2021 r. W toczącym się za zamkniętymi drzwiami procesie został skazany aż na osiem lat w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze. Wyrok wydał „sędzia" Dzmitryj Bubienczyk, który skazywał już wcześniej innych więźniów politycznych, sprzeciwiających się nielegalnym rządom dyktatora Alaksandra Łukaszenki. „Potępiamy niesprawiedliwy wyrok wydany przez sąd autorytarnego państwa. Andrzej Poczobut to polski i białoruski patriota. Stoimy za nim i będziemy stać. Nadejdzie dzień, kiedy wolny Andrzej Poczobut i białoruscy Polacy będą mogli żyć na wolnej Białorusi" – oznajmił rzecznik MSZ Łukasz Jasina. W związku z haniebnym wyrokiem na dywanik do MSZ wezwany został chargé d'affaires Aleksander Czasnouski. Polski rząd zdecydował również o wstrzymaniu ruchu na polsko-białoruskim przejściu granicznym w Bobrownikach. *(jap)* ©℗



eprasa.pl d51214625f

JUŻ ZA TYDZIEŃ

# RAPORT O GOSPODARCE LEŚNEJ

## LASY – POLSKIE BOGACTWO

**Wiele rzeczy, które nas otaczają w domach, swój początek miało w lesie: książki, ubrania, meble... Bogactwo lasu to jednak nie tylko drewno.**

## LASY – WIELKI PRACODAWCA

**Polskie lasy – bezpośrednio i pośrednio – dają pracę 400 tys. ludzi.**

## LASY OSTOJĄ BIORÓŻNORODNOŚCI

**Po I wojnie światowej w Puszczy Białowieskiej nie pozostał ani jeden żubr. Dziś w Polsce żyje ich 2,5 tysiąca. Jak Lasy Państwowe troszczą się o przyrodę, w tym zagrożone gatunki?**

# Raport ukaże się 20 lutego 2023

PARTNER RAPORTU

Lasy Państwowe

eprasa.pl d51214625f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# Patola jest kobietą

Z jednej strony, w tropieniu „przemocowych zachowań" wobec kobiet płci obojga środowiska feministyczne i – szerzej – ogólnolewackie osiągają sukcesy. Z drugiej, sukcesy te ograniczają się do demaskowania takich zachowań we własnych szeregach. Po sensacjach o tym, jak wykorzystywał zatrudnianych „kuzynów" i pomiatał nimi założyciel i szef czołowej instytucji politycznego homoseksualizmu w Polsce – Grupy Stonewall, teraz mamy kolejne, dla odmiany o „najstarszej w Polsce fundacji feministycznej", zajmującej się „zwalczaniem przemocy wobec kobiet". Pracownice fundacji skarżą jej założycielkę i do dziś szefową, że je brzydko nazywała, wyszydzała ich tuszę i w ten sposób pozbawiając godności, zmuszała do pracy, często za darmo; a jak poniżanie nie wystarczało, to umiała i wytarmosić.

To ostatnie nie powinno być jednak uważane za złamanie statutu Centrum Praw Kobiet, ponieważ ten stanowi, że centrum walczy z przemocą ze strony mężczyzn, a oskarżana o „przemocowość" szefowa fundacji jest kobietą, i to nawet, jak się wydaje, biologiczną, a nie „po identyfikacji". Choć skądinąd gdyby teraz, tak jak rozmaici gwałciciele i „lesbijki z penisem", tylko odwrotnie, była łaskawa zacząć się identyfikować jako mężczyzna, cała sprawa stałaby się dla lewicowo-liberalnych salonów bardziej do przełknięcia.

W doniesieniach o aferze najbardziej zastanawia informacja podawana przez krzywdzone, jak twierdzą, pracownice, jakoby „przemocowa" feministka miała już w poprzednich latach trzy procesy sądowe o mobbing i wszystko to zostało „zamiecione". Lewicowo-liberalne media o takich sprawach starają się milczeć, chyba że mleko zupełnie się już rozleje, a te prawicowe „obyczajówką" środowisk z natury patologicznych, w które obfituje skrajna lewica, z zasady się nie interesują. Może to błąd? Słyszałem ostatnio, że naukowcy, badający w najlepszej wierze działanie organizacji „trans", które, gdy zaczęli odsłaniać liczne patologie, próbowano „skancelować", znaleźli wsparcie i grant w jednej z fundacji konserwatywnych. Dobry kierunek. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

# Babcia senatora Vance'a

Nowo wybrany senator J.D. Vance, wschodząca gwiazda obozu Donalda Trumpa, wspomina, że babcia, która go wychowała, „zależnie od nastroju mogła być skrajną konserwatystką albo socjaldemokratką w europejskim stylu". I przyznaje się, że poglądy tej starej góralki z Appalachów przez pewien czas wydawały mu się tyleż nielogiczne, co (delikatnie mówiąc) kłopotliwe – dopóty, dopóki nie uświadomił „sobie jednak, że w tych babcinych sprzecznościach kryła się wielka mądrość".

To samo potwierdza historia. Prawica była ludowa od zawsze, co najmniej od czasu, gdy za panowania Henryka VIII angielscy biedacy ruszyli w Pielgrzymce Łaski, by bronić sanktuariów rabowanych przez dygnitarzy Korony. Zapomnieliśmy o tym tylko dlatego, że po chwilowej konfiskacie prawicy przez liberalizm narodom wmówiono, że wybierać mogą jedynie między liberalizmem a socjalizmem.

Sam J.D. Vance to bardzo ciekawy człowiek. Nikt chyba nie odniósł takiego pamiętnikarskiego sukcesu – publikując wspomnienia tak młodo. Jego „Elegię dla bidoków" komplementował sam Rod Dreher. A Vance, choć będący – jak większość górali z Appalachów – potomkiem twardych szkockich protestantów, nawrócił się niedawno na katolicyzm. U nas nie ma dobrej prasy. Swą działalność w Senacie zaczął od apelu do rządu o rozliczenie pomocy finansowej dla Ukrainy. Jego wystąpienie zbiegło się jednak z kampanią antykorupcyjną podjętą przez samego prezydenta Zełenskiego. Wojna bowiem wymaga polityki, a kontroli państwa – tym bardziej.

Głosowania senatora Vance'a przeciw wysyłaniu broni mogą Ukrainie zaszkodzić, ale prawda nie zaszkodzi jej na pewno. Zresztą skoro J.D. Vance umiał zrozumieć swoją babcię, a dzięki niej i historię – może zrozumie również Europę Środkową. Byleby nie obrażać się, że ktoś nie rozumie nas od razu, a spokojnie wykładać nasze racje, tym bardziej jeśli nie dzielą nas zasady. ©℗



eprasa.pl d51214625f

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

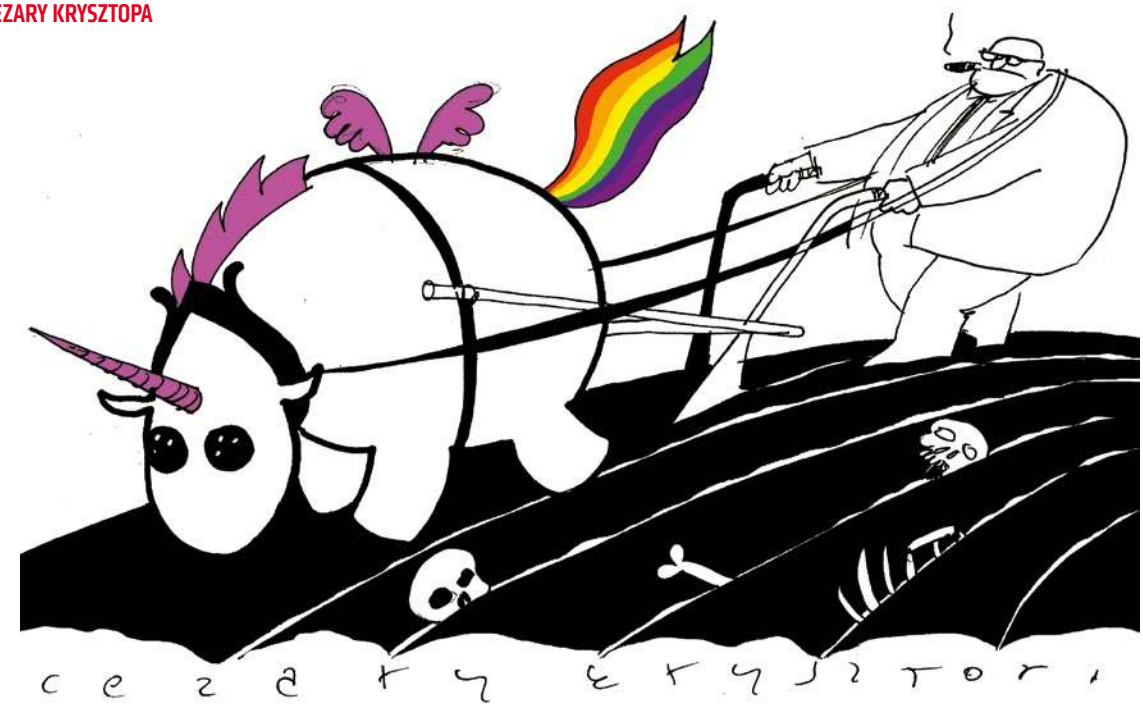

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# O wariatach

Alfredo Cospito jest anarchistą. Nie podoba mu się korzystanie z energii atomowej. W związku z tym w 2012 r. przestrzelił kolana dyrektorowi przedsiębiorstwa Ansaldo Nucleare. Schwytany i postawiony przed sądem kilka miesięcy później napisał elaborat, w którym wyeksplikował ekonomiczno-polityczne motywy zamachu i przyznał, że okaleczenie przemysłowca sprawiło mu radość i przyjemność. Dostał 10 lat.

Gdy odsiadywał karę, śledczy wykryli, że w 2006 r. był również autorem zamachu na szkołę karabinierów (według Cospito płatnych sługusów opresyjnego państwa). Zamach był wyjątkowo wredny. Pierwsza eksplozja miała zwabić studentów, policję i saperów, a druga ich zabić. Cudownym zbiegiem okoliczności nikomu nic się nie stało.

W maju ubiegłego roku sąd kasacyjny uznał, że zamach był aktem terrorystycznym. Skazał anarchistę na dożywocie i umieścił w więzieniu o bardzo ciężkim rygorze, przewidzianym dla mafiosów i terrorystów. Cospito uznał, że to niesprawiedliwość, bo przecież jest więźniem politycznym i w październiku rozpoczął trwający do teraz strajk głodowy. Stracił na wadze ponad 30 kg i zapadł na zdrowiu. Odwiedzili go politycy lewicowej Partii Demokratycznej, w tym przewodnicząca ugrupowania w Izbie Deputowanych i były minister sprawiedliwości. Cospito został przeniesiony do więzienia ze szpitalem.

Współwyznawcy zorganizowali ataki na włoskie placówki dyplomatyczne w Berlinie i Atenach, a także burzliwe demonstracje w Rzymie, Turynie i Bolonii. Grożą, że jeśli Cospito nie zostanie przeniesiony do „normalnego" więzienia i umrze, będą strzelać do włoskich sędziów. „Cospito jako anarchista nie potępia aktów przemocy" – wyjaśnił dziennikarzom jego adwokat. O anarchistę i jego dalsze losy spierają się w gazetach i telewizjach włoskie asy intelektu i czołowi politycy.

A na rzymskim uniwersytecie La Sapienza studenci literatury, solidaryzując się z anarchistą, rozpoczęli strajk i okupację auli. Ciekawe, czy czytali „Biesy", bo Bakunina pewnie mają w jednym palcu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



eprasa.pl d51214625f

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

# CZADU, MARYLA!

Zadziało się, oj zadziało. Królowa polskiej sceny (złośliwi mówią, że już lata temu powinna abdykować), Maryla Rodowicz, udzieliła takiego wywiadu, że nawet krytycy obecnej TVP złapali się za głowy. Ale nie chodzi o to, że piosenkarka napsioczyła na rządzących i stację. To przecież jest pożądane. Problem w tym, że Maryla strzeliła sobie modelowego samobója – co człowiek włączy któryś z kanałów Telewizji Polskiej, to widzi właśnie ją. Występowała na największych muzycznych imprezach TVP, możemy ją także oglądać jako jurorkę programu „The Voice Senior". – TVP to jest reżimowa, rządowa telewizja. Artyści bojkotują festiwal w Opolu. Jest mały skład, w kółko te same nazwiska, na sylwestrowym koncercie też. Mnie brakuje tej całej nowej generacji, tego młodego rzutu – stwierdziła tymczasem gwiazda w wywiadzie dla portalu Plotek. Dostało się też PiS, który według Maryli jest partią braku tolerancji. – To jest przykra sytuacja, że rządzący doprowadzili do podziałów. Jak można być partią wiodącą i tak dzielić ludzi?! Dlatego bym chciała, żeby przegrali wybory – wyznała diwa. Serwisy donoszą, że Rodowicz może stracić pracę w TVP. Aż chce się zanucić jeden z przebojów Maryli: „W sumie nie jest źle, nie boli nic, wstaję i od razu chce się żyć. I na tyle lat, co już mam, całkiem niezły jest mój stan".

FOT. JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS

## NIEUFNOŚĆ WOBEC NEOFITKI

Wywód naszej królowej odbił się szerokim echem. Złośliwi (ci sami, którzy domagają się abdykacji Maryli) twierdzą, że wokalistka obawia się politycznych zmian w kraju. Na wszelki wypadek sygnalizuje, że jakby zmieniła się opcja rządząca, to ona jest gotowa i chętna przyodziać swe pióra i wskoczyć na scenę, już w nowej rzeczywistości. W tym kontekście pojawia się uzasadnione pytanie o wiarygodność. – To zaskakujące słowa, bo wydawało mi się, że Maryla Rodowicz nie ma problemu z propagandą uprawianą przez TVP, skoro w niej występowała i występuje. Niedawno pochwaliła się zdjęciami z nagrania do „Szansy na sukces" – wytknął piosenkarce dziennikarz Maciej Orłoś, który od odejścia z „Teleexpressu" nie bawi się w polityczne subtelności. Maryla może jednak odetchnąć – jest dla niej nadzieja.

– Jeśli za słowami pójdą czyny i zrezygnuje z legitymizowania tej hucpy swoim nazwiskiem, to OK. Lepiej późno niż wcale – podsumowuje gorzko Orłoś. W sumie nie jest źle...

## CZŁOWIEK Z INNEJ GLINY

Ze świata celebrytopatologii – odbyła się kolejna gala Fame MMA. Jednym z „fejmów" okładających się po twarzach był aktor Sebastian Fabijański, któremu chyba ten cały cyrk nie służy. W ogóle obecność w mediach mu nie służy. Najpierw wdał się w aferę z jedną z najbardziej odrażających person funkcjonujących w showbizowym światku, czyli tzw. Rafalalą, a teraz dał się położyć na matę w... 35 sekund. Jednak mniejsza o aspekt „sportowy". Najbardziej zadziwia to, co Sebastian powiedział tuż po przegranej. – Za wiele nie pamiętam, ale wiesz, ta sytuacja i to wszystko jakby mi dało bardzo dużo, wiesz, takich emocji, których ja chyba nie chcę. W sensie jak tak na życie. Bo ja jestem zupełnie z innej gliny, zupełnie chyba z innego świata. Szczerze, to ku.wa nie chce mi się nawet walczyć ku.wa o jakieś uznanie w rapie, pie..olę to – filozofował Seba w wywiadzie. – Wiesz, jakby przyjąłem taką ku.wa jakąś, wiesz, narrację, że jestem taki „ee, ku.wa i będę się tutaj z każdym przepychał" i tak dalej – kontynuował. Jeszcze przed walką Fabijański zapowiadał, że dla niego udział w Fame MMA to „eksperyment parasocjologiczny". No cóż, eksperyment ewidentnie się nie udał.

## NOWE PORZĄDKI EDWARDA

Izabela Janachowska, która robi za narodową ekspert do spraw ślubów, opowiedziała o atmosferze w stacji Polsat po tym, jak dyrektorem programowym został Edward Miszczak. Z jej słów wynika, że kolorowo nie jest, choć Iza stara się mówić bardzo „naokoło". – Przynajmniej ja mam na razie bardzo dobre doświadczenia. Nawet jak rozmawiamy ze sobą, to gdzieś tam na początku, bo teraz nie, kiedy to było w sferze plotek niż faktycznie potwierdzonej informacji, to gdzieś tam była taka niepewność, wszyscy szeptali: „O Boże, o Boże, co to będzie" – opowiada Iza. – Ale chyba już sytuacja jest na tyle oficjalna, klarowna, że wszyscy chyba już powoli zaczynają wiedzieć, jaka będzie ich przyszłość, więc wydaje mi się, że zaczyna panować taki fajny spokój, choć to nie oznacza, że nie ma zmian, bo te zmiany są taką naturalną koleją rzeczy – dodaje celebrytka. Czyli sprawa wygląda tak – przyszedł groźny pan z TVN, wprowadził nowe porządki, żelazną miotłą wymiótł część załogi, a ci, którzy się ostali, odetchnęli z ulgą i robią dobrą minę do złej gry. Brzmi naprawdę sympatycznie. ©℗



eprasa.pl d51214625f

# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ale to jest dobre! Gruchnęła wiadomość, iż na złość wszystkim starym w Polsce Netflix przygotowuje własną adaptację kultowego w kręgach osób starszych, mniej wykształconych i z małych ośrodków filmu „Znachor" xD Widzieliśmy niby jakieś zdjęcia z planu i nie wyglądają na jakąś daleko idącą dekonstrukcję, ale mamy nadzieję, iż to tylko tak na razie dla zmylenia przeciwnika. Że jednak nie będzie znów tak, iż „Znachor" nie będzie białą cisheteromęską osobą itd.

Gdyby nas ktoś poprosił o konsultacje przy projekcie scenariusza, castingu itd., to z pewnością moglibyśmy sporo wnieść. Przypomnijmy oryginalną fabułę. Tytułowy Znachor – jak to biały cisheteromężczyzna – wdał się w bójkę, dostał w łeb i wskutek tych zdarzeń, wynikających z jego toksycznej męskości, stracił pamięć, ale nie stracił fachu. Zamieszkał w małym ośrodku w rodzinie wielopokoleniowej, tradycyjnej i katolickiej, gdzie przeprowadził operację na jednym z jej, nomen omen, członków, przez co mógł pójść do więzienia, ale Piotr Fronczewski powiedział: „To jest prof. Rafał Wilczur" i sprawa rozeszła się po kościach, i znachor odzyskał pamięć.

W międzyczasie się okazało, że poznał swoją córkę jako młodą kobietę flirtującą z arystokratycznym ciemiężcą, ale nie wiedział, iż to jego córka. To znaczy później już wiedział, córka wyszła za mąż za hrabiego czy tam barona, a Wilczur pewnie wrócił do praktykowania i toksycznej męskości.

No więc w naszym wydaniu osoba znachorska byłaby współczesną astrolożką/astrologiem, którx leczy czakry osób, ale zostaje pobita podczas Marszu Niepodległości, kiedy przyjeżdża do pacjenta do Warszawy, i tajemniczym zbiegiem okoliczności budzi się na rynku w Jaśle, skąd zostaje uprowadzonx przez heterokomando i umieszczonx w rodzinie wielkopokoleniowej na 40 mkw. Na szczęście najmłodsza osoba z tej rodziny ma dostęp do Internetu i dzięki temu poznaje niebinarne hashtagi na Twitterze. Dzięki temu osoba znachorska zaczyna sobie przypominać swoją tożsamość.

Niestety, jej starzy rodzice oraz ksiądz proboszcz odcinają osobom Internet i zawieszają konto na TT, na szczęście osoba znachorska przypomina sobie swoje umiejętności w zakresie czakr i otwiera im te czakry – księdzu i starym – na postępowe poglądy. Wówczas przybywający do Jasła z misją humanitarną członek jednego z 867 829 lewiowych kolektywów mówi: „Szanowne osoby, to jest osoba znachorska od otwierania czakr". Of kors naszemx bohaterowix powraca pamięć i przypomina sobie, kim jest i skąd się tutaj wzięłx.

Na koniec wszyscy rezygnują z 40 mkw. w Jaśle na rzecz skłotu w Rzeszowie, w którym osoba znachorska odnajduje swoją zagubioną osobę partnerską, również pobitą podczas Marszu Niepodległości (celowo pomijamy wątki rodzicielstwa i arystokracji, to nie I RP xD) i wspólnie wszyscy zakładają niesformalizowany związek poliamoryczny. ©℗

***FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO***

## PODSŁUCHANE

# Nietypowy rozmiar

**Mariusz, skąd wziąć taką bluzę, jaką ma Wołodymyr?**
Którą bluzę, Mati? Taką zieloną? Z tryzubem?

**Zieloną, tak. Nie z tryzubem, co by się działo... Z naszym orłem. I spodnie też bym chciał, takie bojówki z kieszeniami, jak Wołodymyr ma. Przecież wy macie całe te sorty wojskowe. Nie dałoby się czegoś dla mnie znaleźć?**
Nie wiem... Ty taki jakiś... Długi jesteś. Nietypowy rozmiar. Ale po co ci to?

**Chłopik mi podpowiedział. Sondaże w sprawie wojny spadają, ludzie zaczynają mieć dość, trzeba jakoś podbudować morale. Zacząłbym w tym chodzić zamiast garnituru. Że, rozumiesz, sytuacja poważna, wojna za miedzą...**
Przecież nawet ze mnie się podobno śmieją, jak w tej kurtce się pokażę. A z ciebie tym bardziej.

**Ja tam słucham Chłopika. On się zna. To jak – skołujesz mi tę bluzę?** ©℗

***Łukasz Warzecha***

## OD RZECZY

**„Premier po raz kolejny bredzi o »oddaniu śledztwa smoleńskiego w ręce rosyjskie«".**

***O. KRZYSZTOF MĄDEL,*** *jezuita, na Twitterze*



eprasa.pl d51214625f

# dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Chociaż w PiS ostatnimi czasy nastroje się polepszyły i gruntuje się przekonanie, że jesienne wybory nie tylko przyniosą zwycięstwo, lecz także dadzą trzecią kadencję, to przygotowywany jest również „Plan B". Na wszelki wypadek, gdyby jednak nóżka się powinęła. Słuchajcie uważnie, bo nie będziemy powtarzać.

Zatem tak: podstawą „Planu B" jest założenie, że nie ma takiej szansy, by opozycja uzyskała tzw. większość przełamującą. Chodzi oczywiście o przełamywanie wet prezydenckich. To oznacza, że przez kolejne lata obecna opozycja będzie, co prawda, oficjalnie panować, ale nie będzie rządzić. Gdyż obsada wielu instytucji po ośmiu latach rządów będzie zdominowana przez obecny układ rządowy. A są to instytucje o znaczeniu kluczowym.

Jak wiadomo, program opozycji sprowadza się do jednego zdania zaczerpniętego z „Dziadów" Mickiewicza: „[…] zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem i choćby mimo Boga" (w przypadku eine Totalopposition to raczej wariant drugi). Problem polega jednak na tym, że żeby się mścić i ciupasem wsadzać PiS-owskich „zbrodniarzy", trzeba mieć narzędzia. Tylko jak złapać za obcęgi, kiedy się nie bardzo da? Popatrzmy na konkretne przykłady.

Pierwszym z tych narzędzi jest prokuratura. Większość publiki jest przekonana, że jak odejdzie ZiZu z SolPola, to będzie można pisać taśmowo akty oskarżenia i podsyłać je sądom. Otóż nie. Prawdziwą władzę wbrew pozorom dzierży nie minister sprawiedliwości, ale prokurator krajowy. I tu jest problem, bo odwołanie szefa prokuratury wymaga zgody prezydenta, podobnie zresztą jak jego powołanie. Oczywiście większość sejmowa może w tej materii zmienić ustawę o prokuraturze. A teraz tzw. pytanie retoryczne: Czy prezydent zgodzi się na ograniczenie swoich prerogatyw?

Oczywiście można użyć też CBA do ściągania PiS. Ale tu kolejny problem. Szef CBA ma kadencję, która będzie trwała jeszcze ładnych kilka lat. Oczywiście można zmienić ustawę o CBA, a nawet je ustawą zlikwidować, jest tylko jeden problem. Dokładnie taki sam, jak wyżej wymieniony, a imię jego Andrzej Duda.

Kolejny odcinek to dyplomacja. Jak powszechnie wiadomo, politykę zagraniczną robi się również przy pomocy ambasadorów. A teraz zgadnijcie, kto nie tylko musi wyrazić zgodę na odwołanie ambasadora, lecz także jego powołuje. Widzimy, że jesteście domyślni – tak, jest to prerogatywą prezydenta. O następnych instytucjach, których nie da się przejąć bez zgody głowy państwa, będziemy informować na bieżąco.

Eine Totalopposition również szykuje się na lepszą przyszłość. Ze szczególną ciekawością przyjęliśmy spotkanie Władysława Tygrysa-Kamysza z Szymonem Płaczliwym Hołownią, poświęcone wspólnej liście. Na razie – spraw.

Wbrew publicznym gromkim antypisowskim zawołaniom cel rozmów jest prosty. Sprawy są dwie. Pierwsza: kto ma być premierem w nowym rządzie Eine Totalopposition, jeśli wygra wybory. Bo i Władek, i Szymon są pewni, że na Donalda zgodzić się nie mogą. Zaproponują premiera kompromisu od mniejszego koalicjanta. Czyli siebie. Tylko którego siebie?

Druga sprawa jest jeszcze bardziej trywialna. Tak się składa, że ani Peezel, ani Polska 2050 nie opływają w luksusy. A kampania kosztuje. Pierwsza ze wspólnych spraw zamyka się więc w zdaniu: „Szefie, jest taka sprawa, nie wie szef, gdzie tu można pożyczyć trochę kasiory?".

Z okazji powyższego spotkania ułożyliśmy haiku, by wnieść nieco poezji w przyziemne rozważania tuzów naszej polityki. Oto ono:

***tygrys i chłopiec***
***biegną po stromym zboczu***
***zima w Warszawie***

Wyjaśniamy: „strome zbocze" to symbol. Chodzi o poparcie w sondażach.

Skoro już o różnych odcieniach zielonego. Refleksja na marginesie nieoczekiwanego sojuszu resztek Porozumienia z AgroUnią. Skąd decyzja? Już wyjaśniamy. Pamiętacie, jak pisaliśmy, że Peezel chce mieć na listach gowinowców, ale bez Gowina? No więc po pół roku okazało się, że nie chcą ich nawet bez niego.

Jako ludzie, którzy pierwsi zastanawiali się głośno, za co Radek Sknerus Sikorski bierze kasę od Arabów, z wielkim zainteresowaniem obserwujemy prasę europejską, powtarzającą trudne pytania. Radek tymczasem się pieni. Uroczo, jak krem do golenia. Najbardziej nas w tym wszystkim bawi nazwa Radkowej działalności gospodarczej, na którą wystawia faktury Arabom: „Sikorski Global". Wiadomo, że nie „Local". Wszystko, co robi Radek, to przynajmniej „Prestige Worldwide". Jak przystało na Mistera Uniwersum.

Domyślamy się, że działalność gospodarcza Małgorzaty Kidawy-Błońskiej mogłaby się nazywać nie „Kidawa Global", ale „Kidawa Europe". Wnioskujemy z ogłoszenia przez nią, że słynne dzieło Kopernika nosiło tytuł „O obrotach ciał niemieckich". Czekamy na kolejne korekty w kanonie. Na dramat „Król-Durch", „Satyrę na leniwych Klopów" oraz „Słowo o Jakubie Schnelli".

Na koniec serdecznie pozdrawiamy żonę Ryśka Kalisza, niejaką Dominikę K. To ta, której sąd zmniejszył karę za jazdę po pijaku z dzieckiem do przedszkola, gdyż co prawda „była pijana, ale jechała prosto". Zaimponowała nam. Sąd też nam zaimponował. Czekamy na społeczne efekty zmienionego wyroku. Coś w rodzaju porannych pogawędek w domu: „Mamo, kiedy pojedziemy do przedszkola? – Poczekaj synku, mamusia musi najpierw sobie walnąć malucha". ©℗



eprasa.pl d51214625f

Poranny program informacyjno-publicystyczny na żywo.
Najważniejsze wydarzenia dnia, analizy gospodarcze,
prognoza pogody, przegląd prasy.

**Zacznij dzień z Telewizją Republika.**

REPUBLIKA

# Polska
NA DZIEŃ DOBRY

od poniedziałku
do soboty

# 7:35

**Zapraszają:**

**Ilona Januszewska, Aleksander Wierzejski i Emilia Wierzbicki**

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

**Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.**

eprasa.pl d51214625f

FOT. ADEM ALTAN/AFP/EAST NEWS

# TRAGEDIA W TURCJI WSTRZĄSNĘŁA ŚWIATEM

Miała na imię Irmak. Piętnastoletnia dziewczynka zginęła nagle, leżąc na swoim łóżku. Pogrzebana między materacem a ciężkimi płytami betonu, cegieł i rozbitego szkła. Irmak była córką Mesuta Hancera. Widoczny na zdjęciu mężczyzna w pomarańczowej kurtce siedział samotnie na mrozie na ułożonych w śmiertelną piramidę zgliszczach czegoś, co jeszcze tak niedawno było jego domem. Osamotniony, przytłoczony żalem, ale dojmująco spokojny ani na chwilę nie wypuszczał z ręki wyłaniającej się ze szczeliny ruin dłoni swojego tragicznie zmarłego dziecka. To zdjęcie, młoda Irmak oraz rozpaczający Mesut stali się symbolem tragicznych wydarzeń z poniedziałku 6 lutego, które wstrząsnęły całym światem.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", potwierdzona liczba ofiar śmiertelnych potężnych trzęsień ziemi, które zniszczyły południowo-wschodnią Turcję oraz północną Syrię – pierwsze o magnitudzie 7,8, a drugie o magnitudzie 7,7 – wynosiła ponad 22 tys. Niemieccy eksperci z Instytutu Geofizyki w Instytucie Technologii w Karlsruhe (KIT) szacowali jednak, że ostateczna liczba zabitych może sięgnąć nawet 67 tys. osób. I chociaż skala zniszczeń po trzęsieniu ziemi jest ogromna, to ratownicy z całego świata byli świadkami i sprawcami wielu niebywałych cudów. Członkowie polskiej grupy poszukiwawczej – uważani za jednych z najlepszych na świecie i nazywani przez Turków wprost „aniołami" – wydobyli spod zawalonych budynków kilkanaście żywych osób. Wśród uratowanych przez międzynarodowe i tureckie grupy ratowników byli m.in. 17-latek, który spędził pod gruzami 94 godziny, a także matka i 10-dniowy noworodek. Ratownikom udało się też uratować Ayę, dziewczynkę, która urodziła się podczas trzęsienia ziemi i która w momencie odnalezienia nadal była połączona z matką pępowiną.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) szacuje, że skutki jednego z najtragiczniejszych w ciągu ostatnich stu lat kataklizmu mogą dotknąć nawet 23 mln osób. ***(jap)*** © ®

***CZYTAJ TAKŻE „SEJSMICZNA ZBRODNIA" NA STRONIE 74***

# Stoimy murem w obronie polskich lasów!

**Pojawiają się głosy, że przekazanie kompetencji nadzorczych nad polskimi lasami miałoby negatywne skutki dla naszej gospodarki leśnej.**

Ta unijna inicjatywa jest działaniem czysto politycznym. Proponowane rozwiązania mocno wkraczają w naszą suwerenność, w domenę państw narodowych. To po prostu bezwzględna próba budowania państwa federacyjnego i próba wywłaszczenia Polaków. Lasy stanowią prawie jedną trzecią powierzchni naszego kraju. Polityka leśna to precyzyjna i konsekwentna praca uwzględniająca przyrodnicze warunki krajowe. Zarządzanie lasami z poziomu brukselskich urzędników jest absurdalnym pomysłem. Ponad


eprasa.pl d51214625f

70 proc. Polaków sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu. Mieliśmy już przykład, jak Platforma Obywatelska chciała sprywatyzować lasy – wzbudziło to wielkie oburzenie wśród społeczeństwa. Polacy wyraźnie mówią: Stoimy murem w obronie polskich lasów!

**Unia Europejska stawia sobie coraz wyższe cele klimatyczne. Czy tak samo ważne są aspekty związane z gospodarką i ochroną przyrody?**

Z klimatu i ekologii robi się nową europejską „religię". To już ideologia. Brakuje tu racjonalnego, trzeźwego myślenia. Unia dąży coraz bardziej w stronę neutralności klimatycznej Europy. Z początkiem wojny na Ukrainie wydawało się, że zmienimy kierunek działań. Jednak już dziś widzimy, że kurs został przyspieszony. Polityka eurokołchozu za wszelką cenę brnie w swoją stronę. Pomija się kwestie związane z bezpieczeństwem energetycznym. Nie każde państwo jest w stanie w tak szybkim tempie odejść od dotychczasowych źródeł ciepła i oprzeć energetyki tylko na tzw. ekologicznych rozwiązaniach.

**Pytanie, czy rzeczywiście jest to nieprzemyślana polityka UE czy jest wręcz przeciwnie? Odnoszę wrażenie, że ktoś zwyczajnie chce doprowadzić do unicestwienia polskich Lasów Państwowych, aby dobrać się do znajdujących się pod nimi złóż.**

Nieprzemyślana, ponieważ nieoparta na faktach naukowych i podszyta ideologią. Natomiast przemyślana pod kątem realizacji ślepych zapisów, które nie wiemy, czym mogą się zakończyć. Próbujemy udowodnić naukowo, że podporządkowanie polityki leśnej celom klimatycznym przyniesie odwrotny skutek do zamierzonego. W konsekwencji doprowadzi to do zdegradowania lasów, które bez czynnej ochrony nie będą mogły się odbudować przez setki lat.

**TSUE w 2017 r. zakazał wycinki drzew w Puszczy Białowieskiej, co niestety doprowadziło do tego, że ten piękny obszar uległ znacznej degradacji. Czy nowe plany UE mogą zagrozić również innym kompleksom leśnym, podobnie jak to było na terenie puszczy?**

To była eksperymentalna decyzja Unii Europejskiej, której niestety Polska uległa. Mimo że mieliśmy rację, to daliśmy się przestraszyć i postawić pod pręgierz. Tam nie chodziło o wycinkę. Chodziło o to, że Polska decydując się na te prace wycinkowe, nie dość upewniła się, w jaki sposób wpłyną one na stan środowiska. Rzeczywiście były tam pewne nieścisłości z decyzjami środowiskowymi. Do dziś nie ma wstępu na teren trzech nadleśnictw puszczańskich ze względu na niebezpieczeństwo spowodowane próchniejącym drewnem. Tak to się skończyło, a my straciliśmy cenne przyrodniczo zasoby, które przez wiele lat mogliśmy użytkować. To jest przykład, w jaki sposób doktrynalne podejście prowadzi do sytuacji, że to, co jest cenne przyrodniczo, możemy utracić. Nie chciałbym, żebyśmy doczekali tego, że w wyniku nieprzemyślanych decyzji unijnych urzędników kolejne pokolenia będą musiały odwracać złe skutki tych polityk.

**Jak daleko jeszcze UE sięgnie w swojej ingerencji w prawa i kompetencje państw członkowskich?**

Kolejne zakusy na lasy idą o krok dalej. Trwają prace nad unijnymi ramami monitorowania lasów w Unii Europejskiej i krajowymi planami strategicznymi. To następna ingerencja w krajową politykę leśną. Oznacza nie tylko kontrolę nad stanem lasu, lecz także nad aspektem gospodarczym związanym z wykorzystaniem pozyskanego drewna. Radykalne ograniczenie podaży surowca spowoduje gwałtowny wzrost jego ceny. Dla wielu producentów z branży drzewnej zwyczajnie go zabraknie. Oznacza to bardzo poważne perturbacje dla tego sektora. Produkcja wyrobów z drewna w dużej mierze przeniesiona zostanie poza Unię Europejską. A przecież drewno to ważny surowiec ekologiczny i odnawialny, mający zastosowanie w 30 tys. różnych produktów.

**Co to oznacza dla polskiego przemysłu drzewnego? Dziś jesteśmy w czołówce producentów mebli i produktów drewnopochodnych.**

Z całą pewnością można przewidzieć, że nowe unijne regulacje doprowadziłyby do krachu polskiej gospodarki drzewnej. W konsekwencji utraty blisko 200 tys. miejsc pracy. Oznaczałoby to zubożenie dużej części polskiego społeczeństwa, na co nigdy nie będzie naszej zgody. Ograniczenie podaży drewna, zwiększenie kosztów jego pozyskania przyniesie znaczne ograniczenie dostępu do surowca drzewnego i szybowanie jego cen w górę. Z czym to się wiąże? Z tym, że zmuszeni bylibyśmy do importu drewna z innych krajów, nie mając nawet gwarancji, czy zostało one pozyskane zgodnie z zasadami prowadzenia zrównoważonej gospodarki leśnej. W sytuacji jego braku na rynku niewykluczone, że musielibyśmy poszukać zamienników typu plastik, szkło czy beton – a to stoi przecież w zdecydowanej sprzeczności z ideą ograniczania negatywnych zmian klimatycznych.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY



eprasa.pl d51214625f

Łukasz Warzecha

# Odbiorą nam samochody

**Czy ktokolwiek może mieć jeszcze wątpliwości, że mamy do czynienia z systematycznym i planowym wykańczaniem indywidualnej motoryzacji? Cel jest jasny: ludzie nie mają się przemieszczać**

W ubiegłym tygodniu w pierwszym programie niemieckiej telewizji publicznej, w audycji Anne Will, popularnej dziennikarki, gościem była Katja Diehl. Czterdziestodziewięcioletnia aktywistka i publicystka od dawna jest głęboko zaangażowana w promowanie elektromobilności, choć może należałoby powiedzieć: w walkę z motoryzacją. W ubiegłym roku opublikowała książkę „AutoCorrect – Mobility for a Livable World (AutoKorekta – transport, z którym można żyć)". W programie wyraziła przekonanie, że w przyszłości prawo do posiadania i prowadzenia samochodu powinny mieć wyłącznie osoby z niektórymi niepełnosprawnościami oraz na części obszarów wiejskich, gdzie komunikacja dociera sporadycznie. Taka opinia w jej ustach nie jest niczym zaskakującym, skoro w sierpniu 2021 r. pani Diehl oznajmiła na Twitterze, że motoryzacja pociągnęła za sobą w Europie więcej ofiar niż obie wojny światowe razem wzięte.

Można by uznać, że niemiecka aktywistka antysamochodowa to ekstrema. Prawda jest jednak taka, że to nie tyle ekstrema, co awangarda w ścisłym znaczeniu tego słowa. Pochodzi ona przecież od francuskiego „avant-garde", czyli „straż przednia". Pani Diehl idzie jedynie na przedzie oddziału, którego celem jest eliminacja indywidualnej motoryzacji. Nie tylko spalinowej, lecz także w dużej mierze – jakiejkolwiek. Nawet jeśli wciąż jeszcze jest to maskowane hasłami o przechodzeniu z silników spalinowych na elektryczne.

## OD BUSPASÓW SIĘ ZACZYNA

Kiedy ponad dekadę temu zaczynały także w Polsce zyskiwać na popularności



eprasa.pl d51214625f

FOT. ADOBE STOCK

antysamochodowe pomysły, a w Warszawie trwały awantury o wytyczanie pierwszych buspasów, pisałem, że jest to część większej tendencji, żeby nie powiedzieć: planu. Bazą dla niego jest konsekwentna niechęć lewicy do indywidualnej motoryzacji jako czynnika upodmiotowiającego obywateli. Obywatel zaś podmiotowy być nie może, bo wówczas trudniej poddaje się lepieniu poprzez różne zabiegi lewicowej inżynierii społecznej. Spotykałem się wtedy z kpinami. Moi adwersarze dowodzili, że to jakieś urojenia oraz że nie chodzi tu o żadną eliminację motoryzacji, lecz jedynie o pragmatyczne rozwiązania w polityce miejskiej – bo do niej się to wtedy głównie sprowadzało – które będą ostatecznie korzystne dla wszystkich.

Spójrzmy, gdzie jesteśmy dzisiaj: przegłosowany w UE zakaz rejestracji nowych aut spalinowych od 2035 r., sztuczna i agresywna promocja bateryjnej elektromobilności, lawinowo mnożące się restrykcje w stosunku do ruchu samochodowego w wielu miastach Europy, zawarte w polskim KPO warunki mające uczynić posiadanie samochodu spalinowego nieatrakcyjnym finansowo oraz narzucające miastom tworzenie stref czystego transportu… Czy ktokolwiek może mieć jeszcze wątpliwości, że mamy do czynienia z systematycznym i planowym wykańczaniem indywidualnej motoryzacji?

Ciekawe, że rząd Prawa i Sprawiedliwości ma w tej sprawie swego rodzaju rozdwojenie jaźni. Trzy tygodnie temu minister klimatu Anna Moskwa mówiła w TVP: „Patrząc na rozwój elektromobilności, uważam, że zakaz rejestracji nowych aut spalinowych od 2035 r. jest nierealny". Zapowiadała też, że Polska nie zgodzi się na przymusowy zakaz rejestracji pojazdów spalinowych już za 12 lat. Problem w tym, że ta regulacja jest elementem pakietu „Fit for 55", na który polski rząd już się zgodził trochę ponad dwa lata temu, doskonale wiedząc, co się w nim znajduje. Nie bardzo wiadomo, co pani minister ma na myśli, mówiąc teraz, że na zakaz rejestracji aut spalinowych się nie zgodzimy, skoro decyzja już zapadła. Szansą na jej odwrócenie będzie jedynie zaplanowany jej przegląd w roku 2026.

W dodatku w innej rozmowie, tym razem w Radiu Zet, pani minister doradzała Polakom, żeby się nie martwili, że nie będzie ich stać na drogie auta elektryczne, bo przecież zawsze będzie je można sobie wypożyczyć. Ta tendencja – odchodzenie od własności na rzecz abonamentów i wypożyczania – ściśle łączy się z trendem do ograniczania indywidualnej motoryzacji. Łączy się z nim również restrykcyjna polityka klimatyczna UE, której jednym z wątków jest dążenie – niewypowiedziane wprost – do zmniejszenia możliwości podróżowania. Ma to zostać osiągnięte bodźcami finansowymi – włączeniem transportu, w tym lotniczego, do systemu ETS II, czyli uprawnień do emisji $CO_2$, co radykalnie podwyższy cenę biletów lotniczych oraz paliwa. Na dalszym etapie, na razie w formie luźnej propozycji, mówi się o „kredycie węglowym", czyli limicie emisji dla każdego obywatela. Jak się już mogliśmy przekonać, to, co najpierw jest rzucane jako niezobowiązujący pomysł, później staje się niestety twardą regulacją.

**Gdzie jesteśmy dziś: zakaz rejestracji aut spalinowych od 2035 r.; restrykcje w miastach, agresywna promocja elektromobilności**

## JAK RZĄD PREFERUJE BOGACZY

To również polski rząd wprowadził do Ustawy o elektromobilności możliwość tworzenia stref czystego transportu przez wszystkie gminy w Polsce. Reguluje to art. 39 tego aktu. Stanowi on, że strefę można ustanowić na czas nie krótszy niż pięć lat, co oznacza, że jeśli samorząd zdecyduje się na taki krok i wywoła to protesty, to SCT i tak nie będzie można zlikwidować wcześniej niż po pięciu latach. Mało tego, gminy dostały możliwość zarabiania na wydawaniu przepustek do SCT dla pojazdów innych niż ustawowo do niej dopuszczone. Opłata abonamentowa może wynieść do 500 zł miesięcznie, a jednorazowa – 2,5 zł za godzinę. Pieniądze z opłaty stanowią przychód własny gminy, który co prawda może być wydany jedynie na cele związane z elektromobilnością – np. zakup autobusów niskoemisyjnych – ale proszę mi pokazać samorząd, który



eprasa.pl d51214625f

przyciśnięty obecnymi warunkami ekonomicznymi nie skorzysta z takiej okazji.

Polski rząd wprowadził więc rozwiązania, które nie tylko sprzyjają niszczeniu indywidualnego transportu samochodowego, lecz także tworzą preferencje dla bogatszych. Oni na opłatę za wjazd do SCT albo na samochody elektryczne będą sobie mogli pozwolić. Podobny charakter miało ustanowienie w 2018 r. opłaty emisyjnej, doliczanej do każdego litra paliwa, która zasilała Fundusz Niskoemisyjnego Transportu, z którego z kolei przysługiwały dopłaty do zakupu samochodów na prąd. Czyli ubożsi dopłacali do „elektrowozów" bogatym. W 2020 r. fundusz został zlikwidowany, ale opłata została i zasila od tego czasu Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Trwa też program „Mój elektryk", tyle że w ramach NFOŚGW. Maksymalny koszt dofinansowywanego auta to, bagatela, 225 tys. zł. Maksymalna dopłata w obecnej edycji programu sponsorowania przez podatnika autek na baterię to 18 750 zł.

**To rząd jest winny wprowadzeniu stref czystego transportu w Krakowie, Warszawie i nieuchronnie w innych miastach**

Wreszcie to także rząd jest pośrednio winny planom wprowadzenia SCT w Krakowie, Warszawie, a nieuchronnie również w kilku innych dużych polskich miastach. Taki warunek zawiera bowiem nieszczęsny Krajowy Plan Odbudowy. „Kamień milowy" E1.2 to „wejście w życie aktu prawnego wprowadzającego obowiązek tworzenia stref niskoemisyjnych dla wybranych, najbardziej zanieczyszczonych miast". Opis tego punktu brzmi: „W akcie prawnym ustanowiony zostanie od I kw. 2025 r. obowiązek tworzenia stref transportu niskoemisyjnego w miastach powyżej 100 000 mieszkańców, w których występuje przekroczenie poziomów szkodliwych substancji w stosunku do unijnych progów zanieczyszczenia powietrza, oraz przewidziane zostanie rozszerzenie możliwości ich wprowadzania na wszystkie obszary miejskie, niezależnie od liczby mieszkańców. Do stref będą mogły wjeżdżać wyłącznie »niskoemisyjne« pojazdy osobowe. W ciągu 9 miesięcy od daty otrzymania informacji o przekroczeniu poziomu stężenia zanieczyszczeń powietrza miasta utworzą na swoim terenie strefy czystego transportu". Ten „kamień milowy" umieszczono jako warunek dla piątej transzy pożyczkowej (czyli normalnego kredytu, tyle że w ramach KPO) o wartości ok. 1,1 mld euro.

Tu pojawia się pytanie o rzetelność pomiarów zanieczyszczeń, a KPO niczego w tej sprawie nie precyzuje. Wiadomo, że jeśli stacje pomiarowe są ustawione w miejscach o dużym natężeniu ruchu i jest ich wiele – a tak właśnie jest w Polsce – to jest to rodzaj manipulacji, bo wskazania będą nieuchronnie wyższe, niż gdyby stacje były mniej zagęszczone i stały w oddaleniu od głównych arterii.

## STRASZNE SKUTKI „CZYSTYCH STREF"

Skutki wprowadzenia stref będą dla obywateli druzgocące. Kraków poszedł najdalej, bo postanowił objąć strefą całe miasto. SCT ostatecznie wykluczy ponad 20 proc. samochodów zarejestrowanych w Krakowie – a to przecież nie wszystko, bo do miasta nie wjadą także tysiące pojazdów osób mieszkających w ościennych gminach. W trakcie bardzo gwałtownych dyskusji o wprowadzaniu krakowskiej strefy jej przeciwnicy wskazywali, że inaczej niż w przypadku choćby programu wymiany pieców węglowych na inne rodzaje ogrzewania tutaj właściciele pojazdów z zakazem wjazdu do SCT nie dostaną żadnej dotacji na wymianę aut na nowsze. Oznacza to, że ustanowienie stref uderzy w prawo własności mieszkańców miast, gdzie się one pojawią: ktoś będący właścicielem starszego samochodu po prostu straci możliwości korzystania z niego na mocy odgórnej regulacji, choć kupował pojazd przecież całkowicie legalnie.

W Warszawie ratusz zdecydował się na mniejszy zasięg strefy, prawdopodobnie nie chcąc wywoływać wzburzenia porównywalnego z tym w Krakowie, ale konsekwencje będą nie mniej bolesne. Według wyliczeń „Rzeczpospolitej" już w ciągu dwóch lat od wprowadzenia strefy liczba pojazdów mogących poruszać się po objętym nią obszarze spadnie o ponad 100 tys.! A to tylko ci, którzy mają pojazdy zarejestrowane w stolicy. Na przedostatnim etapie, w 2030 r., szlaban na wjazd do SCT dostanie – uwaga – ok. 250 tys. samochodów! Przy czym nie rozłoży się to równo pomiędzy dzielnice. Na przykład z Targówka nie wjechałoby ponad 48 proc. pojazdów. W 2032 r., na ostatnim etapie, z wielu dzielnic nie wjechałaby do strefy ponad połowa aut.

Strefy są nie tylko projektem wpisującym się w antysamochodową ideologię. To również przejaw skrajnej arogancji władzy – i tej centralnej, i lokalnej. Rządzący mówią obywatelom: zakażemy wam korzystania z waszych samochodów i nic nas nie obchodzi, co zrobicie. Radźcie sobie.

Ani warszawski ratusz, ani krakowski magistrat nie tłumaczą, jak zamierzają pomóc ludziom, którzy nagle będą musieli szukać albo parkingów na granicy strefy, albo korzystać z transportu publicznego. Nikt nie przedstawił analizy pokazującej, ilu osób nie będzie stać na zakup nowszego auta, spełniającego normy, o elektryku nie mówiąc, a więc jaka liczba mieszkańców będzie chciała skorzystać zamiast tego z miejsca w autobusach i tramwajach. I co miasta zamierzają z tym zrobić. Nikt też nie dostarczył analizy pokazującej, jak poradzą sobie biznesy korzystające przecież głównie z samochodów z silnikiem Diesla. Tymczasem na ostatnim etapie warszawskiej SCT maksymalny wiek pojazdów z takim napędem będzie wynosił zaledwie 11 lat, czyli będą to mogły być jedynie samochody kupione zaledwie w 2021 r.

KPO zawiera również „kamienie milowe" zakładające nałożenie specjalnej opłaty rejestracyjnej na samochody spalinowe, potem – specjalnego opodatkowania, a także – w ramach „promocji transportu kolejowego" – opłat na 1,4 tys. autostrad i dróg ekspresowych. Wszystko to uderzy w posiadaczy aut.

## WPYCHANIE ELEKTRYKÓW LUDZIOM

To jednak tylko część układanki. Ważniejsze, bo forsowane na poziomie Unii, jest wpychanie ludziom samochodów elektrycznych. I to tylko w jednej



eprasa.pl d51214625f

technologii, czyli bateryjnej. Wodorowa, znacznie praktyczniejsza, aczkolwiek tworząca również poważne problemy infrastrukturalne, jest na etapie wczesnego wdrażania. Tyle że samochody na baterię mają tyle wad – oprócz pewnych zalet – że ostatecznie mogą się okazać technologiczną ślepą uliczką. Tymczasem UE zaangażowała się w działanie bez precedensu: odgórne wymuszanie rzekomego postępu – w imię ideologii klimatystycznej – polegające na wciskaniu ludziom towaru, który w normalnych warunkach, czyli bez dotacji i karnych obciążeń finansowych nakładanych na pojazdy spalinowe, pozostałby niszowy. W styczniu tego roku w Norwegii, będącej dla wielbicieli elektromobilności ziemią obiecaną, sprzedaż samochodów ładowanych z sieci spadła o 80 proc. rok do roku, bo skończyła się większość przywilejów finansowych dotąd sztucznie ją pompujących.

Samochody na baterię, poza tym, że są znacząco droższe od spalinowych, są też bez porównania mniej praktyczne. Ich podstawowym ograniczeniem są zasięg i konieczność wielokrotnie dłuższego ładowania, niż trwa zatankowanie samochodu spalinowego. W Polsce dochodzi do tego jeszcze słaba dostępność stacji ładowania. Optymiści, którzy twierdzą, że za kilka lat to się zmieni, nie rozumieją, że możliwość tworzenia nowych, zwłaszcza szybkich stacji ładowania o dużej mocy (ładujących prądem stałym o napięciu od 400 do 800 V) zależy od wydolności infrastruktury energetycznej, która w naszym kraju jest w kiepskim stanie i takich obciążeń na masową skalę po prostu nie udźwignie.

Na początku 2021 r. były w Polsce 1992 stacje, zapewniające niespełna 3900 punktów ładowania. Ale aż 72 proc. z nich stanowiły wolne ładowarki prądu przemiennego. W Internecie można znaleźć wiele artykułów dziennikarzy motoryzacyjnych, którzy próbowali przejechać autem na prąd dłuższą trasę. Kiedy się je czyta, nie wiadomo, czy śmiać się czy płakać. Trasa, którą autem spalinowym pokonałoby się niemal bez zatrzymywania i bez żadnych przygotowań w cztery godziny, samochodem elektrycznym zajmuje przynajmniej sześć, a często dłużej, wymaga wcześniejszego drobiazgowego planowania i obfituje

**Prawdziwym celem ideologów jest odebranie nam możliwości swobodnego podróżowania**

w przygody, takie jak niedziałające ładowarki albo konieczność odczekania godziny w kolejce do kabla.

Kiedyś atutem było przynajmniej to, że samochód elektryczny był w „tankowaniu" wyraźnie tańszy, a nawet całkowicie darmowy. Jednak strategia koncernów energetycznych dotycząca ustawiania punktów bezpłatnego ładowania przypominała zachowanie dilera narkotyków, który rozdaje darmowe działki, żeby uzależnić klientów od sprzedawanej substancji i narzucić im potem odpowiednio wysokie ceny. Dziś darmowych ładowarek już prawie nie ma, a z powodu wzrostu cen energii w całej Europie ładowanie pojazdów na baterię, szczególnie w publicznych punktach ładowania, staje się cenowo porównywalne z tankowaniem na stacji benzynowej (a także pozostaje znacznie mniej praktyczne).

Jeszcze we wrześniu ubiegłego roku holenderski „De Telegraaf" wyliczył, że różnica w koszcie pokonania 100 km pomiędzy autem na baterię a samochodem spalinowym zużywającym siedem litrów benzyny na 100 km wynosi 1 euro. Ale uwaga: na korzyść auta spalinowego.

W Polsce, m.in. w związku z powrotem VAT na prąd do wysokości 23 proc., operatorzy ładowarek kolejny raz podwyższyli ceny. Gdybyśmy chcieli naładować samochód elektryczny tak, jak tankujemy spalinowy – czyli w pierwszym dostępnym miejscu, nie przejmując się abonamentami (są takie w przypadku aut na prąd), zapłacilibyśmy absurdalnie dużo. Weźmy jako przykład KIĘ e-Niro w wersji o mocy 204 KM. Ładowanie jednorazowe od zera do 80 proc. na stacji najbardziej rozbudowanej sieci GreenWay szybką ładowarką prądu stałego o mocy powyżej 100 kW będzie nas kosztowało prawie 195 zł, przy czym teoretyczny zasięg – w realnych warunkach zwykle wyraźnie krótszy – to zaledwie 360 km. W przeliczeniu koszt dla 100 km to 54 zł. Identycznie będzie kosztować przejechanie 100 km autem spalającym osiem litrów na 100 km przy cenie 6,7 zł za litr benzyny. Tyle że tankowanie będzie wielokrotnie szybsze.

Można oczywiście ładować auto elektryczne z fotowoltaiki i wtedy faktycznie będzie to niemal bezkosztowe. Nie licząc oczywiście ceny instalacji. Ale też będzie to trwało koszmarnie długo, a dostęp do takiej metody będą mieć tylko właściciele domów, którzy wyposażyli je w baterie słoneczne.

Nie ma co się łudzić, że ceny samochodów elektrycznych spadną. Owszem, na rzecz spadku działałby teoretycznie efekt skali, ale dokładnie ten sam efekt działa w odwrotną stronę. Im bowiem więcej aut elektrycznych będzie produkowanych, tym bardziej deficytowe stawać się będą pierwiastki ziem rzadkich, które są niezbędne do wytwarzania akumulatorów, a więc będzie rosła ich cena. Zwłaszcza że poziom ich wydobycia mocno nie przystaje do rosnących potrzeb. Już pojawiają się zakusy, aby na wzór OPEC+ zbudować kartel państw mających zasoby takich surowców. Takie plany snuje Indonezja, na której obszarze znajduje się 38 proc. zasobów światowych rudy niklu. Dziś metal z Indonezji jest zdatny do wytwarzania stali nierdzewnej, ale nie akumulatorów, jednak Dżakarta pracuje już nad odpowiednimi technologiami. I trudno się dziwić: nikiel, lit, kobalt i inne niezbędne w elektromobilności metale ziem rzadkich z powodu ideologicznie motywowanego ustawodawstwa UE mają szansę stać się wkrótce nową ropą naftową. Przy czym, o ile kraje europejskie posiadają własne złoża ropy naftowej, głównie na Morzu Północnym, o tyle złoża metali ziem rzadkich są niewielkie, a i tak nie dotyczy to całego zestawu niezbędnego do produkcji akumulatorów.

Tak naprawdę efektem nie będzie więc przejście jeden do jednego z transportu spalinowego na elektryczny, ale drastyczne ograniczenie dostępu do indywidualnego transportu samochodowego w ogóle. Zgodnie z marzeniami pani Diehl i innych ideologów, których prawdziwym celem jest odebranie nam możliwości swobodnego podróżowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

FOT. ADOBE STOCK

# Rewolucja „na pych”

*Jakub Wozinski*

**Koszty ponoszone przez polskich podatników na wdrażanie elektromobilności są całkowicie niewspółmierne do odnoszonych korzyści**

Prawdziwe rewolucje technologiczne mają do siebie to, że w stosunkowo szybkim czasie doprowadzają do niemal całkowitego przeobrażenia całych gałęzi gospodarki. Słynny ekonomista Joseph Schumpeter określił kiedyś tworzone przez przedsiębiorców innowacje mianem „twórczej destrukcji”, gdyż nowe technologie przyczyniają się nierzadko do zniszczenia wielu firm bazujących na rozwiązaniach, które z dnia na dzień okazują się przestarzałe.

Zapatrzonym w agendę zrównoważonego rozwoju decydentom na całym świecie, w tym w Polsce, bardzo zależy na tym, aby również wystąpić w roli „twórczych destruktorów” lub przynajmniej dopomóc w dziele destrukcji transportu spalinowego. Elektryczny wehikuł, przy pomocy którego ludzkość ma wjechać w epokę „czystego transportu”, musi wciąż jednak być odpalany przez podatników „na pych” i niestety nie wygląda to na przejściową usterkę, która kiedyś ustąpi.

## PODATKOWY NAPĘD

Do odpalania e-aut „na pych” potrzeba z roku na rok coraz więcej osób, a ściślej rzecz biorąc, ich pieniędzy z podatków, które rządzący wydatkują z wielką swobodą. Statystycznemu Polakowi elektryczne auto wydaje się wciąż dość kosztownym przedsięwzięciem, na które stać tylko lepiej zarabiające osoby, lecz w praktyce to właśnie słabiej zarabiający składają się nieustannie na to, aby niewielka część społeczeństwa mogła korzystać z projektu elektromobilności. Głównym motorem napędowym motoryzacyjnej rewolucji nie są bogaci i zamożni, lecz państwo, które z sobie tylko znanej przyczyny uparcie dąży do tego, aby zapełnić kieszenie producentów aut.

Według najnowszych danych w grudniu ubiegłego roku liczba zarejestrowanych w Polsce e-aut wzrosła z 37 tys. do ok. 61,5 tys. (w liczbie tej zawierają się zarówno auta elektryczne, jak i hybrydowe). Niemały udział w tym przyroście miały jednostki budżetowe. Zgodnie z ustawą o elektromobilności już od 1 stycznia obecnego roku na wszystkie samorządy nałożono obowiązek realizacji zadań publicznych z wykorzystaniem transportu zeroemisyjnego w wysokości co najmniej 10 proc. W ten sposób w samym tylko ubiegłym roku Warszawa zakupiła 130 nowych zeroemisyjnych autobusów, Gdańsk 18, Kraków 22, Poznań 25, Wrocław 13, a podobnie uczyniła zdecydowana większość polskich miast. A to dopiero początek wielkich zakupów, gdyż od 1 stycznia 2025 r. jednostki samorządowe, których liczba mieszkańców przekracza 50 tys., będą zobowiązane zapewnić już 30-procentowy udział aut elektrycznych we flocie użytkowanych pojazdów. W kolejnych latach, wraz z przybliżaniem się do zeroemisyjnego punktu kulminacyjnego wyznaczonego na 2050 r., wymiana samorządowego taboru będzie przyspieszać jeszcze bardziej.

Ostatnio część samorządów zaczęła zgłaszać wątpliwości, co do wykonalności nad wyraz ambitnego planu ze względu na skokowo rosnące ceny energii elektrycznej. W dziele ocalenia planety lewicowe samorządy mogą jednak liczyć na bez-



eprasa.pl d51214625f

granicznie oddany zeroemisyjności rząd, który wspiera je finansowo na wszelkie możliwe sposoby. Bank Gospodarstwa Krajowego oferuje w ramach „Programu Inwestycji Strategicznych" m.in. specjalne dofinansowanie na zakup nie tylko autobusów, lecz także śmieciarek. Pomoc rządu polega również na tym, że zgodnie z obowiązującymi zapisami prawnymi już od 1 stycznia 2022 r. flota samochodowa organów administracji państwowej i urzędów centralnych musi być przynajmniej w 10 proc. zeroemisyjna. Pierwotnie zakładano, że już od 1 stycznia obecnego roku udział ten miał wzrosnąć do 20 proc., ale rząd po cichu uchylił ten przepis, gdy stało się jasne, że nie ma pieniędzy na jego realizację. Biorąc pod uwagę fakt, że już dziś spośród ok. 4 tys. należących do rządu aut co najmniej 10 proc. to auta elektryczne, łatwo można policzyć, jak wielki udział w „elektrycznej rewolucji" mają publiczne przetargi na zakup ponadprzeciętnie drogich pojazdów.

## DOPŁATY, ULGI, ZWOLNIENIA

Rewolucja „na pych" ma bardzo wiele oblicz. Jednym z nich jest nałożony w ramach ustawy o elektromobilności wymóg, aby nowo projektowane budynki użyteczności publicznej oraz budynki mieszkalne wielorodzinne były wyposażone w punkty ładowania pojazdów elektrycznych o mocy nie mniejszej niż 3,7 kW. Tego rodzaju punkty powstają coraz liczniej w wielu lokalizacjach za publiczne pieniądze, a koszt takiego przedsięwzięcia wynosi każdorazowo kilkaset tysięcy złotych (w zależności od lokalizacji). Gdyby nie unijne dotacje, większość z nich nigdy by zresztą nie powstała. Prywatne podmioty, których na rynku jest niewiele, nie kwapią się zaś do masowej produkcji punktów ładowania, dlatego na pomoc „twórczej destrukcji" musi przyjść kontrolowany przez Skarb Państwa Orlen, który zobowiązał się uruchomić do końca dekady łącznie 1 tys. stacji ładowania.

Rewolucję elektromobilności pchają do przodu wciąż kolejne podatkowe i finansowe zachęty, które mimo to nie przynoszą spodziewanych efektów. W ramach rządowego programu „Mój elektryk" osoby fizyczne mogą otrzymać z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej do 18 750 zł dofinansowania (lub do 27 tys. zł, gdy posiadają Kartę dużej rodziny), a przedsiębiorcy nawet do 70 tys. zł. Rocznie podatnicy zapłacą za to 700 mln zł. O tego rodzaju finansowym wsparciu użytkownicy aut spalinowych mogli zawsze tylko pomarzyć.

**Dopłacanie z publicznych pieniędzy do zakupu nowych pojazdów cieszy najbardziej zagranicznych producentów**

Dopłacanie z publicznych pieniędzy do zakupu nowych pojazdów cieszy oczywiście najbardziej zagranicznych producentów, którzy w minione wakacje sfinansowali nawet polskim właścicielom „elektryków" darmowy przejazd autostradami A1, A2 i A4. Wśród wspaniałomyślnych mecenasów elektromobilności obok światowych potentatów znalazły się, rzecz jasna, także spółki Skarbu Państwa.

Zakup elektrycznego auta zwolniony jest w Polsce z akcyzy, a zgodnie z uchwałą o elektromobilności tego rodzaju pojazdy mają być powszechnie zwolnione z opłat za parkowanie. Prawdziwą zmorą polskich miast stały się także udostępnione dla właścicieli elektryków buspasy, które w praktyce obarczają właścicieli aut spalinowych dodatkowymi kosztami w postaci m.in. utraconego czasu. Pomimo tego zapowiadana wszędzie rewolucja wciąż nie chce nadejść, a mizerny stan infrastruktury nie pozostawia złudzeń co do realności wielkich planów snutych przez rządzących.

## E-MOBILNY BLACKOUT

Dalsze podtrzymywanie fikcji zeroemisyjnego transportu na masową skalę jest nie tylko nierozsądne z powodu marnotrawienia miliardów złotych z pieniędzy podatnika, lecz także wprost zagrażające krajowej sieci energetycznej i kondycji całej gospodarki. Według niedawnego, szeroko komentowanego badania przeprowadzonego w Stanach Zjednoczonych przez firmę National Grid w razie kontynuacji kursu na e-mobilność już w 2030 r. przeciętna stacja ładowania aut przy autostradzie konsumowałaby tyle samo energii elektrycznej co duża sportowa arena w czasie masowej imprezy, a w 2045 r. tyle samo co wielka fabryka. Jeśli cały transport ciężarowy ma zostać udźwignięty przez e-auta, to stacje szybkiego ładowania muszą dysponować naprawdę potężnymi mocami, których szybka konstrukcja w najbliższym czasie jest niemożliwa.

Dotując elektromobilność, rząd w sposób sztuczny wzmaga popyt na energię elektryczną, co długofalowo przy obecnych ekologistycznych dążeniach może spowodować jedynie dalszy wzrost jej ceny. Przy 61,5 tys. e-autach daleko nam jeszcze oczywiście do blackoutów wywołanych przez masowe ładowanie pojazdów, ale zapisany w ustawach rozwój elektromobilności może niebawem podnieść skalę wyzwań na zupełnie nowy poziom. Tym bardziej że polski rząd już dawno temu skapitulował przed unijnym harmonogramem całkowitego rozstania się ze sprzedażą aut spalinowych do 2035 r.

Gdy w 2016 r. Mateusz Morawiecki zapowiadał milion elektrycznych aut na polskich drogach, na cały projekt wspierania elektromobilności można było jeszcze patrzeć jako na niegroźną fanaberię. Od tego czasu zmarnowano już jednak wiele miliardów złotych, a na horyzoncie pojawiło się ryzyko zapaści w transporcie. Przyspieszając „twórczą destrukcję" elektromobilności zakazami, dopłatami, zwolnieniami i specjalnymi programami, rządzący pracują coraz mocniej na to, aby cały proces przekształcił się w zwyczajną destrukcję całych gałęzi gospodarki.

Wbrew wszelkim głosom wieszczącym nieuchronne nadejście ery całkowitego rozbratu z pojazdami spalinowymi postępy elektromobilności na całym świecie stanowią przede wszystkim efekt pompowania ogromnych ilości publicznych pieniędzy w jej rozwój. Drugim motorem napędowym całego procesu jest polityka wielkich korporacji, banków i funduszy, które jednak prześcigają się we wspieraniu rynku e-aut głównie ze względu na patologiczne mechanizmy premiowania inwestycji spełniających standardy zrównoważonego rozwoju (ESG). Obecne wielkie wzmożenie w zakresie elektromobilności to przejściowa moda, o której ograniczeniach coraz głośniej mówi nawet kadra menedżerska największych producentów aut.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Sądy zatestowane na śmierć

Rafał A. Ziemkiewicz

**Czy prezydent podpisze przysłaną mu ostatecznie z Sejmu wersję ustawy o Sądzie Najwyższym „odblokowującej" KPO (wiemy już od komisarza Reyndersa, że i tak niczego to nie odblokuje) czy też ją zawetuje, ma znaczenie tylko dla rozgrywek politycznych. Polski wymiar sprawiedliwości już i tak został wepchnięty na równię pochyłą i nie widać siły, która chciałaby powstrzymać degrengoladę**

Zablokowanie Sądu Najwyższego „testami niezawisłości sędziego", zażądanymi przez jedną ze stron marginalnego sporu kompetencyjnego, powinno być uznane za sygnał alarmowy, ostrzeżenie przed zbliżającą się – piszę to bez cienia egzaltacji czy przesady – katastrofą polskiego wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem sprawa właściwie nie wyszła poza branżowe serwisy prawnicze i dalekie, poświęcone prawu kolumny drukowanych gazet; jeden tylko „Dziennik Gazeta Prawna" poświęcił jej pierwszą stronę (18 stycznia 2023 r. – podaję datę, bo tekst Małgorzaty Kryszkiewicz „Nowelizacja tylko pogłębi klincz w Sądzie Najwyższym" trudno już znaleźć w internetowej wyszukiwarce). Media bardziej wpływowe nie potraktowały owego klinczu nawet jako ciekawostki, po prostu, zajęte z jednej strony demaskowaniem rządów Donalda Tuska przed rokiem 2015, a z drugiej lansowaniem słowa „willa" na mem, który ma wpłynąć na wyborców, tak jak kiedyś „ośmiorniczki" czy wcześniej „firanki w mercedesie", paraliżu sądów nie uznały za temat godny ich uwagi.

W związku z tym, choć już o tej sprawie pisałem, pozwolę sobie ją przypomnieć. Musimy w tym celu wrócić do „kompromisu" zawartego z Komisją Europejską, który miał „odblokować fundusze z KPO". Nie tego, który obecnie tuła się pomiędzy Sejmem, Senatem a prezydentem, ale poprzedniego – tego, który zawarł był prezydent z przewodniczącą Komisji Europejskiej. Choć wkrótce po jego zawarciu przewodnicząca von der Leyen kompromis spektakularnie wymówiła, deklarując, stawiając kolejne warunki „odblokowania" (to one właśnie są obecnie „procedowane"), to przybrał on formę ustawy i wszedł w życie. W ten sposób, wraz z Izbą Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego, pojawiło się w polskim systemie prawnym kuriozum na skalę światową, nazwane „testem



eprasa.pl d51214625f

FOT. MATEUSZ SZYMAŃSKI/ADOBE STOCK

bezstronności sędziego". To znaczy możliwość orzekania przez sędziów o tym, czy inny sędzia ma prawo wykonywać obowiązki sędziego czy nie. Nie ma to nic wspólnego z istniejącą od dawna możliwością występowania o wyłączenie konkretnego sędziego z konkretnej sprawy, kiedy to trzeba wskazać jakieś realne powody – pokrewieństwo czy inne związki z jedną ze stron – dla których się jego bezstronność w tej akurat sprawie kwestionuje. W wypadku kuriozalnego, polskiego testu sędziowie mogą, choć to sprzeczne z konstytucją, orzec, że ich kolega został „nieprawidłowo powołany", bo nie przez to polityczne plemię, z którym oni się identyfikują. W takiej sytuacji logika prawa nakazuje jednak przyjąć, że „nieprawidłowo powołany" sędzia nie może orzekać w żadnej sprawie, a jeśli wcześniej, zanim go „wytestowano" z orzekania, uczestniczył w jakimś składzie orzekającym, to tamte orzeczenia są niebyłe.

## SĘDZIOWSKA MATEMATYKA

Być może prezydent, godząc się, w zamian za obietnicę (fałszywą, jak już wiemy) oddania Polsce jej części wspólnej europejskiej pożyczki, na przeniesienie sporu o status sędziów powołanych przez niego po roku 2015 na poziom tysięcy potencjalnych indywidualnych „testów", liczył na zdrowy rozsądek i opamiętanie sędziów ze starego układu – w końcu znienawidzeni przez tych ostatnich „neosędziowie" stanowią już jedną trzecią ogólnej liczby.

W takim razie okazał się naiwny, jak dowodzi przywołana na wstępie sprawa z Sądu Najwyższego. Jedna z sędziów poczuła się dotknięta oskarżeniem prezes SN, że prowadzi sprawę celowo opieszale, i pozwała ją. Ponieważ w składzie wylosowanym do rozstrzygnięcia sprawy znalazł się „neosędzia", sędzia owa, ze starego układu, jak również dwoje jej pełnomocników, zażądali, by go przetestować. W sumie wnioski były trzy, zatem powołano do testowania, zgodnie z kompromisową ustawą Dudy i von der Leyen, trzy siedmioosobowe składy (pięciu sędziów orzekających i dwóch zapasowych). Wśród owych 21 sędziów zaangażowanych w rozstrzyganie kompetencyjnego sporu z nowego rozdania pochodzi jednak 14, więc do trzech poprzednich doszły kolejne wnioski o testowanie – 14 x 7 to 42, a 45 x 7 = 315, czyli łącznie do testowania należy zgodnie z ustawą zatrudnić tylu właśnie sędziów. Problem w tym, że cały Sąd Najwyższy liczy ich, we wszystkich izbach, 115, z czego ok. jednej trzeciej kwestionowane jest przez innych sędziów jako „neosędziowie".

Dodajmy, że gdyby jakimś cudem udało się mimo wszystko przeprowadzić tych 45 „testów bezstronności" – biorę to określenie w cudzysłów, bo wobec braku jakiegokolwiek sformalizowanego prawa i orzecznictwa rzekomy test jest po prostu wypadkową widzimisię orzekających – to stronie niezadowolonej z wyniku przysługuje prawo odwołania. A do rozpatrzenia odwołania potrzeba składu jeszcze szerszego, dziewięcioosobowego (7 + 2), oczywiście złożonego z sędziów niezaangażowanych w poprzednie „testy". Sędziów testerów może więc szybko zabraknąć, pamiętajmy wszak, że w całym kraju jest ich, według aktualnych danych, tylko 9893 (choć to w proporcji do liczby obywateli i tak dwa i pół razy więcej niż np. we Francji, a ponad osiem razy tyle, co w Wielkiej Brytanii). Tym szybciej, że ci, którzy zostaną „wytestowani" negatywnie, nie będą mogli orzekać, a więc i testować, choć, zgodnie z prawem, pozostaną sędziami, więc za nieorzekanie będą pobierać pełne wynagrodzenie do końca swych dni (co może nie dla wszystkich stanowi perspektywę przerażającą, ale podatnikom zapewne się nie spodoba).

**Do większości prawników jeszcze nie dotarło, jak fantastyczne narzędzie do przeciągania postępowań w nieskończoność podarował im „odblokowujący KPO" kompromis z Unią**

Wprawdzie ogłoszone kilka dni temu przez Ministerstwo Sprawiedliwości statystyki mówią, że od momentu pojawienia się takiej możliwości w całym kraju zażądano „testowania" sędziego „zaledwie" 467 razy, co, zważywszy, że przed sądami toczy się ok. pół miliona rozmaitych postępowań, ministerstwo komentuje w tonie optymistycznym – ale to „zaledwie" może wynikać, i zapewne wynika, po części z tego, że do większości prawników jeszcze nie dotarło, jak fantastyczne narzędzie do przeciągania postępowań w nieskończoność podarował im „odblokowujący KPO" kompromis z Unią, a po części z tego, że wniosek o „testowanie" złożyć można tylko na samym początku sprawy. Zważywszy na to, jak często jedna ze stron postępowania zainteresowana jest jego odwleczeniem, takich wniosków będzie przybywać bardzo szybko, a liczba sędziów zaangażowanych we



eprasa.pl d51214625f

wzajemne testowanie – rosnąć lawinowo. Jak bowiem zauważyła w wywiadzie dla branżowego serwisu pierwsza prezes SN Małgorzata Manowska (stwierdzając zresztą, że w obecnym stanie prawnym sędziowie niedługo nie będą w stanie zajmować się niczym poza testowaniem się nawzajem), tępieni przez starą sitwę „neosędziowie" nie są wobec niej bezbronni. Podstawą do negatywnego „testu" równie dobrze jak „niewłaściwy tryb powołania sędziego", czyli przyjęcie ślubowania przez prezydenta nie z tej opcji politycznej, może być też stwierdzenie zaangażowania politycznego, czyli występy na politycznych manifestacjach, albo przynależność do sędziowskich przybudówek partii opozycyjnych, jak Iustitia czy Themis.

## PODPIS POGORSZY SPRAWĘ

Poza wszystkimi innymi szkodami trudno nie zauważyć, że rozpętana na taką skalę polityczna wojna w sądach rujnuje do reszty i tak już znikome zaufanie Polaków do wymiaru sprawiedliwości oraz publiczny wizerunek sędziów. Jest to jedna ze spraw, o których mówi sędzia Barbara Piwnik, uzasadniając swój niedawny wniosek o przejście w stan spoczynku. Trudno nie odnieść wrażenia – mówi w wywiadzie dla „Gazety Prawnej" z 8 lutego – że „sędziowie zajmują się głównie sobą i swoimi postępowaniami dyscyplinarnymi, a w wymiarze sprawiedliwości najważniejsze jest to, kto będzie je rozpoznawał. Obywatel może sobie wyobrażać, że środowisko sędziów składa się z nienawistnych sobie, skłóconych ludzi, zajętych swoimi sprawami zamiast tym, aby załatwić sprawy obywateli, którzy latami czekają nieraz na rozstrzygnięcie".

To bardzo ciekawy i bardzo gorzki wywiad jednej z najbardziej znanych polskich kobiet w togach, byłej minister sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera, która pomimo tego stała się dla sędziowskiego rokoszu wrogiem i „pisówką", gdy publicznie przeciwstawiła się manifestowaniu przeciwko rządowi w togach i z sędziowskimi insygniami. Sędzia Piwnik opisuje wiele przejawów narastającej deprawacji stanu sędziowskiego – począwszy od „olewania" pracy („w sądach po czternastej hula wiatr") i większego skupienia na lansowaniu się, np. w mediach społecznościowych, niż na służbie publicznej, upolitycznienia i płynących z niego podziałów, sprawiających, że „sędziowie nie rozmawiają ze sobą" – skądinąd, skoro sędziowie ze starego rozdania hurtem uznali wszystkich ślubujących po 2015 r. za „pisowców", to należało się spodziewać równie zbiorowej kontrreakcji – do nieodpowiedzialnych wypowiedzi sędziów Sądu Najwyższego, potrafiących otwarcie, publicznie zapowiadać jawnie bezprawne działania, „kiedy tylko odzyskamy władzę".

**Postępowanie eurokratów jest doskonale logiczne: rzucić Polskę na kolana, doprowadzić do ośmieszenia obecnej władzy i narzucenia w jej miejsce swojej**

Co w tym ponurym obrazie może zmienić procedowana z determinacją kolejna „odblokowująca KPO" ustawa? Jak słusznie zauważyła autorka cytowanego na wstępie artykułu o zablokowaniu się „testowaniem" Sądu Najwyższego, jeśli prezydent ją podpisze, to jeszcze bardziej sprawę pogorszy. Choćby dlatego, że przenosi ona „testowanie" do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Lider antyrządowego rokoszu prawników, Marek Wawrykiewicz, odrzucając stanowczo ten kolejny „kompromis", użył argumentu, że „roi się tam od neosędziów". To znaczące, bo w istocie odsetek „nowych" i „starych" sędziów jest w NSA podobny jak w całym środowisku. Ale NSA wielokrotnie orzekał nie po myśli lewicowo-liberalnej opozycji i jej prawniczych jaczejek – jak się więc zdaje, dla mecenasa Wawrykiewicza „neosędzią" jest nie tylko ten, kto dostał się do stanu sędziowskiego poza kontrolą starej sitwy, lecz także ten, kto orzeka niezgodnie z jej oczekiwaniami.

## RZUCIĆ POLSKĘ NA KOLANA

Dokładnie tak, jak wielu – w tej liczbie i my – zapowiadało, kolejny „kompromis" z UE okazuje się równie nieskuteczny jak poprzednie i jedynym skutkiem okazywanej przez Polskę uległości są następne, jeszcze dalej idące żądania. Po kompromisie „prezydenckim", zgodzie na kuriozalny mechanizm uznawania sędziów przez innych sędziów za „nieprawilnych", przewodnicząca von der Leyen zażądała m.in. hurtowej gwarancji bezkarności dla wszystkich sędziów łamiących polską konstytucję i polskie prawo. W wypadku obecnie procedowanego kompromisu kolejnego, w znacznym stopniu spełniającego to żądanie komisarz Reynders nawet nie czekał ze zdezawuowaniem go i postawieniem kolejnych warunków na przesłanie ustawy do podpisu prezydentowi. Kolejnym żądaniem, które postawił, jest uznanie przez Polskę za nadrzędne wobec krajowego i stosowane bezpośrednio prawo Karty praw podstawowych UE, która składa się z zapisów, najdelikatniej mówiąc, niezwykle ogólnikowych, interpretowanych przez eurokratów niezwykle kreatywnie – całe wymuszanie na Polsce „praworządności" i pozbawianie ją funduszy, dla którego nie ma najmniejszej podstawy prawnej w unijnych traktatach, oparte jest przecież na gwarantowanym przez wspomnianą kartę „prawie wszystkich obywateli do bezstronnego i sprawiedliwego sądu" i na arbitralnym uznaniu przez urzędników UE, że sądy w Polsce są „pisowskie", a więc nie są bezstronne i sprawiedliwe, i aby Unia je za takie uznała, Polska musi spełniać przesłane jej wytyczne. Z czym rząd PiS się de facto wielokrotnie zgodził, goniąc za mirażem obiecanych miliardów z KPO.

I tu jest właśnie, wielokrotnie już przez nas wskazywana, największa zagadka. Postępowanie eurokratów jest bowiem doskonale logiczne: rzucić Polskę na kolana, doprowadzić do ośmieszenia obecnej władzy i narzucenia w jej miejsce swojej, jak swego czasu we Włoszech i w Grecji, a w wariancie minimum sparaliżowanie państwa polskiego – bo paraliż sądów oznacza przecież stopniowy rozpad wszystkich funkcji państwa – to oczywisty element niemiecko-francuskiego planu scentralizowania zarządzania „państwem europejskim". Ale dlaczego z taką determinacją współpracuje w tym dziele rządzący Polską obóz polityczny, oficjalnie odwołujący się do ideałów patriotycznych, trudno wyjaśnić bez uciekania się do teorii spiskowych.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# W opozycyjnym kontredansie

*Piotr Semka*

**Donalda Tuska jako hegemona opozycji nikt nie chce. Na razie nie musi on się obawiać nieśmiałych wezwań do samoograniczenia jego władzy na rzecz Trzaskowskiego, ale gdy sondaże będą utrzymywać się na obecnym poziomie, nerwowość polityków opozycji i ich publicystycznych kibiców będzie wzrastać. I wtedy Trzaskowski może oswoić się z myślą ojcobójstwa wobec Tuska**

Przymiarki do tworzenia opozycyjnych list wyborczych przypominają grę, w której żadna ze stron nie jest szczera. Z jednej strony politycy opozycyjni deklarują, że najważniejszym ich celem jest odsunięcie PiS od władzy, a z drugiej strony bardzo trzeźwo egzekwują swoje interesy. Każdy z liderów, wybierając swoją politykę, przedstawia ją jako najbardziej racjonalny pomysł na zwycięstwo, jednocześnie milcząc o tym, co dla niego kłopotliwe. A dla polityków PO, samorządowców, ludowców i ludzi Hołowni jest to brak zaufania do Donalda Tuska i obawa przed jego dyktatorskimi zapędami.

Z tego powodu Szymon Hołownia wchodzi w rolę Stańczyka, który przekłuwa balon nadęcia wokół lidera Platformy i zachęca PSL do większej niezależności od PO. Tusk nie może też nie zauważać, że coraz więcej publicystów zaczyna przyznawać, że gdański liberał jest kulą u nogi dla obozu opozycji.

Posiedzenie Klubu KO z 6 lutego zakończyło się efektownym oświadczeniem Donalda Tuska: „Zleciłem szefom 16 regionów PO, by przystąpili do tworzenia wstępnych list wyborczych do Sejmu. Nie zamykamy się na bloki wyborcze, ale nie mamy już więcej czasu". Do wyborów jest jeszcze osiem miesięcy, więc teza o braku czasu wydaje się nieco naciągana. To bardziej nerwowy komunikat do partnerów z opozycji po pogrzebie idei jednej listy: „Łaski bez, idziemy w pojedynkę do boju z PiS!".

Donald Tusk musiał jakoś odreagować dwie gorzkie pigułki, które zdarzyły mu się w ciągu ostatnich tygodni. Pierwszą gorzką pigułką jest oczywiście demonstracja nieposłuszeństwa Szymona Hołowni, który puścił mimo uszu kategoryczne żądania Tuska, by zadeklarował się jednoznacznie w sprawie wspólnej listy opozycji. Co więcej, 7 lutego, jakby w ramach demonstracji, Hołownia oświadczył, że razem z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, liderem PSL, stworzą wspólną listę spraw do załatwienia. To wystąpienie mocno osłabiły pojawiające się wcześniej pogłoski, że ludowcy są skłonni wejść na jedną listę pod patronatem Tuska.

Ale jeszcze bardziej niemiłą niespodziankę sprawili Tuskowi samorządowcy z ruchu TAK! Dla Polski. Ten ruch gospodarzy wielkich i średnich miast, którego twarzą jest prezydent Sopotu Jacek Karnowski, zamówił sondaż z własnym logo i respondentom przedstawił swój ruch jako ugrupowanie Rafała Trzaskowskiego. Jak podała „Gazeta Wyborcza", takie działanie samorządowców wywołało szok w Platformie. We wspomnianym już sondażu stowarzyszenie TAK! Dla Polski wystąpiło jako samodzielny gracz na scenie politycznej i miało uzyskać trzecie miejsce z blisko z 11 proc. poparcia. Jak pisze „Wyborcza": „W klubie parlamentarnym PO zaczęły się emocje. Były tym większe, im więcej posłowie mieli informacji. A jedna z nich mówiła, że wbrew temu, co deklaruje Karnowski, kandydaci TAK! Dla Polski mają dostać po trzy miejsca w każdym okręgu wyborczym. Będą też »trójkami« na listach KO – ludzie się wściekli, bo nikt ich nie uprzedzał, opowiada jeden z posłów".

Liderzy PO zaczęli natychmiast uspokajać lokalnych działaczy, że do ułożenia list jest jeszcze daleko, trudno jest rozmawiać o personaliach, gdy nie wiadomo, w jakim układzie ostatecznie wystartuje opozycja. Według „Wyborczej" po akcji TAK! Dla Polski sytuację ratował osobiście Tusk. Jak komentował ważny polityk Platformy, na spotkaniu klubu 4 lutego lider PO zapewniał, że nie ma żadnych ustaleń ani przesądzających decyzji. Z kolei działacze skarżyli się Tuskowi, że irytuje ich kreowanie się samorządowego stowarzyszenia jako siły politycznej. Także Trzaskowski miał pośpiesznie dementować, że TAK! Dla Polski ma ambicje, by stać się samodzielną partią polityczną. Uspokajał ponoć kolegów, że rolą samorządowego stowarzyszenia jest jedynie wzmacnianie strony demokratycznej.

Czy rzeczywiście? W niedawnym wywiadzie dla „GW" prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak przyznał, że „niektórzy samorządowcy tak ostro licytują z Platformą, że grożą samodzielnym startem w przypadku braku otrzymania wystarczającej liczby miejsc na listach". Jak ujawnia Jaśkowiak: „Niektórzy członkowie ruchu TAK! Dla Polski mieli takie ambicje. Odwoływali się w tym kontekście do sukcesu wyborczego czeskiej partii Piratów. Moim zdaniem byłoby to szkodliwe, absurdalne wręcz wobec wyzwań, przed którymi obecnie w Polsce stoimy. To nie jest czas na prężenie muskułów oraz festiwal żądań i oczekiwań".

Cała sprawa pokazuje dwie rzeczy. Po pierwsze, nie zniknął w opozycji nurt, który chciałby skupić się wokół postaci Rafała Trzaskowskiego. Sam prezydent Warszawy dementuje, jak może, podejrzenia dotyczące jego chęci do stworzenia „czegoś własnego", ale Tusk najwyraźniej niespecjalnie w takie zaklęcia wierzy. Po drugie, cała awantura wokół samorządowców wobec



eprasa.pl d51214625f

ich żądań pokazuje, jak bardzo platformersi są wyczuleni na obdarowywanie nawet bliskich – wydawało się – polityków miejscami na liście. Skoro kwestia trzech miejsc dla TAK! Dla Polski budzi emocje w szeregach PO, to jakie będą reakcje, gdy w razie powstania wspólnej listy opozycji trzeba będzie robić miejsce nie tylko dla samorządowców, lecz także np. dla ludowców, „ludzi Hołowni" czy np. feministek, bo i one mogą chcieć dołączyć do wspólnej listy? Dla polityków trzeciego czy czwartego szeregu PO to bardzo niepokojąca wiadomość.

Dobrym przykładem nowego zjawiska – rywalizowania „starych platformersów" z samorządowcami – jest Poznań. O miejsce do Senatu rywalizują tam z jednej strony takie stare wygi, jak Marcin Bosacki, Rafał Grupiński i obecna senator Jadwiga Rotnicka, a z drugiej strony starosta Jan Grabkowski i przewodniczący rady miasta Grzegorz Ganowicz.

## KULA U NOGI O IMIENIU DONALD

Niezwykle pouczająca jest lektura tekstów publicystycznych kibiców opozycji, którzy coraz bardziej są rozdarci między lojalnością wobec Donalda Tuska a narastającą obawą, że były premier będzie obciążeniem dla kampanii opozycji. Dominika Wielowieyska w tekście z 27 stycznia w bardzo pokrętnym stylu zaprezentowała pomysł: „Może potrzeba, żeby Tusk sprecyzował, kiedy przekaże pałeczkę nowym politykom". Publicystka „GW" postawiła tezę, że „trójczłonowa koalicja KO-PSL-Polska 2050 oraz Lewica startująca osobno miałaby duże szanse na większość przełamującą weto prezydenckie". Jak stwierdza Wielowieyska, „na razie mamy do czynienia z awanturą po stronie opozycji, która ją bardzo osłabia". I radzi: „Jeśli trójczłonowa koalicja miałby powstać, to byłoby dobrze, aby to się stało już teraz i aby już teraz była notowana w sondażach. Wyborcy muszą się z taką koncepcją oswoić".

Publicystka „Wyborczej" sugeruje, że Tusk powinien powtórzyć manewr Jarosława Kaczyńskiego z 2015 r., gdy lider PiS wysunął na czoło kampanii duet Andrzej Duda na prezydenta i Beata Szydło na premiera. Wielowieyska snuje wizję: „Tusk precyzuje, kiedy przekaże pałeczkę nowym politykom. [...] Wedle tej formuły starszy lider sprząta bałagan po PiS-ie, a potem młodszy przejmuje rząd z czystą kartą".

**Publicystyczni kibice opozycji są coraz bardziej rozdarci między lojalnością wobec Donalda Tuska a narastającą obawą, że były premier będzie obciążeniem dla kampanii opozycji**

Jeśli Donald Tusk czytał te słowa, to jego uwagę musiało zwrócić bardzo dlań nieprzyjemne określenie Trzaskowskiego jako „polityka z czystą kartą". Wielowieyska mimowolnie przyznaje, że Tusk ma „zabrudzoną" kartę. Zabrudzoną choćby przekonaniem milionów Polaków, że za jego rządów żyło im się gorzej niż teraz, i obciążoną brakiem zaufania innych liderów opozycji do szczerości jego politycznych deklaracji.

Tę linię wsparł parę dni później, 3 lutego, także na łamach „Gazety Wyborczej", Jarosław Kuisz z Kultury Liberalnej. Publicysta zaproponował z kolei hasło: „Trzaskowski premierem, Tusk liderem partii". Kuisz bezlitośnie wylicza: „Z niedawnego sondażu CBOS wynika, że Rafał Trzaskowski cieszy się blisko 40-procentowym zaufaniem, wyprzedza go nieznacznie Andrzej Duda. Dla odmiany zarówno Donald Tusk, jak i Jarosław Kaczyński mają zdumiewająco podobny, czyli raczej niski, poziom zaufania społecznego, utrzymujący się na poziomie ok. 30 procent. Spójrzmy do ocen negatywnych. Tutaj Rafał Trzaskowski ma 37 procent, a więc też niemało. Jednak negatywny elektorat Tuska to aż 54 procent, a Kaczyńskiego 57 procent". Kuisz puentuje te dane, podsumowując: „Rok temu ich notowania były takie same. Ani pielgrzymka Kaczyńskiego po Polsce, ani spotkania Tuska z wyborcami nie poprawiły ani nie pogorszyły ich notowań. Opinie negatywne nawet nie drgnęły. Dochodzimy więc do najważniejszego pytania z punktu widzenia wyborców opozycji: Co z tym zrobić? [...] Szef PO powinien zaprezentować Trzaskowskiego jako potencjalnego kandydata na premiera, a sam pozostać na stanowisku przewodniczącego partii".

Tyle Jarosław Kuisz. Wierny paladyn Tuska, Tomasz Siemoniak, zdążył już wobec takich dywagacji wysłać mocny sygnał lojalności. „Donald Tusk jest i pozostaje kandydatem PO na premiera" – ogłosił. Skąd taka determinacja? Tacy publicyści jak Jarosław Kuisz najwyraźniej nie zauważają, że hipotetyczny podział ról na kandydata na premiera Trzaskowskiego i przewodniczącego partii Tuska bardzo różni się od sytuacji z 2015 r., kiedy Kaczyński wycofał się na drugi plan w partii. Lider PiS był wówczas niekwestionowanym liderem swojego ugrupowania. A Tusk dzisiaj to polityk, który musi zmagać się z wyrażanym, co prawda, po cichu, ale coraz silniejszym pomrukiem w partii: „Donald rządzi PO od półtora roku, a szklanego sufitu 28 procent nie pokonał". Gdy Tusk jest słaby i brak mu sukcesów, to oddanie ewentualnego premierostwa Trzaskowskiemu wywołać może w partii huragan. Starsze pokolenie, które postawiło na Donalda, zacznie tracić wpływy, a ośrodek władzy bardzo łatwo może przenieść się do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, którą objąłby w razie wygranej opozycji Trzaskowski.

## KLUB POSZUKIWACZY PROGRAMÓW

Kolejnym problemem Tuska jest jego uparta niechęć do przedstawiania jakiegokolwiek programu. Rywale Tuska z innych partii opozycyjnych już zaczynają widzieć w tym swoje szanse. Szymon Hołownia w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" kpi: „Wspólna lista to wielka wydmuszka [...]. To robienie mitologii z polityki doprowadza mnie do szewskiej pasji. Co chwila słyszę: partia to nie pralka, żeby musiała mieć program". I dodaje: „Jest cała masa ludzi, którzy mają już dość PiS, ale boją się, że opozycja nadal nie rozumie, dlaczego PiS wygrał w 2015 r. Jest cała masa ludzi, którzy widzą już, że Kaczyński obiecywał i oszukał. Zapewniam [...] oni nie zagłosują na Tuska".

W lukę antyprogramowości Platformy chce wejść też partia Razem Adriana Zandberga. Oni także z chęcią sięgają po swoje rozwiązania, słusznie argumentując: „My mówimy, czego chcemy, a Platforma kręci. Czy nie robi tego, aby powrócił dawny platformerski liberalizm?".

Zandberg zaczyna być wobec Platformy coraz ostrzejszy w tonie. Na posiedzeniu partii Razem 5 lutego mówił: „Jesteśmy bardzo młodą partią, ale dobrze pamiętamy, co doprowadziło do wygranej PiS. Były to błędy rządu Donalda Tuska: duszenie


eprasa.pl d51214625f

FOT. PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI/PAP

płac, zaciskanie pasa kosztem budżetówki, umowy śmieciowe, rozpad na Polskę A i B, zwijanie usług publicznych, tchórzliwa polityka wobec prawicy. Polityka prowadzona na kolanach przed biskupami i Episkopatem. To wszystko rozwinęło czerwony dywan przed PiS".

Nie zmienia to rzecz jasna faktu, że najtwardsi zwolennicy Tuska, tacy jak np. Leszek Miller, nie przestają chwalić kampanii wyborczej pod hasłem „zero programu". Miller pisze na Twitterze: „Dziś znów poza hasłem »odsunąć PiS od władzy« usłyszałem, że trzeba mieć programową ofertę. Tymczasem nie ma rzeczy istotniejszej niż pozbycie się PiS. To jest cały program! Na szczegóły przyjdzie czas po wyborach". Innymi słowy, niegdysiejszy lider SLD, a dziś „twardogłowy" tuskowiec Miller zachęca, by wyborcy opozycji, głosując na PO, kupowali kota w worku.

## NIKT NIC NIE WIE

Oczywiście cała konstrukcja układu list opozycji może się jeszcze wiele razy zmienić. Ale widać jedno: Donalda Tuska jako hegemona opozycji nikt nie chce. Składają się na to różne rodzaje nieufności. Od obserwacji niedobrych cech jego charakteru do braku zaufania do tego, w jaki sposób będzie dzielił dotacje budżetowe, na których – jak wszystko wskazuje – to on położy rękę.

W środę 8 lutego swoje odejście z Polski 2050 ogłosiła Hanna Gill-Piątek. Wygląda na to, że w ten sposób Donald Tusk zemścił się na Hołowni za wzgardzenie Tuskową wizją jednej listy opozycji. Były szef Rady Europejskiej pokazał znów swoją skuteczność, ale jednocześnie przypomniał innym graczom opozycyjnym, że miewa ostre zęby.

Donald Tusk na razie może się nie obawiać specjalnie nieśmiałych wezwań do samoograniczenia swojej władzy na rzecz Trzaskowskiego. Ale gdy sondaże będą utrzymywać się na obecnym poziomie, nerwowość polityków opozycji i ich publicystycznych kibiców będzie wzrastać. I wtedy Trzaskowski może oswoić się z pomysłem ojcobójstwa wobec Tuska. Słynny gdańszczanin może doczekać się sytuacji, w której coraz więcej ustaleń między innymi opozycyjnymi partiami może zacząć zapadać za jego plecami. Nie tylko zdradzeni mężowie dowiadują się o najważniejszych rzeczach jako ostatni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Klub stetryczałych liberałów

*Jan Fiedorczuk*

**Dla młodej lewicy liberalizm to ideologia niewiele mniej złowieszcza niż konserwatyzm, a takie postaci jak Leszek Balcerowicz, Marcin Matczak czy Tomasz Lis to polityczne dinozaury – reakcjoniści, wyzyskiwacze i sojusznicy kleru. Liberałowie III RP przez lata podcinali gałąź, na której siedzieli, nieświadomie torując drogę lewicowym radykałom**

Po tym, jak prof. Marcin Matczak opublikował w „GW" felieton, w którym przekonywał m.in., że „ateistyczne święta" to „nędzna proteza prawdziwego świętowania", ze strony lewicy posypały się na niego gromy FOT. JACEK WAJSZCZAK/REPORTER

Tuż przed Bożym Narodzeniem doszło do zaskakującej sytuacji na łamach „Gazety Wyborczej". Profesor Marcin Matczak opublikował w postępowym dzienniku felieton, w którym przekonywał, że „ateistyczne święta to samooszukiwanie się człowieka zagubionego w sekularnym do cna świecie", a zarazem „nędzna proteza prawdziwego świętowania".

Z pozoru nieznacząca sytuacja zaczęła jednak nabierać rozgłosu, a na sympatyzującego z opozycją prawnika zaczęły sypać się gromy z lewej strony. „Myślałem, że opowieści o wypranym z ducha, jałowym, egoistycznym i samotnym życiu zagubionego współczesnego bezbożnika, goniącego za płochymi przyjemnościami i podnietami, jest domeną zakompleksionych i zacofanych, za to napompowanych pychą prowincjonalnych księży" – tymi słowami felieton skomentował prof. Jan Hartman. Nieco mniej subtelnie zareagowała Manuela Gretkowska, która oceniła, że jeżeli prof. Matczak spróbuje tylko ją „wychowywać dla dobra Polski metodą na knebel, to powtórzę jeszcze raz »Wypie..alać« ze swoimi felietonowymi radami".

Słynny prawnik musiał pod wpływem krytyki opublikować obszerne wyjaśnienie, w którym tłumaczył się ze swych słów. Sprawa przedświątecznego felietonu, nawet jeżeli sama w sobie zabawna, w rzeczywistości jest dobrą egzemplifikacją szerszego procesu rozchodzenia się środowisk liberalnych z lewicą.

## SCHYŁEK „DZIADOCENU"

Wcześniej podobna sytuacja przytrafiła się Leszkowi Balcerowiczowi na Campusie Polska Rafała Trzaskowskiego. Były wicepremier wdał się wówczas w dyskusję na temat nierówności społecznych oraz zaangażowania państwa w gospodarkę. Balcerowicz bronił wówczas klasycznie liberalnych postulatów, co spotkało się z dość chłodnym przyjęciem zgromadzonej publiki. Na sali unosił się raczej duch Thomasa Piketty'ego niż Miltona Friedmana (w tym miejscu warto przypomnieć, że swego czasu jeden z działaczy młodzieżówki Lewicy określił Balcerowicza mianem „Mengelego polskiej gospodarki").

Najciekawiej było jednak chwilę później, gdy Balcerowicz wdał się w dyskusję na temat zmian klimatycznych, wskazując, że nie ma konsensusu co do genezy ocieplenia klimatu, czym wywołał ogólną wesołość zebranych. Zresztą Balcerowicz już w 2010 r. w rozmowie z „Newsweekiem" przekonywał, że globalne ocieplenie nie jest realnym niebezpieczeństwem. „To polityka klimatyczna jest zagrożeniem dla rozwoju niektórych krajów, w tym Polski" – twierdził wówczas.

Czy dzisiaj miałby odwagę powtórzyć te słowa? Wątpliwe. W ostatnich latach, mimo iż rządzi nominalna prawica, to ogólny dyskurs przesunął się znacząco na lewo. Zgodnie z zasadą okna Overtona – poglądy niegdyś traktowane jako część mainstreamu dzisiaj są uważane za ekscentryczne; natomiast te, które niegdyś postrzegano jako ekscentryczne, dzisiaj powszechnie uważane są za skrajne.

Minęła niecała dekada i to, co w 2014 r. okołoplatformerskim liberałom jeszcze uchodziło na sucho, dzisiaj spotyka się ze zdecydowanym odporem młodego pokolenia sympatyków PO.



eprasa.pl d51214625f

„Dziadocen [nawiązanie do „antropocenu" – przyp. J.F.] płacze, że młody człowiek wytknął niewiedzę. Mam ochotę poklepać go po plecach i powiedzieć »już dobrze, już po wszystkim, już wszyscy wiedzą«. Starsze chłopaki też mogą płakać. Ja rozumiem, że dla nich to całe obnażenie jest bolesne" – tymi słowami rzecznik prasowa Greenpeace Katarzyna Guzek skomentowała wypowiedź Balcerowicza z Campusu. Z kolei kilka lat temu radykalnie lewicowy portal OKO.press umieścił Balcerowicza za jego wypowiedzi na temat klimatu na „liście wstydu".

## STETRYCZAŁY LIBERALIZM

Kolejnym przykładem stetryczałego liberała, który zdaniem młodych radykałów mentalnie utknął w poprzedniej epoce, jest choćby Tomasz Lis – przez całe lata czołowa postać platformerskiego backgroundu. Boje byłego naczelnego „Newsweeka" z lewicą są zresztą powszechnie znane. Swego czasu na Facebooku oraz Twitterze powstały nawet satyryczne profile pokroju „Czy Tomasz Lis obraził dzisiaj lewicę?", na których dosłownie wyliczano dzień po dniu kolejne spięcia między dziennikarzem a lewicą.

Balcerowicz, Lis czy Matczak pod względem intelektualnym wywodzą się z lat 90. Albo wręcz 80. – schyłek PRL i narodziny III RP to doświadczenie pokoleniowe, które jest zupełnie obce dla młodej lewicy symbolizowanej na scenie politycznej przez partię Razem. Gdy liberałowie robili kariery, to działacze dzisiejszej lewicy – choćby posłowie Adrian Zandberg, Marcelina Zawisza czy Maciej Konieczny – chodzili nadal do szkoły. Wyrastając z innego pokolenia, nie są obciążeni ani dziedzictwem PRL, ani Solidarności.

Dodatkowo liberalizm wczesnej III RP miał oblicze centrowe czy nawet umiarkowanie prawicowe i niewiele go łączyło ze współczesnymi środowiskami progresywnymi na Zachodzie, dla których idea wolności jest przede wszystkim rozumiana jako wolność od społeczeństwa, norm i tradycji, a nie jako wolność gospodarcza. Liberałowie pokroju Balcerowicza czy Lisa pchani antypisowską emocją sami podcinali gałąź, na której siedzieli. Skoro Kaczyński zmonopolizował w Polsce pojęcie prawicy, to oni, aby się tylko odróżnić od konserwatystów, mimowolnie zaczęli schodzić w rejony lewicy, do której najzwyczajniej nie pasowali.

Doskonałym zobrazowaniem tego zjawiska była sytuacja sprzed kilku miesięcy, gdy Tomasz Lis stwierdził, że „większość normalnych ludzi" jest przeciwnikami aborcji i jakkolwiek on sam popiera „prawo" do przerywania ciąży, to rozumie osoby traktujące aborcję jak zabójstwo. Wpisy dziennikarza wywołały falę zdziwienia i oburzenia po opozycyjnej stronie sceny politycznej. „Co Ty człowieku bredzisz?" – komentowała wówczas poseł Anna Żukowska, co dość dobrze oddaje emocje, które wywołał popularny dziennikarz.

Przeciwnikiem aborcji jest też inny „stetryczały liberał", były prezes Trybunału Konstytucyjnego, prof. Andrzej Rzepliński, który przerywanie ciąży wprost nazywa zabójstwem, co również swego czasu ściągało na niego gromy z lewej strony. Zresztą krytyka aborcji jest dość powszechna wśród „stetryczałych liberałów" – podobnie wypowiadali się swego czasu Balcerowicz czy Matczak, a i znaczna część działaczy PO z niesmakiem przyjęła proaborcyjny zwrot Tuska.

Sprawa nie dotyczy wyłącznie aborcji, ale całej lewicowej agendy obyczajowej. Lis również był krytykowany w przeszłości przez środowiska LGBT, gdy stwierdził, że wywieszanie tęczowej flagi na pomniku Chrystusa obraża katolików. „Lis nawet nie uświadamia sobie, że należy do rasy panów […]. Zrównując happening kilkuosobowej grupy z ogromnym, zmasowanym działaniem państwa i Kościoła – staje de facto po stronie naszych oprawców" – pisali wówczas lewicowi aktywiści z czasopisma „Replika", które samo określa się jako jedyny magazyn LGBTQIA (sic!) w Polsce.

Całkiem niedawno w TVN24 prof. Rzepliński wskazywał, że zmiana prawa w kwestii LGBT w Polsce nie jest tak prosta, jak wydaje się aktywistom lewicowym ze względu na porządek prawny. Reakcje były łatwe do przewidzenia. Najostrzej zareagowała, ponownie, Anna Żukowska, której zdaniem były prezes TK nie powinien się publicznie wypowiadać, gdyż „mocno nie ogarnia kontaktu z rzeczywistością" oraz „nie dociera do niego, że para niehetero może być rodziną".

W przeszłości prof. Rzepliński przyznawał, że jego system wartości można uznać za „konserwatywno-liberalny" i jest bliski poglądom Platformy Obywatelskiej. Były prezes TK, podobnie jak wcześniej Lis czy Balcerowicz, nie zauważył jednak, że PO przeszła w ostatnich latach diametralne przeobrażenie i nie tylko w niczym nie przypomina już partii Olechowskiego i Rokity, lecz także niewiele ma wspólnego nawet z nieodległymi czasami prezydenta Komorowskiego i przewodniczącego Schetyny.

## ZMIANA KLIMATU

Platforma Obywatelska rodziła się jako kolejna odsłona tzw. konserwatywnego liberalizmu, gdzie komponent konserwatywny wszak nie był bez znaczenia. Ciekawych odsyłam w tym miejscu do słynnej „deklaracji krakowskiej", gdzie politycy młodej wówczas partii zapewniali, że będą walczyć o pełne prawa polskiej tożsamości narodowej oraz że mają zamiar bronić praw religii w Unii, zapewniając jednocześnie o potrzebie połączenia Polski „z chrześcijańskimi Narodami Zachodniej Europy".

Platforma od dłuższego czasu była trawiona przez wewnętrzne problemy, nie potrafiąc się określić w sferze ideowej. Ostatecznie uznano najwidoczniej za konieczne ściganie się z Lewicą o najmłodszy elektorat. Wyrazem tego był radykalny zwrot PO w stronę środowisk LGBT, agendy ekologicznej oraz postulatów proaborcyjnych. Największa partia liberalna w Polsce z jednej strony przejęła obyczajowe postulaty lewicy, z drugiej natomiast de facto pogodziła się z lewicową polityką gospodarczą PiS, przyznając, że „nic z tego, co zostało dane, nie zostanie odebrane". Z samego „konserwatywnego liberalizmu" nie zostało już nic poza „klubem stetryczałych liberałów", którego członkom nikt nie zdążył powiedzieć, że ich czas minął.

W pierwszych latach III RP liberalizm kojarzył się z postępem i nowoczesnością, podczas gdy hasło socjalizmu otrzymało siermiężno-nieporadną gębę prowincjonalnego aparatczyka PZPR. Trudno byłoby wówczas przypuszczać, że już niedługo najmłodsze pokolenia same zaczną powracać do socjalistycznych sloganów, traktując liberałów jako polityczne dinozaury, wyzyskiwaczy i sojuszników kleru. Przewartościowanie, które obserwujemy w obozie postępowym, nie dotyczy wyłącznie personaliów. Widzimy ewidentny zwrot na lewo w samej sferze idei, co ostatecznie może mieć dla Polski nieporównanie poważniejsze konsekwencje niż schyłek gwiazd pokroju Lisa czy Balcerowicza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Ilu żołnierzy będzie nas bronić

FOT. ADOBE STOCK

*Łukasz Zboralski*

**Czy z polskiej armii odchodzą żołnierze? I czy możemy mieć pretensje do ludzi, którzy mieli nas bronić, ale wystraszyli się bliskiego za naszymi granicami konfliktu?**

W obliczu konfliktu rozgrywającego się tuż przy naszej granicy trzeba stawiać pytania o to, jak jesteśmy przygotowani do obrony własnego kraju. W zakresie sprzętu wydaje się, że przygotowanie idzie Polsce całkiem nieźle. Ba, nawet może najlepiej w UE.

Ministerstwo Obrony Narodowej poinformowało w ubiegłym tygodniu, że Departament Stanu USA wyraził zgodę na sprzedaż Polsce 500 wyrzutni HIMARS. Kupimy więc za 10 mld dol. sprzęt, który znakomicie sprawdza się Ukraińcom w walkach z agresorem. Produkowane przez Lockhed Martin wyrzutnie montowane będą na polskich podwoziach. Wraz z nimi kupujemy też amunicję, w tym rakiety ATACMS o zasięgu 300 km i precyzyjne rakiety GMLRS-AW. Jaki będą miały zasięg te satelitarnie naprowadzane rakiety – nikt nie ujawnia. Wiadomo za to, że Ukraińcy dostali ten sprzęt z pewnymi ograniczeniami. Zamiast na 300 km mogą strzelać jedynie do 80 km.

Oprócz HIMARS Polska podpisała też umowy na: śmigłowce AW149, śmigłowce AW101, wyrzutnie Chunmoo, samoloty F-35, samoloty FA/50, czołgi Abrams czy satelity obserwacyjne. Do żołnierzy Wojska Polskiego trafiły już m.in. systemy Patriot, czołgi K2, armatohaubice K9, drony Bayraktar, niszczyciele min Kormoran II, armatohaubice Krab, moździerze Rak, zestawy Piorun, zestawy Pilica czy zestaw Mała Narew.

Oprócz tego polskie wojsko wyposażane jest w polski karabinek Grot. Dziś można o nim powiedzieć już, że jest sprawdzony w boju – używają go żołnierze na Ukrainie i recenzje tej broni są pozytywne. W tym roku MON podpisał kolejną umowę i zamówił blisko 70 tys. tych karabinków produkowanych przez Fabrykę Broni „Łucznik" – Radom.

– Podtrzymujemy nasz cel, czyli minimum 300 tys. żołnierzy Wojska Polskiego, a więc o takiej liczbie możemy mówić w kontekście zamówień karabinków. To oczywiście nie wszystko, ponieważ musimy mieć także przygotowane karabinki, które będą stanowiły wyposażenie rezerwistów. Minimum 300 tys. żołnierzy Wojska Polskiego plus rezerwiści – to jest liczba, o której mówimy, jeżeli chodzi o zamówienia na karabinki Grot – mówił wicepremier i szef MON Mariusz Błaszczak.

Ta sprawa – liczebności polskiego wojska – budzi jednak ostatnio wiele kontrowersji. Zwłaszcza że pojawiły się doniesienia o sporej liczbie osób, które



eprasa.pl d51214625f

ostatnio z wojska odpływają. Ilu więc naprawdę mamy żołnierzy?

## 16 TYS. ZRZUCIŁO MUNDURY

Zacznijmy od tego, że wliczanie rezerwistów do potencjału wojskowego to naprawdę tylko szacunki. Wystarczy przypomnieć sobie, co się działo, gdy niedawno w Polsce rozeszła się wiadomość o powoływaniu rezerwistów na obowiązkowe ćwiczenia. Gdy poinformowano, że MON zamierza przeszkolić ok. 200 tys. rezerwistów, wielu zareagowało na to oburzeniem, które czasem po prostu maskowało strach. Przecież także na Ukrainie nie wszyscy mężczyźni poszli walczyć. Nigdy tak zresztą nie jest.

Media alarmowały w tym roku, że wyjątkowo niedobrze wygląda też sprawa kadr żołnierzy zawodowych. Pisano wręcz o exodusie wojskowych. Resort nie odpowiadał dziennikarzom na pytania o liczby. Za to 29 stycznia minister Mariusz Błaszczak opublikował dane na Twitterze. Wynika z nich, że w ubiegłym roku z wojska odeszło 8988 żołnierzy zawodowych. To największa fala odejść za rządów Zjednoczonej Prawicy. Wcześniej – oczywiście z różnych względów, także zdrowotnych czy związanych z osiągnięciem wieku emerytalnego – z wojska odchodziła rocznie mniej więcej połowa tej liczby.

W dodatku „Rzeczpospolita" ujawniła, że podobna liczba w 2022 r. odeszła z Wojsk Obrony Terytorialnej. Z tej formacji wycofało się aż 7962 żołnierzy. Oznacza to ubytek o siedem tysięcy, bo tysiąc żołnierzy z WOT przeszło po prostu do zawodowej służby wojskowej. Należy jednak zauważyć, że tylko od początku 2023 r. roku powołano do WOT prawie 11,5 tys. ochotników – czyli liczbę przekraczającą wszystkie całoroczne odejścia.

Inaczej też wygląda blisko 9 tys. odejść żołnierzy zawodowych, gdy dodać, że – jak informuje na swojej stronie MON – w 2022 r. do dobrowolnej służby zasadniczej zgłosiło się prawie dwukrotnie więcej, niż odeszło, bo blisko 13 742 żołnierzy zawodowych.

– W tym roku przygotowaliśmy ponad 25 tys. miejsc w dobrowolnej zasadniczej służbie wojskowej. Dynamicznie rozwija się także WOT, który liczy 36 tys. żołnierzy. Naszym celem jest to, żeby Wojsko Polskie liczyło co najmniej 300 tys. żołnierzy, w tym 50 tys. żołnierzy WOT i 250 tys. żołnierzy zawodowych. Mogę powiedzieć, że dziś pod bronią mamy 164 tys. żołnierzy – wyliczał 28 stycznia podczas wizyty w Lublinie minister obrony narodowej.

**Według szefa MON „pod bronią" jest w Polsce obecnie 164 tys. żołnierzy**

Problem liczebności wojska jest jednak realny, bo – znów odwołajmy się do twitterowej informacji szefa MON – tylko w tym roku ze służby zrezygnowało już w sumie 4392 wojskowych. A mamy za sobą zaledwie jeden miesiąc.

## DLACZEGO ODCHODZĄ?

Warto zauważyć, że zwiększone odejścia z wojska następują pomimo podwyższania wynagrodzeń i rozmaitych świadczeń. Jak wynika z informacji MON, w 2022 r. najniższa stawka uposażenia zasadniczego żołnierza zawodowego wynosiła 4560 zł. Było to aż o 82,4 proc. więcej w porównaniu z 2015 r. (2060 zł). Z kolei wysokość przeciętnego uposażenia zasadniczego żołnierza zawodowego wraz z dodatkami wynosiła 6304,74 zł, co oznaczało wzrost w porównaniu z 2015 r. o 2294,74 zł.

A to nie wszystko. Dzięki zmianom w ustawie o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej żołnierze służący dotychczas na podstawie kontraktów uzyskali takie same uprawnienia jak żołnierze w służbie stałej. Otrzymali też wyższą odprawę mieszkaniową. W 2022 r. zmieniono również zasady wyliczania świadczenia mieszkaniowego. Od 1 stycznia tego roku jest ono podwyższone. Do tej pory – w zależności od garnizonu – żołnierz dostawał miesięcznie 360–900 zł, a w tym roku 450–1,5 tys. zł. Żołnierze w ubiegłym roku dostali też wiele innych dodatków, np. kompensacyjny i specjalny, których wysokości sięgają od 45 zł do 5250 zł.

A pod koniec ubiegłego tygodnia Senat przegłosował ustawę wprowadzającą nowy dodatek motywacyjny dla żołnierzy. Po osiągnięciu 15 lat służby będą dostawać dodatkowe 5 proc. uposażenia oraz dodatkowo 1 proc. za każdy kolejny rok służby. Ustawę musi już tylko podpisać prezydent.

Mediom – w tym np. Onetowi – żołnierze podają rozmaite powody rezygnacji. Przebija w nich ton rozczarowania starej kadry, która nie może się pogodzić z tym, że ochotnicy (odbywają 28-dniowe szkolenie podstawowe, a potem przez 11 miesięcy szkolenie specjalistyczne) dostają lepsze wyposażenie.

Inne powody? Rzekomo nasilony nepotyzm, przepracowanie (wiele nadgodzin), a częściowo także trudniejsza sytuacja ekonomiczna.

To, co nie pada z ust żołnierzy, to strach przed wojną. Zapewne jest jedną z motywacji, ale taką, którą publicznie nikt się dzielić nie chce. Służba w czasach spokojnych była w zasadzie pracą jak każda inna (poza oczywiście wysyłaniem na misje, gdzie uczestniczono w realnych konfliktach, ale to też dotyczyło tylko ochotników kuszonych wysokim wynagrodzeniem). Inaczej zaczyna wyglądać, gdy kilkaset kilometrów od Polski spadają rakiety i toczą się ciężkie frontowe walki, a nikt nie wie, czy rosyjska agresja nie rozleje się na całą Europę czy świat.

Ostatecznie „pod bronią", jak to określa MON, mamy dziś w kraju 164 tys. żołnierzy. Wliczani do tego mają być wszyscy ci, którzy zdecydowali się na dobrowolną zasadniczą służbę wojskową – a więc nawet studenci uczelni wojskowych.

Jak niewielka to liczba, niech świadczą dane przedstawione latem ubiegłego roku przez ministra obrony Ukrainy Ołeksija Reznikowa. Przyznał wówczas, że w działaniach sektora bezpieczeństwa i obrony (a więc nie tylko na froncie, lecz także w logistyce itd.) uczestniczy ok. miliona osób w mundurach. Wśród nich jest 700 tys. żołnierzy Sił Zbrojnych Ukrainy, 90 tys. członków Gwardii Narodowej, 60 tys. pograniczników i 100 tys. policjantów.

Nawet jeśli na potrzeby wojennego PR liczby te zostały mocno zawyżone, to polski zasób nie wypada na tym tle szczególnie korzystnie. Czy projekty zbliżające ludzi do wojska, typu „Trenuj z Wojskiem", lub kampanie zachęcające wprost do założenia munduru pomogą?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Złamane serca pań

**Z Markiem Telerem, dziennikarzem i pisarzem**
*rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*

Franciszek Brodniewicz
FOT. NAC

**TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Najbardziej wszechstronnym artystą spośród opisanych w pańskiej publikacji był Zbigniew Rakowiecki?**

**MAREK TELER:** Jest on dla mnie sztandarowym przykładem amanta nowoczesnego, który zaczynał od występów w operetkach i teatrzykach rewiowych, a dopiero potem rozwinęła się jego kariera filmowa. Znamy go przede wszystkim z ról w takich filmach jak „Fredek uszczęśliwia świat", „Włóczęgi" czy „Ja tu rządzę", w których wcielał się najczęściej w czarujących młodzieńców z dobrego domu. Nie tylko umiał bardzo dobrze grać, lecz także potrafił tańczyć i śpiewać, a przy tym obdarzony był wyjątkową urodą i urokiem osobistym. W 1939 r. jego kariera aktorska dopiero nabierała tempa, lecz niestety wybuch drugiej wojny światowej nie pozwolił mu w pełni rozwinąć skrzydeł. W okresie okupacji niemieckiej aktor występował w teatrach jawnych, m.in. w Komedii i Miniaturach, lecz jednocześnie – co najmniej od 1942 r. – był zaangażowany w działalność konspiracyjną. Kiedy zaś 1 sierpnia 1944 r. wybuchło powstanie warszawskie, bez wahania chwycił za broń, aby walczyć o swoją ukochaną ojczyznę.

**Uda się w końcu sprecyzować okoliczności jego śmierci?**

Zginął 5 sierpnia 1944 r. w czasie rzezi Ochoty, rozstrzelany przez rosyjskich żołnierzy z SS-RONA przy ul. Radomskiej 14. Szczegółowych informacji na temat okoliczności śmierci artysty dostarczają dokumenty z Polskiego Czerwonego Krzyża, przede wszystkim zaś protokół z ekshumacji. Niedługo po wojnie z nieznanych bliżej powodów zaczęły jednak pojawiać się inne opisy jego śmierci – sugerowano choćby, że zginął wraz z 11 towarzyszami przejechany przez niemieckie czołgi. Przez tę pojawiającą się w powojennej prasie dezinformację ojciec Zbyszka, Bronisław Rakowiecki, był przekonany, że ciało jego syna nigdy nie zostało odnalezione, a tymczasem od 1946 r. spoczywało ono na Cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli.

**Franciszek Brodniewicz także nie przeżył powstania warszawskiego...**

Był swego rodzaju fenomenem przedwojennego polskiego kina, ponieważ karierę filmowego amanta rozpoczął już po czterdziestce. Stał się ulubieńcem



eprasa.pl d51214625f

zarówno młodych dziewcząt, jak i matek. W czasie powstania warszawskiego ze względu na swój stan zdrowia nie mógł zaangażować się w aktywną walkę zbrojną, ale brał udział w odnajdywaniu i dostarczaniu zrzutów broni dla walczących powstańców. W czasie jednej z tego typu akcji doznał rozległego zawału serca, który doprowadził do przedwczesnej śmierci 52-letniego aktora. Początkowo jego ciało pochowano w pobliżu kamienicy przy ul. Złotej 73, po czym w kwietniu 1945 r. staraniem wielbicielki artysty, pani Raszkowskiej, został pochowany na cmentarzu Bródnowskim. Warto wspomnieć, że w czasie drugiej wojny światowej Brodniewicz ukrywał w swoim mieszkaniu Żydówkę Rachelę Adler, a także dopomógł w ucieczce swojemu sąsiadowi, którego ścigało gestapo. Odrzucił też propozycję zagrania w antypolskim filmie „Heimkehr" i właściwie nie grał w teatrach jawnych – dopiero w czerwcu 1944 r. wystąpił w jednej sztuce Teatru Nowego.

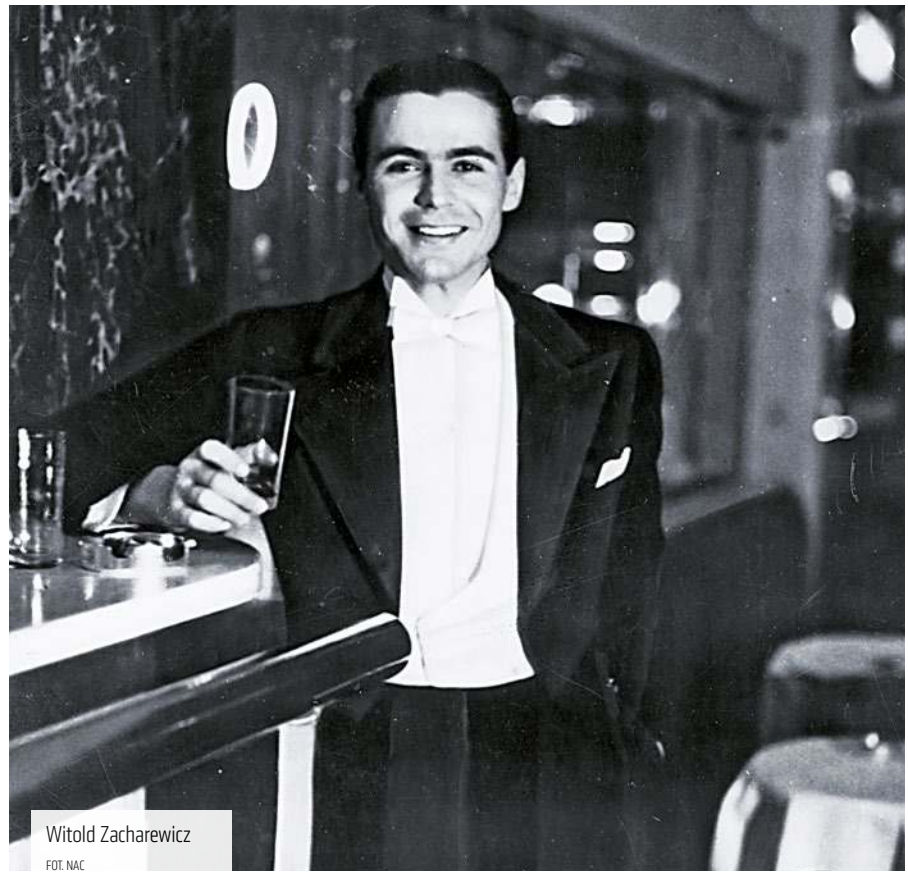

Witold Zacharewicz

FOT. NAC

**Witold Zacharewicz miał szansę na karierę w Hollywood?**

Tak, po roli króla Zygmunta II Augusta w filmie „Barbara Radziwiłłówna", pokazywanym na festiwalu filmowym w Wenecji, młodym aktorem zainteresowała się wytwórnia Samuel Goldwyn Inc. W zbiorach rodziny Zacharewiczów zachował się nawet list od jej europejskiego przedstawiciela Petera Witta, w którym prosił Witolda o nagranie taśmy testowej dla amerykańskich filmowców. Propozycja przyszła w 1938 r., lecz aktor musiał odbyć służbę wojskową w jednostce Wojsk Łączności w Zegrzu. Kiedy po odbyciu rocznej służby miał znów skupić się na artystycznym rozwoju, wybuchła druga wojna światowa. Hollywoodzkie plany zeszły w tym momencie na drugi plan, a Witold wziął udział w kampanii wrześniowej. Chociaż nawet w czasie okupacji Amerykanie ponawiali swoją ofertę i chcieli ściągnąć Zacharewicza do Stanów Zjednoczonych wraz z rodziną, nie wyobrażał sobie robienia międzynarodowej kariery, kiedy jego rodacy walczyli o przetrwanie lub ginęli w walce o wolność.

**Rolę życia odegrał podczas okupacji?**

Dołączył do 10-osobowej komórki konspiracyjnej, która zajmowała się wyrabianiem i wydawaniem fałszywych dokumentów dla ukrywającej się po aryjskiej stronie ludności żydowskiej. Został jednak zadenuncjowany przez adwokata Tomasza Zdanowskiego, poznanego jeszcze w wojsku, który okazał się niemieckim szpiclem. W czasie próby w teatrze jawnym Maska aktor został aresztowany przez gestapo, a następnie wywieziony do Auschwitz. Jego żona, Halina, rozpaczliwie walczyła o uwolnienie męża, lecz Niemcy postawili sprawę jasno: nie ma szans na uratowanie jej męża, ponieważ jego przypadek dotyczy pomocy Żydom. Zaledwie 29-letni aktor zginął zabity zastrzykiem z fenolu 16 lutego 1943 r., pozostawiając młodziutką wdowę i niespełna trzyletniego synka. W obozie koncentracyjnym Birkenau zginęła z kolei jego matka Wanda Zacharewiczowa, również zaangażowana w działalność wspomnianej komórki konspiracyjnej.

**Kazimierz Junosza-Stępowski zginął z powodu ślepej miłości do żony i partactwa likwidatorów Narodowych Sił Zbrojnych?**

Historia wybitnego aktora teatralnego i filmowego Kazimierza Junoszy-Stępowskiego, występującego na scenie przez ponad cztery dekady, miała wyjątkowo dramatyczny finał. Jego żona, śpiewaczka Jadwiga de domo Kossówna (primo voto Galewska), na początku lat 20. próbowała zaistnieć jako aktorka teatralna i filmowa pod pseudonimem Jaga Juno, lecz mimo wysiłków wpływowego męża zakończyło się to całkowitym fiaskiem. Zapewne na skutek artystycznego niespełnienia zaczęła sięgać po morfinę, która w czasie okupacji niemieckiej stała się towarem wyjątkowo drogim i trudno dostępnym. Aby mieć pieniądze na narkotyk, zaczęła wykorzystywać rodziny osób osadzonych na Pawiaku czy w obozach koncentracyjnych. Brała od nich pieniądze, oferując pomoc i powołując się na swoje rzekome znajomości z wpływowymi Niemcami, a następnie kupowała za nie morfinę. W końcu zaczęła też współpracować z gestapo, za co otrzymała od polskiego podziemia – zarówno Narodowych Sił Zbrojnych, jak i Armii Krajowej – wyrok



eprasa.pl d51214625f

Zbigniew Rakowiecki

FOT. NAC

śmierci. Kiedy żołnierze NSZ przybyli do mieszkania Stępowskich, by zabić kolaborantkę, Junosza zasłonił żonę własnym ciałem. Aktor zmarł w szpitalu po kilkugodzinnych męczarniach, a jego żonę zlikwidował dopiero kilka miesięcy później batalion „Miotła", oddział likwidacyjny Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej. Ta historia stała się inspiracją dla filmu Jerzego Sztwiertni pt. „Oszołomienie", w którym główne role zagrali Władysław Kowalski i Maria Pakulnis.

**Mający żyłkę mechaniczną Mieczysław Cybulski wybrał po roku 1945 żywot emigranta.**

Ten popularny przedwojenny amant, znany z ról w takich filmach jak „Cham", „Rapsodia Bałtyku" czy „Dziewczyna szuka miłości", w czasie drugiej wojny światowej podróżował po świecie na statku „Batory" – wpływał m.in. do portów w Algierii, Egipcie, Indiach, we Włoszech i na Malcie. W czasie pobytu w Szkocji poznał Elizę Mowlam Davidson, z którą postanowił spędzić resztę życia. Po wojnie małżeństwo zamieszkało w Stanach Zjednoczonych, gdzie przyszedł na świat ich syn Mieczysław junior (obecnie używający imienia Mitchell). Na emigracji Cybulski imał się różnych zawodów – był m.in. sprzedawcą w sklepie spożywczym, malarzem pokojowym i mechanikiem, a następnie postanowił poświęcić się gastronomii. Początkowo pracował jako kelner w restauracji La Vieille Varsovie – The Old Warsaw, następnie otworzył własną restaurację Epicure, a potem pracował jeszcze w kilku lokalach gastronomicznych. W końcu powrócił do The Old Warsaw, gdzie zajmował się m.in. przygotowywaniem sali dla gości. Na pewno dużym ułatwieniem na emigracji był dla niego fakt, że aktorstwo nigdy nie stanowiło jego głównego zawodu. Przez cały okres swojej kariery pracował bowiem jako mechanik w Polskich Kolejach Państwowych i wytwórni silników Ursus.

**Za Atlantykiem osiadł też Adam Brodzisz...**

... znany z filmów „Dziesięciu z Pawiaka" czy „Głos pustyni". W latach 50. występował z żoną Marią Bogdą w teatrach Bielska-Białej i Poznania. Zagrał też po wojnie w dwóch filmach – „Czarci żleb" i „Trzy starty" – lecz nie zdołał odzyskać utraconej pozycji w polskiej kinematografii. Na początku lat 60. małżonkowie opuścili Polskę i udali się do Stanów Zjednoczonych, naiwnie licząc na to, że uda im się zaistnieć w Hollywood, choćby w epizodach. Aktorska para nie znała jednak w dostatecznym stopniu języka angielskiego, toteż ich pomysł okazał się zupełnie nierealny. Zaczęli prowadzić fermę szynszyli, a co jakiś czas gościli u siebie przyjeżdżających do USA polskich artystów, m.in. aktora Zbigniewa Dobrzyńskiego. Warto podkreślić, że choć Brodzisz był uwielbianym przez kinomanki amantem, to spędził u boku jednej kobiety ponad 50 lat. Kiedy w 1981 r. zmarła Maria Bogda, zupełnie się załamał. Dołączył do niej pięć lat później.

**Aleksander Żabczyński, zapisawszy piękną kartę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, wrócił do Polski Ludowej. Ku swemu nieszczęściu?**

„Król amantów" Aleksander Żabczyński, który był jednym z żołnierzy walczących w 1944 r. pod Monte Cassino, powrócił do Polski, ponieważ w kraju pozostała jego ukochana żona Maria z Zielenkiewiczów Żabczyńska. Ze względu na swoją wojenną działalność był inwigilowany przez Urząd Bezpieczeństwa. W ramach planu „Wisła" bezpieka przez niemal dekadę rozpracowywała artystę pod kątem jego domniemanych powiązań z kontrwywiadem amerykańskim. W Polsce Ludowej nie było już dla niego miejsca w kinematografii. Pozwolono mu grać w stołecznych teatrach, początkowo w Klasycznym, następnie w Polskim. Była to jednak tylko namiastka dawnej popularności gwiazdora, którego przeboje „Powróćmy jak za dawnych lat", „Już nie zapomnisz mnie" czy „Nie kochać w taką noc to grzech" nucą kolejne generacje Polaków.

**Zabrakło mi w książce sylwetek Eugeniusza Bodo, Jerzego Pichelskiego, Zbyszka Sawana czy Witolda Contiego...**

Nie było łatwo wyselekcjonować tuzin, wybór bohaterów książki był subiektywny. Przede wszystkim chciałem opisać losy tych niemal zupełnie zapomnianych: Zbigniewa Staniewicza, Leszka Pośpiełowskiego, Włodzimierza Łozińskiego, Jerzego Marra i Andrzeja Karewicza. Świadomie zrezygnowałem z umieszczenia w książce sylwetki Bodo, ponieważ powstała o nim znakomita biografia pióra Ryszarda Wolańskiego, a okoliczności śmierci aktora zostały przybliżone m.in. w dokumencie Stanisława Janickiego „Za winy niepopełnione". O Pichelskim i Sawanie wspominałem w mojej książce „Zagadka Iny Benity. AK-torzy kontra kolaboranci". Z kolei Witold Conti będzie bohaterem mojej publikacji, która ukaże się w roku przyszłym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Marek Teler** – absolwent UW, dziennikarz, pisarz, autor książek: „Zapomniani artyści II Rzeczypospolitej", „Zagadka Iny Benity. AK-torzy kontra kolaboranci", „Upadły amant. Historia Igo Syma" i najnowszej „Amanci II Rzeczypospolitej".*



eprasa.pl d51214625f

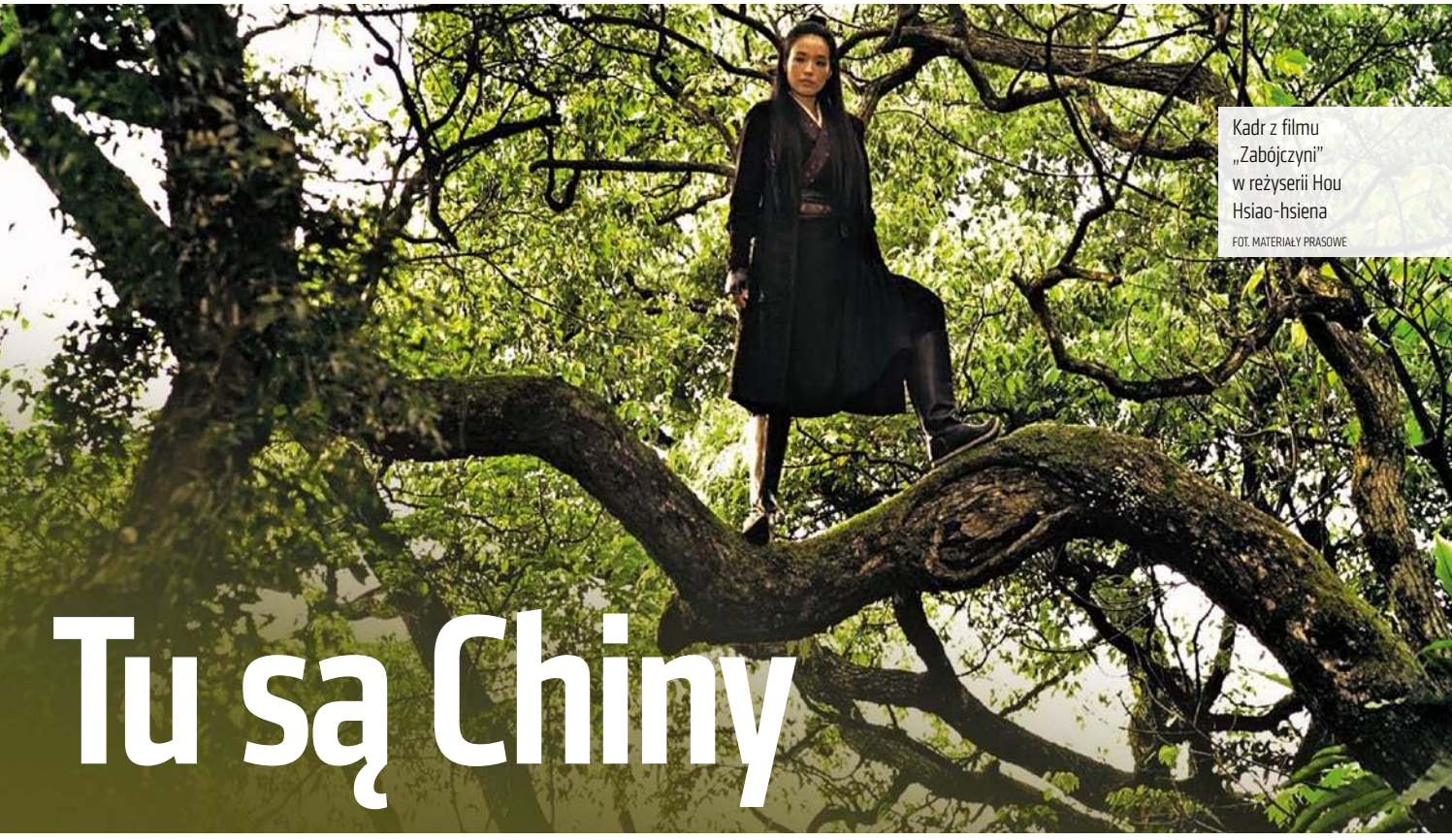

Kadr z filmu „Zabójczyni" w reżyserii Hou Hsiao-hsiena

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Tu są Chiny

*Piotr Gociek z Tajwanu*

**Podczas gdy światowy box office jest zdominowany przez produkcje z komunistycznych Chin, z wolnego Tajwanu pochodzi to, co najlepsze i najważniejsze w chińskiej kinematografii**

Duży może więcej, pieniądz oślepia, a bezmyślność prowadzi na manowce. Co jakiś czas rozmaite portale filmowe – także w Polsce – analizując listy najbardziej kasowych filmów tygodnia czy miesiąca na świecie, zachwycają się wynikami chińskich superprodukcji.

Najbardziej kasowym filmem początku lutego na świecie był film „Wędrująca Ziemia 2" („Liu Lang Di Qiu 2"), sequel hitu SF znanego nam z Netflixa. Miejsce drugie zajął nowy film Zhanga Yimou „Man Jiang Hong" („Full River Red"), dopiero trzeci był nowy „Avatar" Jamesa Camerona. W pierwszej dziesiątce były jeszcze trzy inne produkcje chińskie: dwie animacje („Xiong Chu Mei Ban Wo Xiong Xin" – „Boonie Bears: Guardian Code" oraz „Shen Hai" – „Deep Sea") i „Wu Ming" („Hidden Blade").

Przed rokiem było podobnie – dzięki premierom wprowadzanym do kin w chiński Nowy Rok produkcje z ChRL dominowały w zestawieniach. Rzecz o tyle zrozumiała, że otwarto kina po pandemii, a ludne Chiny mogły przegłosować resztę świata nogami. Doradzam ziółka na uspokojenie – dolary to nie wszystko, ekscytujecie się nie tymi Chinami, co trzeba.

## SUKCESY CHIN NIEKOMUNISTYCZNYCH

W cieniu potężnego komunistycznego sąsiada z kontynentu od wielu dekad prężnie rozwija się bowiem kinematografia Tajwanu, czyli Chin niekomunistycznych. Osobną kartę w historii chińskiego kina zapisał też Hongkong. Kiedy w roku 2005 grono 101 krytyków i filmowców przyznających Hong Kong Film Award ogłosiło listę stu najlepszych filmów powstałych w języku chińskim, w pierwszej dziesiątce znalazły się cztery filmy w Tajwanu, cztery z Hongkongu i tylko dwa z komunistycznych Chin. Przeciętny widz europejski często nie ma pojęcia, że to, co najcenniejsze, jeśli chodzi o filmy kręcone w języku chińskim, powstaje na wyspie, a nie na kontynencie.

Kinematografia Tajwanu może pochwalić się prestiżowymi sukcesami. Jeśli chodzi o Oscary, to wszelkie zaszczyty związane są z Angiem Lee. Jego filmy trzykrotnie były do Oscara nominowane. Chodzi o „Przyjęcie weselne" (1993), „Jedz i pij, mężczyzno i kobieto" (1994) oraz głośny hit „Przyczajony tygrys, ukryty smok" (2000), który ostatecznie zdobył Oscara. Blisko nominacji, czyli na krótkiej liście tytułów rozważanych przez Akademię, znalazły się w ostatniej dekadzie filmy „Warriors of the Rainbow: Seediq Bale" (2011) oraz „A Sun" (2022). W roku 2000 nagrodę dla najlepszego reżysera otrzymał w Cannes Edward Yang za



eprasa.pl d51214625f

Kadry z filmu „I raz, I dwa" („Yi Yi") w reż. Edwarda Yanga FOT. MATERIAŁY PRASOWE

film „Yi Yi". W roku 2015 to osiągnięcie powtórzył weteran i najważniejsza figura kina z Tajwanu, Hou Hsiao-hsien, z filmem „The Assassin". Hsiao-hsien zdobył także Złotego Lwa w Wenecji w roku 1989 za film „A City of Sadness" oraz otrzymał nagrodę jury w Cannes w roku 1993 za „The Puppetmaster".

Kłopot w tym, że niemal wszystkie ważne filmy z Tajwanu trafiają do dystrybucji w innych krajach poprzez filtr rynku anglojęzycznego. Część dostępna jest w brytyjskich edycjach DVD lub Blu-ray, niektóre znaleźć można na eBayu, tropiąc wydania z Korei Południowej opatrzone angielskimi napisami. Mój egzemplarz „A City of Sadness" przywędrował natomiast z Tajlandii. Nie ominąłem więc okazji i podczas wyjazdu na Taiwan International Book Exhibition 2023 (szczegóły w poprzednim numerze „Do Rzeczy") ruszyłem na zakupy.

Nie da się w krótkim tekście opisać dziejów tajwańskiej kinematografii, ale na kilka zjawisk wskazać trzeba koniecznie. Oczywiście datą graniczną jest rok 1987, kiedy na Tajwanie zniesiono trwający 41 lat stan wyjątkowy i rozpoczęła się demokratyzacja, a końca dobiegł okres dyktatury Kuomintangu. Wcześniej najciekawsze osiągniecia miejscowego kina wiązały się z koprodukcjami powstającymi we współpracy z Hongkongiem (wówczas enklawy poza kontrolą komunistycznych Chin kontynentalnych). Kultowym twórcą tego okresu jest Hu Jinquan znany szerzej jako King Hu, reżyser serii klasycznych filmów wuxia

(skrzyżowania opowieści historycznych i filmów sztuk walki). Jego „Dragon Inn" (1967) jest jednym z ulubionych filmów Quentina Tarantino i mocno zainspirował jego „Nienawistną ósemkę", w edycjach anglojęzycznych dostępne są też m.in. „A Touch of Zen" (1971) czy „Raining in the Mountain" (1979).

Lata 80. to czas wielkiej zmiany, odejścia od cenzury i pojawienia się nowych twórców, przede wszystkim Hou Hsiao-hsiena. Jego „A City of Sadness" (1989) było dziełem przełomowym, bo po raz pierwszy wprost opowiadało (zachowując wybitną wartość artystyczną) o okresie białego terroru, kiedy to po odejściu Japończyków nowi władcy wyspy – Kuomintang Czang Kaj-szeka – ugruntowywali swoją władzę przemocą i krwawymi represjami wobec miejscowej ludności chińskiej. Hsiao-hsien do dziś uważany jest (słusznie) za arcymistrza kina tajwańskiego i światowego. W Polsce najłatwiej znaleźć jego film „Podróż czerwonego balonika" (2007) wydany na DVD po tym, jak chwalono go na festiwalu w Cannes.

Wspomniany już Edward Yang, podobnie jak grono innych twórców aktywnych od lat 80., tworzył zjawisko zwane New Taiwanese Cinema (inne istotne nazwiska to Te-Chen Tao, I-Chen Ko, Yi Chang i Chen Kunhou). Przynajmniej trzy filmy Yanga z tamtego okresu to dzieła wybitne: „Taipei Story" (1985), „Terrorizers" (1986) i „A Bright Summer Day" (1991). Jego nagrodzony w Cannes dramat „Yi Yi" był przedwczesnym zwieńczeniem znakomitej kariery (reżyser potem przez siedem lat zmagał się z ciężką chorobą, ostatecznie zmarł w roku 2007).

Potem nastał czas Second New Wave (1990–2010) z Angiem Lee na czele, bez wątpienia tym z tajwańskich twórców, którzy odnieśli największy sukces także w Hollywood (nie tylko 10 nominacji do Oscara za „Przyczajonego tygrysa, ukrytego smoka", lecz także Oscary za filmy „Tajemnica Brokeback Mountain" i „Życie Pi"). Wszelkie rekordy lokalnego box office'u pobił Wei Te-sheng z filmem „Cape No. 7" (2008), który ustąpił popularnością jedynie „Titanicowi".

Po roku 2010 rozpoczął się okres dynamicznego rozwoju, który trwa do dziś – filmy, seriale, koprodukcje. Niektóre przedsięwzięcia są niełatwe – mowa o projektach realizowanych wspólnie z komunistycznymi Chinami – inne przychodzą dużo łatwiej, bo są kontynuacją współpracy z lat 60. i 70. XX w., to znaczy przedsięwzięciami z udziałem producentów w Hongkongu. Gdyby nie pieniądze z Tajwanu, nie dałoby się dopiąć budżetu „Milczenia" Martina Scorsese; powstają też koprodukcje z Francją czy Wielką Brytanią (jak serial „Strangers"). Ale oczywiście najważniejsze są lokalne gwiazdy i lokalni reżyserzy, dowodem zaś rosnącego znaczenia i rozmachu są coraz wystawniejsze gale Golden Horse Awards, dorocznych nagród tajwańskiego przemysłu filmowego.

Czas powrócić do zjawiska smutnego i zachęcić do walki przeciw niemu. Różnorodna, niesłychanie ciekawa i obfitująca w wielkie talenty kinematografia Tajwanu pozostaje odcięta od Polski wielkim murem chińskiej propagandy popkulturowej Pekinu. Komuniści z Chin kontynentalnych, przebrani za kapitalistów, uzyskali na trzy sposoby olbrzymi wpływ na kształt globalnej rozrywki. Po pierwsze, od czasu, kiedy światowy box office w dużym stopniu uzależniony jest od wpływów z ogromnego rynku chińskiego, Hollywood poddaje się żądaniom chińskich partnerów i pewnych



eprasa.pl d51214625f

wątków nie porusza, a inne przedstawia fałszywie. Po drugie, od czasów kryzysu lat 2007–2009 coraz więcej w Hollywood znaczą chińskie pieniądze; Pekin z rozmysłem inwestuje w zachodnią rozrywkę, by także w ten sposób mieć wpływ na to, co i jak jest na dużym ekranie przedstawiane. Po trzecie, olbrzymie pieniądze inwestowane są w produkcję blockbusterów Chin kontynentalnych, przy czym proces upodabniania się do rozrywki zachodniej jest jedynie pozorny. Wciąż największe nakłady idą na dzieła propagandowe o bohaterskiej walce armii komunistycznych Chin z amerykańskimi imperialistami w Korei albo o heroicznym wysiłku pokonania przez Mao wojsk Czang Kaj-szeka.

Osobne miejsce mają filmy o dzielnych dokonaniach czerwonych Chińczyków w walce ze współczesnym piractwem, w zaprowadzaniu porządku w Afryce czy nawet o tym, jak wspaniałym krajem do prowadzenia interesów są Chiny kontynentalne. Po tym, jak w roku 2012 zjazd chińskiej partii komunistycznej ogłosił nową erę w rozwoju gospodarczym kraju, powstało wiele inicjatyw kulturalnych (głównie filmowych), których zadaniem było pokazywanie przemian we właściwym świetle. Na przykład jeden z hitów ubiegłego roku w Chinach kontynentalnych, film „Nice View" (2020), o młodych ludziach rozkręcających własny biznes, to efekt działania zleconych przez rząd działań w ramach kulturalnych „Key Projects in 2021".

## KINO AMBITNE I ROZRYWKOWE

Zacząłem tę opowieść od informacji o obecnych przebojach z czerwonych Chin i ich osiągnięciach w box offisie – spójrzmy bliżej. „Full River Red" Zhanga Yimou to kolejna z jego historycznych ekstrawagancji chętnie finansowanych przez rząd, bo zawsze pojawia się w nich pochwała silnej władzy centralnej. „Hidden Blade" wychwala członków chińskiej partii komunistycznej, którzy zaangażowani byli w działalność wywiadowczą przeciw Japonii po ataku na Pearl Harbour. Tego typu filmy stanowią dziś oczko w głowie pekińskiej propagandy popkulturowej i gromadzą miliony widzów nie tylko w kontynentalnych Chinach, lecz także w Azji Wschodniej.

Ekscytuje się więc świat propagandą Pekinu, podczas gdy kino z Tajwanu pozostaje w cieniu. W Polsce ten cień jest wyjątkowo głęboki; szersza publika zna Anga Lee i tyle. Pojedyncze rodzynki czasem się trafiają podczas Azjatyckiego Festiwalu Filmowego „Pięć Smaków", niekiedy ktoś dostrzeże, że „20/30/40" – wydany u nas kiedyś na DVD – to dzieło świetnej aktorki i reżyserki z Tajwanu Sylvii Chang. Miłośnicy horroru może pamiętają „Dziedzictwo" (2005), a propagatorzy LGBT lesbijski dramat „Deszcz słodyczy" (2008), bo też ukazały się na DVD.

Kadr z filmu pt. „Przylądek nr 7" (2008), reż. Wei Te-Sheng FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kino z Tajwanu jest tymczasem znakomite, a najlepsze filmy Hou Hsiao-hsiena czy Edwarda Yanga to po prostu światowa klasyka. Kino normalne, ludzkie, omijające rafy nachalnej propagandy, kino ambitne i rozrywkowe, zarówno zmagające się z życiem w czasach płynnej ponowoczesności, jak i wciąż drążące kwestie związane z tożsamością współczesnego Tajwańczyka – rany z czasów białego terroru wcale się nie zabliźniły.

Gdzie szukać ratunku? Odpowiedzią jest streaming. Gdy wpiszecie w okno wyszukiwania Netflixa hasło „Taiwan", pojawi się garść seriali z ostatnich lat, ale – co ważniejsze – 10 filmów, które zdecydowanie są warte uwagi. Przede wszystkim filmy Cung Mong-honga, które wystawiane były w ostatnich latach przez Tajwan do boju o oscarowe nominacje: „The Soul" (2013), „A Sun" (2019) i „The Falls" (2021). Zwłaszcza „A Sun" to intrygujący obraz życia współczesnego Tajwanu. Podobnie jak „Little Big Women" (reż. Joseph Hsu, 2020) o rodzinie restauratora z Tajpej. Z kolei „Zakochany mężczyzna" (reż. Yin Chen-hao, 2021) to doskonały przykład wielkiego komercyjnego hitu w kinie tajwańskim, melodramat o odzyskiwaczu długów, który zakochuje się w córce jednego z dłużników. Stał się on kulturowym fenomenem, piosenka z filmu nie schodziła przez ponad rok z list przebojów, a aktorzy grający główne role wzięli ślub w prawdziwym życiu. I wreszcie mój ulubiony (mam słabość do fantastyki) „Cities of Last Things" (reż. Ho Wi-ding, 2018), przypominający nieco dokonania Wonga Kar-Waia.

Najważniejszych dzieł kina z Tajwanu musicie jednak szukać na Amazonie lub eBayu. Ja wyruszyłem w tę filmową podróż kilka lat temu, odkrywając fascynujący świat kultury wolnych Chin. Gdybym miał przygotować własną listę „100 filmów, które musicie obejrzeć choć raz w życiu", to na pewno znalazłbym miejsce i dla Hou Hsiao-hsiena, i dla Edwarda Yanga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Życie Pi" (reż. Ang Lee) FOT. MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl d51214625f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

# Bez szans

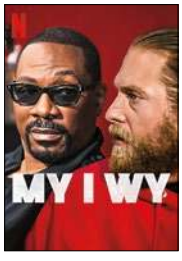


★★★☆☆☆

**REŻ. KENYA BARRIS**
**„MY I WY" („YOU PEOPLE")**
**USA 2023**

wyst. Jonah Hill, Lauren London, Eddie Murphy, dystr. Netflix

Skąd my to znamy: on i ona pochodzą z kompletnie różnych światów, ale zakochują się w sobie bez pamięci. Gdy na horyzoncie pojawia się perspektywa ślubu, nadchodzą też prawdziwe wyzwania – trzeba poznać rodziców swojej drugiej połówki. Klasyczny chwyt romantycznej komedii służy tym razem zderzeniu światów bogatych białych Żydów z najbogatszej dzielnicy Hollywood oraz rodziny czarnoskórych muzułmanów, których patriarchą jest dumny właściciel czapeczki kufi, otrzymanej od samego Louisa Farrakhana (lider Narodu Islamu).

Ezra (Jonah Hill) i Amira (Lauren London) wyzwanie podejmują, co oznacza koszmar. Uprzywilejowani biali (w rolach rodziców Ezry – Julia Louis-Dreyfus i David Duchovny) próbują się podlizać nowym znajomym poprzez swą rzekomą otwartość i zrozumienie dla losu czarnoskórych w Ameryce. Z kolei rodzina Amiry – zwłaszcza ojciec (którego gra Eddie Murphy) – próbuje związek sabotować. Jako że to komedia, a temat drażliwy, scenarzyści (Jonah Hill i reżyser filmu Kenya Barris) mieli okazję do złamania paru tabu politycznej poprawności. Z różnym efektem: bywa grubo, gdy Ezra skąpi na pierścionek zaręczynowy, a potem wpada na pomysł jego – jak sam mówi – „zholokaustowania", czyli wymyślenia bajdy o tym, że odziedziczył go po babci uciekającej z Europy przed Niemcami. Nie ma równowagi w żartach – rodzina Amiry potraktowana została dużo łagodniej niż rodzina Ezry.

W tym wszystkim wyczuwamy jednak fałsz i to zapewne – oprócz mielizn scenariusza – sprawia, że „My i wy" okazuje się półproduktem. Czy naprawdę dziś największe napięcia etniczne występują między nieznośnie bogatymi białymi a elitą Afroamerykanów? Nie sądzę. Czy ci ostatni najczęściej mają na pieńku z Żydami? Tylko w antysemickich kazaniach działaczy z Narodu Islamu. Życie jest gdzie indziej, konflikt jest gdzie indziej – w niszczonych przez ideologię szkołach, na ulicach, gdzie płoną sklepy i demonstrują członkowie ruchu BLM oraz zwolennicy odebrania funduszy policji. I tak dalej. Przesłanie filmu Barrisa – nie dogadamy się, nie umiemy ze sobą rozmawiać, nie zrozumiemy się – jest jednak i bez tego smutne. A najsmutniejsze jest to, że w Polsce nie mógłby powstać nawet taki nieudany film o skłóconych na śmierć i życie zwolennikach różnych politycznych obozów. Jednej i drugiej stronie brak bowiem poczucia humoru. ©℗

**NOWE SERIALE: „TERAPIA BEZ TRZYMANKI"** tv+

Lekarzu, lecz się sam – Jason Segel (sympatyczny Marshall z „Jak poznałem waszą matkę") tym razem gra psychoterapeutę pogrążonego w żałobie po śmierci żony. Zżerająca go trauma separuje go i od kolegów w pracy (m.in. Harrison Ford), i od dorastającej córki. Pomysłem na ucieczkę do przodu jest próba mocniejszego zaangażowania się w życie pacjentów. Doktor Laird ma dość ich skarg, chce działać, chce naprawiać. Skutki będą raz interesujące, a raz opłakane, jak to w dobrych komediowych serialach bywa. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sez. 1 „Terapia bez trzymanki", USA 2023***

**NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:**

- ***sezon 1 „Farzi"*** prime video
- ***sezon 4 „Ty" („You"), USA 2023***
- ***sezon 2 „Wina" („Guilt"), Wielka Brytania 2022*** BBC FIRST



eprasa.pl d51214625f

# Gal potrafi!

KINO

Francuzi lubią wbijać szpile Ameryce, więc to raczej nie przypadek, że Asteriks i spółka z wycieczką do Chin czekali do momentu, gdy stosunki Waszyngtonu z Pekinem sięgną dna. Kalkulacja była słuszna, film odniósł wielki sukces na rodzimym rynku. Rodacy Macrona mieli zapewne nielichą satysfakcję, patrząc, jak wysłannicy azjatyckiego mocarstwa proszą ich przodków o pomoc w odparciu inwazji Rzymu (starożytnej wersji USA). Oto kino rozrywkowe w formie i patriotyczne w treści! Canet krzepi serca żabojadów, zapewniając, że są uczynni i produkują najlepsze na świecie towary. Chińskie księżniczki marzą o wyprawie na zakupy do Lutecji (czyli Paryża), a knajpy serwujące galijskie dania można znaleźć nawet nad Morzem Czerwonym. Za to egzotyka wypadła na ekranie blado. Na co komu znajomość wschodnich sztuk walki, skoro wystarczy się nażłopać magicznego napoju?

★★★★☆☆
**REŻ. GUILLAUME CANET**
**„ASTERIKS I OBELIKS: IMPERIUM SMOKA" („ASTERIX ET OBELIX, EMPIRE DU MILIEU")**
**FRANCJA 2023**

wyst. Guillaume Canet, Gilles Lellouche, Vincent Cassel

Aktorska wersja flagowego komiksu Francji w minionej dekadzie podupadła, lecz rewitalizacja dała pożądane skutki. Okazało się też, że Obeliks jest mocniejszą marką niż Depardieu, a brak Moniki Bellucci można zrekompensować, obsadzając jej byłego męża w roli Juliusza Cezara. ©℗

***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

## ZA MAŁE OCZY

NINATEKA

★★★★★☆
**REŻ. DOROTA KĘDZIERZAWSKA**
**„INNY ŚWIAT"**
**POLSKA 2012**

Danuta Szaflarska opowiada o swoim dzieciństwie i młodości. Nie były one sielskie, lecz każdy, kto się urodził w Polsce na początku XX w., miał kiepskie szanse na życie pozbawione wstrząsów. Antoni Zelwerowicz, który uczył aktorstwa córkę wiejskiego nauczyciela, wchodził jej na ambicję, kpiąc, że w tej branży kariery nie zrobi, gdyż ma za małe oczy. Zadebiutowała jako „komediantka" we wrześniu 1939 r. Okupację udało się jej przetrwać m.in. dlatego, że spotkała dobrych Niemców. Szaflarska podśpiewuje, mówi gwarą, rzuca refleksjami typu: „W filmach nie trzeba grać, tylko być", lecz przede wszystkim trzyma fason. Niby zwykły wywiad, a rola bez wątpienia wybitna. Stając przed kamerą, pani Danuta, ostatnia przedstawicielka pokolenia, które aktorskie ostrogi zdobyło jeszcze przed wojną, miała 96 lat. Występowała wtedy w dwóch teatrach i czterech spektaklach. Pracowici żyją dłużej? ©℗

## DOBRANA PARA

KINO

★★★☆☆☆
**REŻ. KRISTOFFER BORGLI**
**„CHORA NA SIEBIE" („SYK PIKE")**
**NORWEGIA/ SZWECJA 2022**

wyst. Kristine Kujath Thorp, Eirik Sæther, Fanny Vaager

Jak daleko można się posunąć, by świat zwrócił na ciebie uwagę? Takiej granicy nie ma. Dlatego ekshibicjonizm wkrótce stanie się dominującą postawą życiową. Przepis na sukces artystyczny też znamy. Trzeba wywołać skandal, np. wykorzystując jako tworzywo skradzione przedmioty. Thomas znalazł się w przedsionku sławy, lecz (jak to narcyz) nie dostrzega, że wpędza swoją dziewczynę w kompleks niższości. Signe cierpi katusze, bo w gruncie rzeczy jest ulepiona z podobnej gliny. Rola muzy to dla niej za mało. Próbując ukraść Thomasowi show, zapada na tajemniczą chorobę. Autorów filmu nęka inna przypadłość: niezdecydowanie. Zanim ruszyli z produkcją, powinni ustalić, co chcą stworzyć: czarną komedię czy studium osobowości atencjuszki z ciągotami do autodestrukcji. W rezultacie widz ma tzw. uczucia mieszane: nie wie, czy ma się śmiać czy płakać. Podpowiem: najlepiej wzruszyć ramionami. ©℗

***Wiesław Chełminiak***

**GRA TYGODNIA: „HI-FI RUSH"**

Pojawiła się bez zapowiedzi, wpadła do Game Passa i rozbiła bank. Stworzone przez studio znane z mrocznych produkcji, kolorowe i wesołe „Hi-Fi Rush" to połączenie slashera, zręcznościówki i gry rytmicznej. Prosta fabuła – walka ze złym korpo; czysta przyjemność – wszystko tu dzieje się w rytm muzyki. W jej rytmie atakujemy, wykręcając kombosy w taki sposób, jakby to była jakaś wariacja „Guitar Hero", w jej rytmie atakują nas, w jej rytmie pulsuje cały świat. Trudno opisać, trzeba to poczuć. Kolorowy ptak, który znajdzie się w zestawieniach najlepszych gier roku. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *akcji, muzyczna, TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Tango Gameworks, Bethesda Softworks*



eprasa.pl d51214625f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

# Baśń o Międzymorzu

Ukazał się już 23. tom „Pism wybranych" Stanisława Cata-Mackiewicza, jednej z najbardziej wartościowych edycji lat ostatnich, zatytułowany „Życie daremne", z podtytułem „»Wiadomości« 1950–1956" wskazującym na czas powstania publikowanych w nim tekstów.

W marcu 1955 r. w artykule opatrzonym przewrotnym tytułem „Znudził mi się felieton…" zajął się Cat polityką bardziej niż zwykle solennie, tak m.in. odnosząc się do idei Międzymorza, na pewno przed prawie 70 laty znacznie bardziej teoretycznej niż zarówno wcześniej, jak i dziś, niemniej żywo dyskutowanej i mającej swoich zwolenników: „Państwo, które posiada absolutną siłę polityczną – pisał autor – musi posiadać taki potencjał wojenny, który by się równał potencjałowi najsilniejszego z przeciwników tego państwa wraz z potencjałem wojennym wszystkich sojuszników tego przeciwnika.

Błąd zasadniczy teoretyków »Międzymorza« polega właśnie na tym, że nie liczą się z wyżej wypowiedzianą prawdą. »Międzymorze« miało się zwracać zarówno przeciwko Niemcom, jak i przeciw Rosji, i składać się z Polski, Czech, Słowacji, Węgier, Rumunii, Jugosławii, Albanii, Bułgarii i bodajże także z Grecji i państw bałtyckich. Otóż te wszystkie kraje razem wzięte nie posiadają i nie mogą posiadać potencjału wojennego, który by dorównywał potencjałowi wojennemu połączonych sił Rosji i Niemiec.

Rozumowanie wielbicieli »Międzymorza« jest […] przykładem programu politycznego opartego na błędnych zasadach. Nie tylko dlatego, że potencjał »Międzymorza« nie byłby wystarczający, lecz także dlatego, że podstawa sojusznicza w danym wypadku byłaby niewystarczająca. Każdy sojusz musi być oparty na zbieżności interesów. W »Międzymorzu« mielibyśmy Jugosławię, której interesy są wybitnie antywłoskie, podczas gdy Polska, Litwa, państwa bałtyckie i inne ogniwa projektowanego »Międzymorza« żadnych nastawień antywłoskich nie mają i mieć nie mogą, a raczej wręcz przeciwnie, są jak najlepiej do Włoch usposobione. Bułgaria i Grecja są oczywiście obciążone antagonizmem tureckim, podczas gdy dla Polski Turcja była i będzie zawsze naturalnym sojusznikiem. Wreszcie niektórzy z wielbicieli »Międzymorza« chcieliby włączyć do tej kombinacji również niepodległą Ukrainę. Otóż Ukraina, o ile kiedykolwiek będzie zdolna do samodzielnego życia, będzie miała spory z Rosją i z Polską, za naturalnego sprzymierzeńca będzie uważała zawsze Niemcy, co znowuż nie zgadza się z zasadniczą koncepcją »Międzymorza« jako tworu zarówno antyrosyjskiego, jak i antyniemieckiego".

Oczywiście pisał te słowa Stanisław Cat-Mackiewicz w innym czasie, w którym w pełni uzasadnione było twierdzenie, że „są tylko dwie siły polityczne, które samodzielnie bronić się mogą, tj. Rosja z jednej strony, Ameryka z drugiej. Wszystko inne może być tylko członami jednej z tych sił i niczym więcej. Byłoby to może się zmieniło, gdyby istotnie powstała zjednoczona Paneuropa […]". No i właśnie mamy tę Paneuropę, ale czy naprawdę pociągnęło to za sobą aż tak istotne zmiany? Niech sobie każdy czytelnik odpowie sam na to pytanie, nie zapominając i o tym, co Cat 29 lipca 1951 r. w pomieszczonym w londyńskich „Wiadomościach" tekście zatytułowanym, po prostu, „Międzymorze" ujął następująco:

„Łączenie w wizjach Międzymorza koncepcji polityczno-terytorialnych nic ze sobą wspólnego niemających, jak na przykład Ukrainy i Albanii czy Bułgarii i Łotwy, wskazuje na to, że samo planowanie sympatycznej kombinacji odbywało się w podniosło-poetycznej atmosferze, że do tej kombinacji każdy znosił swoje marzenia i sny i były one tam akceptowane zupełnie bezkrytycznie. Postępowało się przy tworzeniu Międzymorza według słów Wyspiańskiego:

*Co się w duszy komu gra,*
*Co kto w swoich widzi snach…*

Nie był Stanisław Cat-Mackiewicz (1896–1966) żadnym natchnionym prorokiem, ale pisał wspaniale. Opracowujący jego „Dzieła wybrane" Jan Sadkiewicz jak najsłuszniej przestrzega: „Mackiewiczowi łatwo dać się uwieść i zacząć traktować go nie jak nauczyciela, ale jak wyrocznię. A trzeba wszak pamiętać, że wśród wielu trafnych interpretacji formułował on też twierdzenia trudne lub niemożliwe do obrony, że czasami sam sobie zaprzeczał, że niekiedy wyrażał opinie wręcz domagające się polemiki, że – innymi słowy – i jego realizm miał swoje granice". Niemniej jego publicystykę wciąż czyta się znakomicie, zwłaszcza że opowiada w niej o rzeczach i sprawach niechętnie dziś przypominanych, a i całkowicie zapomnianych. Jak o odezwie skierowanej w 1945 r. do Polaków, a wydanej przez Amerykanów na tym terenie Niemiec, który okupowali. Artykułowali w niej wyraźnie: „Nie myślcie, że jesteście zwycięzcami. Zwycięzcami nie jesteście wy, lecz my". A zwracam uwagę na te słowa na wypadek klęski Rosjan na Ukrainie. Do czego, mam tę nadzieję, dojdzie jak najrychlej. ©℗

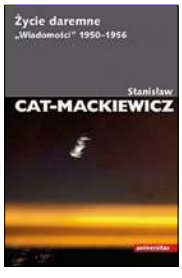


★★★★☆☆

**STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ „ŻYCIE DAREMNE. »WIADOMOŚCI« 1950–1956" UNIVERSITAS, KRAKÓW 2022**



eprasa.pl d51214625f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Kierunek: Mars

Każda podróż ma swój początek: „Droga bez znaczenia" była pierwszą powieścią Iana McDonalda, jednego z najlepszych żyjących twórców fantastyki, którego za chwilę czekać może sława równie wielka jak George'a R.R. Martina w dziedzinie fantasy – kiedy tylko powstanie zapowiadany serial na podstawie cyklu „Luna". Najpierw jednak, w roku 1988, był Mars, gdzie toczy się akcja debiutu późniejszego autora „Brasyl" czy „Rzeki bogów". Po latach pisarz dołożył sequel „Ekspres Ares"; teraz obydwie marsjańskie historie ukazują się w jednym tomie, pierwszy raz po polsku.

Początki bywają niełatwe: McDonald pokazuje już nieokiełznaną, rozbuchaną wyobraźnię, ma jednak jeszcze kłopot z panowaniem nad materią pisarską. Późniejsze – wspomniane wyżej – powieści są dużo lepiej skonstruowane i precyzyjnie napisane. Jedno się nie zmieniło, i tym błyszczał pisarz od początku: żadnych granic sobie w rozmachu i fantazji nie stawia, jego wizja terraformacji Marsa jest dużo bardziej szalona niż choćby u Kima S. Robinsona.

Polski pisarz, Rafał Kosik, również zaczynał przygodę od opowieści o Czerwonej Planecie. Jego debiutancka powieść „Mars" ukazuje się znów 20 lat od pierwszego wydania. Czas był dla niej łaskawy, pytania stawiane przez Kosika są aktualne. Nie jest to opowieść optymistyczna, ludzie, ruszając w inne światy, zabierają te same kłopoty i popełniają te same błędy co na Ziemi. Łączy Kosik tradycyjną fantastykę eksploracyjną z dystopią i cyberpunkiem, bardziej ku przestrodze niż zachwytowi nad możliwościami homo sapiens.

Układają się obie książki – McDonalda i Kosika – w ciekawy kontrapunkt. Przy czym ten pierwszy zadłużony jest u Dana Simmonsa, a ten drugi bardziej u klasyków, od Lema do Dicka. O Kosiku głośno będzie jesienią, gdy w USA, Wielkiej Brytanii i w Polsce ukaże się jego powieść „No Coincidence", osadzona w uniwersum gry „Cyberpunk 2077". Pozycjami, po które potem sięgnąć mogą zagraniczni wydawcy, będą właśnie „Mars" i jeszcze ciekawszy „Różaniec". A sukces dla Polaka na anglojęzycznym rynku to zadanie trudniejsze od lądowania na Marsie. ©℗

★★★★☆☆
**IAN MCDONALD „DROGA BEZ ZNACZENIA. EKSPRES ARES"**
**MAG 2023**

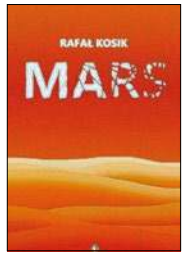


★★★★☆☆
**RAFAŁ KOSIK „MARS"**
**POWERGRAPH 2022**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsza część trzytomowego zbioru prac fundamentalnych dla zrozumienia Rosji. Pozostałe dwa to „Frontem do historii. Pisma prometejskie" oraz „Istota siły i słabości rosyjskiej".

**WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI „ROSJA WCZORAJ I DZIŚ"**
**OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ**

Obszerny zbiór esejów autora „Soli ziemi" i „Orfeusza w piekle XX wieku". Tom pierwszy zawiera teksty z lat 1919–1939. Słowo wstępne: Katarzyna Szewczyk-Haake.

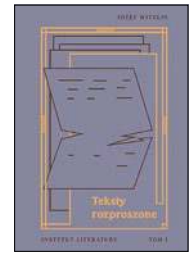


**JÓZEF WITTLIN „TEKSTY ROZPROSZONE", TOM 1**
**INSTYTUT LITERATURY**

Wznowienie (w serii dzieł w twardej oprawie) najsłynniejszej powieści alternatywnej, która zarazem jest niepokojącym traktatem o realności (lub nie) świata. Wstęp: Maciej Parowski.

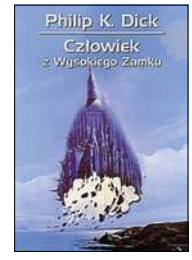


**PHILIP K. DICK „CZŁOWIEK Z WYSOKIEGO ZAMKU"**
**REBIS**

„O ludziach, ptakach i radości życia" – 15 rozmów, w których polscy birdwatcherzy dzielą się pasją i odpowiadają na nieoczywiste pytania. „Czy świat mew można uporządkować łatwiej niż polski system podatkowy?". ©℗

***recenzuje Piotr Gociek***

**MACIEJ ZDZIARSKI „NA SKRZYDŁACH"**
**ZNAK HORYZONT**

**KOMIKS TYGODNIA: „SAMOTNY WILK I SZCZENIĘ"**

Jedna z najważniejszych (i najsłynniejszych) serii komiksowych z Japonii. Oryginalnie wydawana w latach 1970–1976 stała się przedmiotem wielu ekranizacji oraz inspiracji dla twórców z Zachodu: od Franka Millera do Quentina Tarantino. Fałszywie oskarżony Ogami Itto wędruje przez Japonię, szukając pomsty na krzywdzicielach i chroniąc przed zabójcami małego syna. Tom pierwszy poprawionej edycji, która będzie ich liczyć 20. ©℗ ***Piotr Gociek***

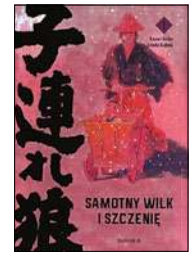


**KAZUO KOIKE, GOSEKI KOJIMA „SAMOTNY WILK I SZCZENIĘ"**
**HANAMI 2022**



eprasa.pl d51214625f

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

# Sztuka życia i śmierci

Zanim stały się eksponatami – uratowały życie. Nauczycielowi, hydraulikowi, informatykowi, urzędnikowi czy lekarzowi… Komuś, kto zamienił garnitur, koszulę, fartuch albo roboczy uniform na mundur i kamizelkę kuloodporną… Komuś, kto odłożył pióro, stetoskop, klawiaturę albo inne narzędzia pracy i chwycił za broń, kto z konieczności stał się żołnierzem.

FOT. ART ARMOR

W Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski gości wystawa projektu ArtArmor, która trafiła do Warszawy ze Lwowa. Projekt to wyjątkowy, na który składa się 12 prac stworzonych przez ukraińskich artystów na kamizelkach kuloodpornych, które uratowały życie Ukraińcom walczącym z rosyjskimi orkami. Jest wśród nich ikona Świętego Michała Archanioła stworzona na noszącej ślady po kuli płycie pancerza. Metropolita kijowski i całej Ukrainy mówi w kontekście ArtArmor: „Modląc się, miłując Boga, Ukrainę i naszych sąsiadów, walczmy przeciw złu, a zwycięstwo będzie nasze!". Modlimy się za to i w Polsce, w końcu to również nasza wojna. A wspierać możemy także poprzez projekt ArtArmor, który służy zbiórce środków na zakup nowego sprzętu ochrony osobistej. Więcej: artarmor.org. ©℗

**GDZIE?** ***Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski***
**KIEDY?** ***do 20 lutego***

FOT. OLGA SKOCZYLAS

## MODA W REKREACJI

Wystawa rekonstrukcji ubiorów rekreacyjnych od XVII do początku XX w. Przeznaczonych do różnorodnych aktywności i form rozrywki: jazda konna i polowania, golf, łucznictwo, szermierka, zabawy na śniegu i na łyżwach, wypoczynek na plaży, spacery, wędrówki górskie, podróże i przejażdżki rowerowe. Od uszytych z barwnych aksamitów, zdobionych złotymi pasmanteriami, klockowymi koronkami i haftami strojów do jazdy konnej i polowań z XVII i XVIII w. do zdecydowanie mniej kolorowych ubiorów sportowych wieków XIX i XX. ©℗

**GDZIE?** ***Bielsk Podlaski, Muzeum Obojga Narodów***
**KIEDY?** ***do 3 maja***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

# Piękno różnorodności

Zapis muzycznego spotkania, które miało miejsce przed rokiem w sali koncertowej NOSPR w Katowicach. Plejada wybitnych muzyków pod wodzą wielkiego, polskiego Greka oddała hołd muzycznej tradycji Żydów sefardyjskich.

Świetnym wprowadzeniem do muzycznej zawartości albumu jest tekst Jarosława Sellina o historii Sefardyjczyków i ich kulturze. Tworzyła się ona w średniowieczu, na terenach Hiszpanii, pod protektoratem muzułmańskich Maurów. Idea multikulturowych spotkań twórczych przyświecała właśnie temu wyjątkowemu koncertowi. Już w składzie siedmioosobowego Milo Ensemble znajdziemy Syryjkę, Żydówkę, Greka i Polaków. Natomiast wyjątkowy koncert wymagał wyjątkowych gości. Na okładce jako głównego wymienia się słynnego, amerykańskiego trębacza, Dave'a Douglasa, który jest notabene protestantem. Oprócz niego usłyszymy Kurda Arada Emamghoi oraz Kayah, Wojciecha Waglewskiego, Leszka Możdżera i awangardzistę Tadeusza Sudnika.

Pewnie zanudzam tą wyliczanką nazwisk, krajów i regionów, zamiast pisać o muzyce. Tylko w tym wypadku wystarczy jedno słowo – wydarzenie. I jeszcze jedno: za oprawę graficzną albumu był odpowiedzialny Łukasz Pawlak z wydawnictwa Requiem Records szczycącego się wyjątkowymi okładkami swoich płyt. ©℗

★★★★★☆
**MILO ENSEMBLE FEAT. DAVE DOUGLAS „D'EN DIA EN DIA" MILO RECORDS**

★★★★★☆
**LADYTRON „TIME'S ARROW" COOKING VINYL**
Wokale Helen Marnie i Miry Aroyo unoszą się na potężnych syntezatorowych falach napędzanych przez automaty perkusyjne. Gotycki synth pop ze słodko-gorzkimi opowieściami, w których przyszłość staje się przeszłością. Urzekający, apokaliptyczny nastrój.

★★★★★☆
**RYUICHI SAKAMOTO „12" MILAN**
71-letni pionier japońskiego techno-popu oraz kompozytor muzyki filmowej (Oscar za „Ostatniego cesarza") wraca po życiowej batalii. Stonowane, dronowo-ambientowe utwory noszą w tytułach daty przełomowych momentów w zmaganiach Sakamoto z rakiem. Intymny pamiętnik zwycięstwa. ©℗



eprasa.pl d51214625f

Krzysztof Masłoń

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Z tą panią nie da się inaczej

Tytułowy cytat znany jest każdemu, kto choć raz obejrzał „Vabank" Juliusza Machulskiego, a że trudno sobie wyobrazić, by ktoś nie zaliczył tego obrazu – i to zarówno „jedynki", jak i „dwójki" – nie będę przywoływał całego tekstu filmowej piosenki, ograniczając się do zwrócenia uwagi na różnicę, że o ile ową „panią" jest w nim fortuna, o tyle mnie bardziej chodzi o telewizję, bywa, że z fortuną przechadzającą się w parze. Choć jakby coraz rzadziej.

A w telewizji w ostatnich dniach „Vabank" pokazywany bywał non stop, a to ze względu na zgon Leonarda Pietraszaka, niezapomnianego Gustawa Kramera z tegoż filmu. Przypomniano też z tej smutnej okazji inne obrazy z udziałem zmarłego aktora, z serialami „Kariera Nikodema Dyzmy" i „Czterdziestolatek" czy „Złotem dezerterów" Janusza Majewskiego na czele. Czekam teraz na emisję „Czarnych chmur", gdzie Leonard Pietraszak zasłynął jako płk Dowgird. W mundurze, także tym bliższym naszej epoce, prezentował się artysta znakomicie, czego dowiódł jako też płk Wareda – przyjaciel Dyzmy, a i rotmistrza „Leliwę" (ze „Złota dezerterów") wypada w tym miejscu wspomnieć.

Szarża pułkownikowska pasowała jak ulał, jak sądzę, do rangi sztuki aktorskiej Pietraszaka, który nie przepychał się jakoś w kolejce po szlify generalskie, ale czy to przed kamerą, czy na scenie każdą rolą przekonywał, że był osobą na właściwym miejscu, właśnie tu i teraz. W korpusie oficerskim aktorstwa polskiego odgrywał wybitną rolę, i to wypracowaną w czasach, gdy o pozycji artysty nie decydowała wyłącznie liczba „sezonów" tasiemcowej produkcji, do której został zaangażowany. Realizowano w tamtych latach nieporównywanie mniej filmów i seriali, a także może dzięki temu częściej trafiały się wśród nich majstersztyki, choćby takie jak „Vabank" czy inne, wyżej wymienione tytuły.

A były to jeszcze lata PRL z jej, jakże ograniczającą inwencję twórców, cenzurą, której istnienie uruchamiało coś, czego w wielu dzisiejszych dziełach filmowych próżno by szukać, czyli inteligencję. Usiłowałem niedawno obejrzeć „Niewidzialną wojnę" Patryka Vegi; wytrzymałem kwadrans. Coś równie bezsensownego, a przy tym megalomańskiego trudno sobie wyobrazić. Ale w postać głównego bohatera tej fabularyzowanej autobiografii wciela się wsławiony nad Wisłą grą u samego Quentina Tarantino – Rafał Zawierucha. Do jakiej szarży się przymierza?

Patryk Vega jest mimo wszystko uczciwszy od innych naszych filmowców, opowiada bowiem o tym, co wyłącznie go interesuje, czyli o sobie, skupiony jest na własnej osobie, podziwia siebie samego i na nic innego nie ma już czasu, energii i ochoty. Taką jednak „Czarną owcę" Aleksandra Pietrzaka, średnio śmieszną komedyjkę rodzinną, skądinąd nieźle zagraną (Magdalena Popławska i Arkadiusz Jakubik), „ubogaca" wątek odkrytego nagle, po 25 latach małżeństwa, w sam raz na srebrne wesele, lesbijstwa bohaterki, co pociąga za sobą wiele tragikomicznych zdarzeń, mniej lub bardziej związanych z sugerowaną nam nietolerancją wobec kochających inaczej. Jeszcze bardziej „po linii i na bazie" ustawili się realizatorzy i wykonawcy porażającej członki i komórki wesolutkiej historyjki o zagrożeniach neonazistowskich, zatytułowanej – jakżeby inaczej – „Kryptonim Polska". Twórcy podobnych zakalców zawsze mają na usprawiedliwienie tarczę obronną w postaci poruszania w nich aktualnych tematów ważkich społecznie. Ich zdaniem.

Wygodnym wytrychem stały się także wypełnianie białych plam i edukacja historyczna. W telewizji publicznej mamy obecnie, po piastowskiej, erę jagiellońską, w starszych wiekiem telewidzach wzbudzających tęsknotę za taką np. „Królową Boną" Majewskiego, m.in. z nieodżałowanym Leonardem Pietraszakiem jako marszałkiem wielkim koronnym Piotrem Kmitą. Nawiasem mówiąc, w innym spektaklu telewizyjnym, „Barbarze Radziwiłłównie" (1980, reż. Mariusz Dmochowski), ten sam aktor grał samego Zygmunta II Augusta.

Cóż, trzeba wiedzieć nie tylko „co", ale i „jak". A – znów zacytuję „Vabankowy" szlagier – „fortunę trzeba dużą stawką brać", a poza tym: „Kto nie naraża nigdy się na szwank, / ten głównej stawki nie wygrywa". W „Czterdziestolatku", rozrywkowym przecież, do tego w jakiś tam sposób propagującym osiągnięcia epoki gierkowskiej (Dworzec Centralny, Trasa Łazienkowska), w którym Leonard Pietraszak (znów!) był lekarzem i sąsiadem inżyniera Karwowskiego, wciąż znajdujemy więcej prawdy o Polsce i Polakach niż w dzisiejszych tasiemcach. Ale żeby nie wpędzać czytelników w depresję, zwrócę na koniec uwagę na fakty głęboko optymistyczne. W „M jak miłość" Olek (też lekarz) kupił sobie motocykl, a Paweł – z myślą o żonie – działkę w Grabinie. No i git. ©℗



eprasa.pl d51214625f

polemika DO RZECZY

# Polska iluzja, węgierski realizm

*Łukasz Warzecha*

**Trzeba tu odróżniać faktyczną moc sprawczą Warszawy od momentami nieznośnej już tromtadracji władzy, która przedstawia Polskę jako niemal głównego rozgrywającego**

Z Piotrem Semką różni mnie zasadniczo nie tylko widzenie polityki węgierskiej wobec konfliktu na Ukrainie, nie tylko spojrzenie na sam konflikt, ale przede wszystkim postrzeganie natury stosunków międzynarodowych. Piotr uważa, że powinny nimi rządzić jakieś ogólne zasady słuszności i moralności – ale abstrahuje od doświadczenia, które jasno pokazuje, że tak niemal nigdy nie jest. Ja natomiast widzę je jako twardą, a chwilami po prostu bezwzględną grę interesów. Nie muszę pisać, które podejście jest w Polsce popularniejsze i które ukształtowało nasz etos. „Koń, szabelka i butelka, ot, Polaka miłość wielka" – jak śpiewał Andrzej Poniedzielski.

Pisze Piotr (w tekście „Szlak Viktora Orbána – droga czy bezdroża" w „Do Rzeczy" nr 6/2023), że mój tekst, w którym kontrastuję postawę Viktora Orbána z postawą polskich polityków, jest w jakiejś mierze walką z chochołem, bo „przesadne i niemądre opinie w mediach zawsze można znaleźć", a do takich mają należeć te idealizujące Ukrainę, lekceważące siłę Rosji czy wieszczące rychłe nad nią zwycięstwo (cokolwiek to oznacza) – choć tych ostatnich jakby od niedawna mniej. Problem w tym, że nie mówimy o marginalnych opiniach, ale o absolutnie głównym nurcie debaty, z przedstawicielami rządu włącznie.

Piotr Semka stawia mi zarzut, że nie wymieniłem wszystkich państw, które „mówią o konieczności wspierania Ukrainy". Tyle że to bardzo nieprecyzyjny termin, bo o „konieczności wspierania Ukrainy" mówią nawet Węgrzy, aczkolwiek umiarkowanie i niezbyt głośno. Mówią to także Niemcy czy Francuzi. Z kolei wśród krajów wymienionych przez Semkę – Estonia, Łotwa, Wielka Brytania, Finlandia, Szwecja, Czechy, Słowacja, Dania, Turcja – intensywność i donośność tego „mówienia" są bardzo różne. W przypadku Turcji to w ogóle gra na wielu fortepianach i pilnowanie bezwzględnie własnego interesu, można by więc spokojnie postawić Erdoğana obok Orbána.

## NIE OSKARŻENIA, A FAKTY

Semka pisze dalej: „Łukasz Warzecha streszcza doroczne wystąpienie węgierskiego premiera o stanie państwa, w którym wskazał: »Interesy Węgier są jasne; przede wszystkim trzeba uniknąć wojny«. Mój redakcyjny kolega, zastanawiając się, dlaczego Orbán idzie tą drogą, bagatelizuje oskarżenia, że Budapeszt jest po prostu uzależniony od rosyjskich źródeł energii".

Nie bagatelizuję żadnych oskarżeń przede wszystkim dlatego, że nie mówimy o żadnych „oskarżeniach", ale o faktach. Tak, Węgry są uzależnione od rosyjskich źródeł energii (głównie chodzi o ropę, a także o technologię jądrową i rozbudowę elektrowni w Paks) i jasne jest, że to jedna z motywacji ich premiera. Ale właśnie tutaj widać różnicę postaw! Orbán nie rzuca się z motyką na słońce. Od początku przyjmuje, że jego obywatele nie mogą odczuwać nadmiernie skutków wojny, a także wskazuje całkiem słusznie, że sankcje w co najmniej takim samym stopniu uderzają w Rosję i w Europejczyków. Polski rząd przyjął zupełnie inną strategię: Polacy muszą cierpieć z powodu sankcji, bo gra toczy się o Wielki Cel, jakim jest „rzucenie Rosji na kolana" (prawie dosłowny cytat z wystąpienia pana prezydenta).

Tak, uwolnienie się od zależności od rosyjskich źródeł (co nie oznacza ich całkowitego wyeliminowania) było dobrym kierunkiem, bo Rosja chętnie używała surowców jako narzędzia szantażu politycznego, ale powinno to było następować w naszym tempie, a nie nagle i w warunkach, gdy wszyscy biją się o nowe źródła. O ile jeszcze byliśmy w miarę przygotowani na odejście od rosyjskiego gazu (kontrakt i tak kończył się wkrótce), o tyle absurdem było przedwczesne, selektywne embargo na węgiel z Rosji. Teraz zaś, gdy wyczerpią się zgromadzone zapasy, prawdopodobnie otrzymamy potężny cios w związku z zakazem importu produktów ropopochodnych, czyli głównie diesla. Dla polskiej gospodarki i wymęczonych inflacją obywateli może to być dramat.

## ŻYWA TRAUMA

To wszystko jednak didaskalia. Piotr Semka myli się bowiem w zasadniczych sprawach. Komentując wyniki referendum konsultacyjnego na Węgrzech, z którego wynika, że ogromna większość nie chce sankcji, pisze: „Węgrzy nie czują się zagrożeni ze strony Rosji, a wielu Polaków tak". Ależ wspomniane referendum i sondaże przeprowadzane w Polsce pokazują, że jest właśnie dokładnie odwrotnie! W Polsce, mimo stopniowo zmieniających się nastrojów, dominuje postawa antyrosyjskiej brawury i dziecinne przeświadczenie, że Rosjan wystar-



eprasa.pl d51214625f

FOT. IAN

czy trącić paluszkiem, a się przewrócą. Zachowawcza postawa Węgrów wynika z sentymentu odwrotnego. Semka zapomniał, że jednym ze świeżych węgierskich doświadczeń historycznych jest brutalna sowiecka interwencja z 1956 r. – coś, czego my szczęśliwie nigdy nie doświadczyliśmy, bo nasz „karnawał Solidarności" odbywał się w czasie, gdy Związek Sowiecki nie miał już takiej swobody ruchu. Operacja „Wicher", która spacyfikowała węgierską rewolucję, zapędziła prymasa Józsefa Mindszentyego do amerykańskiej ambasady, a premiera Imre Nagya kosztowała życie, jest wciąż żywą traumą. O tyle istotną w obecnej sytuacji, że kontrolowana przez Amerykanów rozgłośnia Radia Wolna Europa wzywała Węgrów do buntu przeciwko komunistom, obiecując pomoc USA, która nigdy nie nadeszła. I może – przy zachowaniu proporcji – powinna to być również lekcja dla nas.

Piotr Semka próbuje też zaprzeczyć całkowicie oczywistemu stwierdzeniu, że w istocie mamy do czynienia z rozgrywką amerykańsko-rosyjską, a nawet bardziej amerykańsko-chińską, w której Ukraińcy są jedynie podwykonawcami. Pisze: „Co znaczy stwierdzenie, że to Waszyngton pociąga za sznurki i w każdej chwili byłby w stanie zakończyć tę wojnę? To przecież Amerykanie sugerowali, aby prezydent Zełenski na początku wojny opuścił Kijów, i ogłosili, że są gotowi zapewnić mu bezpieczeństwo. Zełenski podjął inną decyzję i jego postawa przyczyniła się do zintensyfikowania oporu. […] Amerykanie początkowo nie wysyłali przecież setek rakiet czy czołgów. Nie byli w stanie poruszać ukraińskimi oddziałami jak pionkami na polu gry".

Semka zapomina – o czym piszę cały czas – że wojna jest sytuacją dynamiczną. Początkowo Waszyngton nie widział w tym konflikcie potencjału do podjęcia dużej gry z Moskwą i Pekinem. To, że taką szansę dostrzegł, jest faktycznie zasługą Ukraińców, ale ta szansa nie mogłaby się pojawić, gdyby nie wieloletnia praca Amerykanów nad ukraińską armią, rozpoczęta po 2014 r. USA zrobiły sobie z Ukrainy przyczółek jeszcze przed wybuchem wojny i to się im opłaciło. Ukraińcom zresztą też.

Gdy okazało się, że było to działanie skuteczne – Ukraina umiała stawić opór Rosjanom – sytuacja się zmieniła. Amerykanie uznali, że mogą rozpocząć z jej pomocą rozgrywkę na, jak pisał Zbigniew Brzeziński, wielkiej szachownicy. A im dłużej ta rozgrywka trwa, tym większe jest uzależnienie Kijowa od Waszyngtonu. Nie jest tak, że Ukraina nie jest w tym konflikcie ani trochę podmiotowa, ale jest to podmiotowość bardzo ograniczona. A im Ukraina będzie słabsza, tym mniej będzie podmiotowa. Taka sytuacja jeszcze pogłębi się po wojnie, kiedy potrzeba będzie ogromnych pieniędzy, aby kraj odbudować. Te pieniądze będą mieć USA, a także Niemcy – nie Polska. Warto mieć tego świadomość, bo i w tej kwestii, jak się zdaje, duża część naszych elit żyje złudzeniami.

## PO PIERWSZE BEZPIECZEŃSTWO

Piotr Semka pisze, że Węgry nie stoją na straży wartości i nie są wiarygodne jako nasz partner w NATO, bo ustawiają się niejako w neutralnej pozycji. Tu trzeba przypomnieć, że podstawową wartością, na której straży powinni stać przywódcy każdego kraju, jest bezpieczeństwo jego obywateli. To bezpieczeństwo polega m.in. na oddaleniu groźby rozlania się konfliktu zbrojnego. Dla Viktora Orbána jest to priorytet, dla naszych polityków – chyba niekoniecznie. To nie Węgry – jak pisze Semka – ustawiają się neutralnie wobec zagrożeń, z którymi mierzy się Polska. To Polska ustawia się sama na pierwszej linii, a nawet przed nią wychodzi, wywijając szabelką. Z tej ryzykownej pozycji rozsądna postawa Budapesztu faktycznie może wyglądać jak kunktatorstwo. Doprawdy trudno jednak oczekiwać od Węgrów, a także od każdego innego państwa NATO, że będzie naszą brawurową postawę wspierać wbrew dobrze pojmowanemu interesowi swoich obywateli. Natomiast dotrzymanie sojuszniczych zobowiązań w przypadku ataku na państwo członkowskie NATO to inna kwestia i nie ma żadnych przesłanek, aby sądzić, że Budapeszt zachowałby się wbrew literze traktatu północnoatlantyckiego. Skoro zaś tak bez reszty liczymy na Stany Zjednoczone, to może jednak warto pamiętać, że to one – nie Węgry – mają długą historię porzucania swoich sojuszników.

Dla porządku trzeba też przypomnieć – bo można odnieść wrażenie, że Piotr Semka o tym zapomina – że Ukraina nie jest członkiem sojuszu i nie obejmują jej nasze sojusznicze zobowiązania. Ma zresztą niewielkie szanse, żeby się nim stać, bo NATO z zasady nie przyjmuje krajów, które są w trakcie konfliktu zbrojnego lub mają trwające spory graniczne z sąsiadami.

Wreszcie pojawia się w tekście Semki złudzenie naszej wielkiej roli i wpływowości. Pisze Piotr, że „chyba nie jest kwestią sporu, że zajmujemy w tej grze znacznie bardziej wpływowe stanowisko niż państwo Viktora Orbána". No więc jednak jest to kwestią sporu. Trzeba tu odróżniać faktyczną moc sprawczą Warszawy od momentami nieznośnej już tromtadracji władzy, która przedstawia Polskę jako niemal głównego rozgrywającego. Taka iluzja jest tworzona w dużej mierze z wewnętrznych powodów politycznych, natomiast nie ma wiele wspólnego z prawdą. Dobrym przykładem propagandowego złudzenia są opowieści o upadku „moralnym" Niemiec, co ma się przekładać na utratę realnej pozycji w Europie. Tyle że to wciąż Niemcy dyktują kierunek unijnej polityki i nic nie wskazuje na to, żeby zostali tej roli pozbawieni. Miernikiem naszych rzekomych wpływów niech będzie sytuacja z KPO. Opowieść o tym, że Amerykanie załatwią nam pieniądze z Brukseli, naciskając na Berlin, okazała się bajką dla naiwnych dzieci.

Gra toczy się w dużej mierze ponad naszymi głowami, my natomiast uparcie pchamy palce w drzwi. Węgrzy grają na swoją miarę, Polacy – znacznie powyżej. Owszem, można znaleźć argumenty i za taką strategią. Problem w tym, że łatwo zapomnieć, że stawką nie są tutaj punkty na ekranie komputera, ale życie blisko 40 mln ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

Witold Repetowicz

**Stwierdzenie, że w wojnie informacyjnej nie ma miejsca na prawdę obiektywną, ma charakter deskryptywny, a nie postulatywny. To po prostu fakt, podobnie jak to, że zawieszenie broni to nie to samo co pokój, a wsparcie dla Ukrainy nie zależy od komunikatów dotyczących strat. Natomiast realizm polityczny to nie postawa, lecz pewna teoria, której przeciwieństwem nie jest romantyzm, lecz liberalizm**

# „Realistyczne” oderwanie od realiów

W artykule „Jaki koniec wojny na Ukrainie?” („Do Rzeczy” z 6 lutego), w którym Wojciech Golonka nawiązuje do tekstu prof. Romana Kuźniara „Trismus, czyli szczękościsk Putina” zamieszczonego w „Rzeczpospolitej”, znalazło się też odniesienie do mojego wpisu na Twitterze, w którym napisałem: „W wojnie informacyjnej nie ma miejsca na prawdę obiektywną (z pewnymi wyjątkami), a wojna informacyjna polega na stosowaniu zarówno środków defensywnych, jak i ofensywnych. Niemniej liczy się to, po czyjej się jest stronie, a o tym świadczy stosowana narracja”. Jest to stwierdzenie oczywistego faktu, a nie postulat, i dlatego trudno zrozumieć oburzenie, jakie ten wpis wywołał, w szczególności zaś oskarżenia o zapędy cenzorskie. Golonka myli się też, zarzucając mi „wadliwe sformułowanie” i pisząc, że „skuteczna retoryka nie polega na negacji prawdy, a na podkreślaniu lub pomijaniu danych jej aspektów”. Taka prawda nie jest już bowiem „prawdą obiektywną”, lecz co najwyżej subiektywną opinią, a w warunkach wojny informacyjnej jest po prostu manipulacją. Każde kłamstwo, by było skuteczne, musi bowiem zawierać element prawdy, gdyż w przeciwnym razie łatwiej je zdemaskować.

Analiza wojny informacyjnej oraz studium przypadków w oparciu o stosowane obecnie narracje to temat zbyt obszerny na ten artykuł, odniosę się zatem tylko do kontekstu, w którym powstał wspomniany wpis. Chodziło bowiem o dyskusję na temat rzeczywistych strat ukraińskich i rosyjskich oraz tego, kto tę wojnę wygrywa, a kto przegrywa. Zawyżanie strat wroga i zaniżanie strat własnych to normalna praktyka w każdej wojnie i zdumiewać może wyłącznie to, że ktoś z tego czyni „odkrycie Ameryki”. Praktyka ta służy bowiem budowie morale, którego znaczenie doceniają również realiści, i bardzo łatwo się o tym przekonać, sięgając po dzieło „papieża” realizmu klasycznego Hansa Morgenthaua „Polityka między narodami”. Żołnierz w okopie nie musi mieć świadomości sytuacyjnej w wymiarze strategicznym, ważne jest natomiast, by nie tracił wiary w sens dalszej walki, a bombardowanie go informacjami o stratach temu nie służy. Groteskowe jest przy tym to, że niektórzy próbowali mi udowodnić, że „tylko prawda jest ciekawa”, sięgając po polską propagandę wojenną z września 1939 r., tak jakbyśmy przegrali wojnę obronną dlatego, że „Kurier Warszawski” donosił wówczas, iż Niemcy wycofują się pod naporem polskich wojsk i ponoszą wielkie straty, a nie dlatego, że byliśmy do wojny źle przygotowani. Czyżby zatem polska prasa powinna wówczas pisać o załamaniu nerwowym mjr. Sucharskiego na Westerplatte i o „krwawej niedzieli” w Bydgoszczy? W imię „prawdy obiektywnej”? Abstrahuję już od tego, że przykład ten potwierdza to, co napisałem: takie są po prostu reguły wojny informacyjnej. Teoretycy realizmu politycznego wielokrotnie podkreślali, że należy opisywać świat takim, jakim jest, a nie takim, jakim chcielibyśmy, by był.

## REZONOWANIE ROSYJSKIEJ PROPAGANDY

Wbrew temu, co pisze Golonka, głównym problemem (w powyższym kontekście) nie jest bynajmniej to, czy jesteśmy „w stanie wojny z Rosją”, lecz to, jaki jest nasz interes narodowy. Warto przy tym podkreślić, że w Polsce nie jest przestępstwem głosić tezy sprzeczne z naszą racją stanu i nie ma żadnych planów ograniczania wolności słowa w tym zakresie. Paradoksem jest jednak to, że w imię walki z chochołem w postaci rzekomej cenzury niektórzy uznają za niedopuszczalne głosy wskazujące na zbieżność



eprasa.pl d51214625f

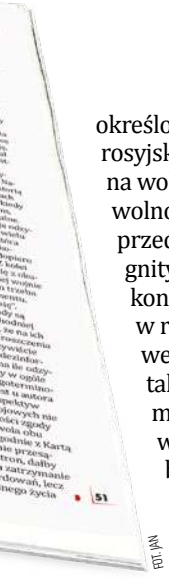

FOT. JAN

określonych narracji z propagandą rosyjską. To już nie tylko zamach na wolność słowa, lecz także na wolność badań naukowych, których przedmiotem jest tzw. wojna kognitywna (ang. cognitive warfare), koncepcja szeroko opisana m.in. w rosyjskiej literaturze naukowej. W skrócie opiera się ona na takim kształtowaniu świadomości, w szczególności poprzez wpływanie na sferę emocji, by rezonowanie propagandy wynikało nie z agenturalnej działalności, lecz z własnego przekonania o jej słuszności. W warunkach totalitarnego państwa, takiego jak Rosja, odpowiedź państwa na to jest prosta – do łagru, w warunkach demokratycznego państwa prawa, takiego jak Polska, można takie poglądy głosić do woli. Można jednak również wskazywać na zbieżności narracyjne i nie jest to bynajmniej, jak twierdzi Golonka, „ślepe popieranie jedynie słusznego stanowiska rządu", a już tym bardziej wyciągniętych niczym królik z kapelusza „neokonserwatystów".

Komunikaty ukraińskich władz na temat strat stron nie są powodem wsparcia, którego Polska (i inne kraje) udziela Ukrainie, a założenie, że polskie władze nie mają świadomości tego, że jest to instrument budowy morale, a nie prawda obiektywna, jest absurdem. Jeśli zaś ktoś czuje potrzebę przeciwstawienia tej ukraińskiej propagandzie sukcesu, narracji o tym, w jak beznadziejnym położeniu jest Ukraina i że niezwłocznie powinna skapitulować, to oczywiście może to robić, bo jesteśmy demokratycznym państwem prawa. Tyle że niech się nie dziwi temu, że potem będzie cytowany przez rosyjskich propagandzistów takich jak Sołowiow czy Skabiejewa i krytykowany przez polskich specjalistów z zakresu wojny informacyjnej. Warto też mieć świadomość, że strategiczna porażka Rosji w tej wojnie polega nie na tym, że Ukraińcy już podchodzą pod Władywostok, lecz na tym, że nie został osiągnięty cel, jakim było podporządkowanie całej Ukrainy. I cel ten jest już nierealny.

## INTELEKTUALNA UCZCIWOŚĆ

Sugestia Golonki, że Kuźniar jest „realistą w południe", przyłączającym się do narracji zwolenników „pokoju", opartego na „uwzględnieniu interesów bezpieczeństwa narodowego Rosji" (o czym pisał Mearsheimer), jest nieporozumieniem opartym na niezrozumieniu różnicy między „pokojem" i „rozejmem" oraz tego, że obok wojny kinetycznej toczy się wojna hybrydowa, którą można nazwać „drugą zimną wojną". W tekście Kuźniara słowo „pokój" pojawia się 10 razy, ale w żadnym wypadku nie jako postulat, by na tym etapie był to cel negocjacji. Wręcz przeciwnie, Kuźniar wyraźnie podkreśla, że taki rozejm „nie przesądza o pozycjach prawnych stron". W tym kontekście warto zrozumieć, że z punktu widzenia polskiego interesu narodowego bez znaczenia jest to, kto faktycznie kontroluje Krym czy Donbas, natomiast fundamentalne znaczenie ma to, by rosyjska kontrola nie została usankcjonowana w wymiarze prawnomiędzynarodowym. Nie byłby to bowiem kompromis, lecz appeasement, nagradzający agresora i zachęcający do dalszej ekspansji.

**Polityka sankcji oraz derusyfikacji energetycznej nie jest prowadzona dla Ukrainy, lecz dlatego, by pozbawić Rosję zdolności do ponownego uderzenia. Pogląd, że nie jest to jej celem, jest naiwny i całkowicie sprzeczny z jakimkolwiek realizmem**

Z Kuźniarem można się zgadzać lub nie, lecz warto zachować intelektualną uczciwość wobec tego, co faktycznie napisał. Tymczasem Golonka pominął fragment, w którym Kuźniar stwierdza, że „ewentualny rozejm nie dotyczyłby relacji Rosja – Zachód" i normalizacja tych relacji nie nastąpi prędko, gdyż jest niemożliwa dopóty, dopóki Rosją rządzą Putin i jego ekipa. Oznacza to, że polityka sankcji oraz derusyfikacji energetycznej (ze wszystkimi tego kosztami) trwałaby nadal, gdyż jej celem jest pozbawienie Rosji zdolności do odtworzenia zasobów. Ta polityka nie jest bowiem prowadzona dla Ukrainy, lecz dlatego, by pozbawić Rosję zdolności do ponownego uderzenia. Pogląd, że nie jest to jej celem, jest naiwny i całkowicie sprzeczny z jakimkolwiek realizmem – czy w rozumieniu teorii czy potocznym. O tym, że Kuźniar odcina się od jakiegokolwiek mearsheimerowskiego „pokoju" polegającego na podziałach stref wpływów ponad głowami wolnych narodów, świadczy fragment, w którym podkreśla, że Moskwa „nie może liczyć na zachowanie jakichkolwiek wpływów w Ukrainie", a o przyszłości stosunków ukraińsko-rosyjskich będą decydować Ukraińcy, a nie jakiś „koncert mocarstw". Aby rozwiać wszelkie wątpliwości, Kuźniar wskazuje, że pokój (a nie tylko rozejm) nie będzie możliwy bez ukarania winnych zbrodni, w tym zbrodni agresji, i zapłacenia reparacji wojennych. Jak to się ma do tez „realistów z bożej łaski" (określenie użyte przez Kuźniara)? Nijak.

## TEORIA, KTÓRA NIE DZIAŁA

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Wbrew temu, co pisze Paweł Lisicki („Do Rzeczy" z 6 lutego), realizm to nie „szacunek dla rzeczywistości", a jego przeciwieństwem nie jest bynajmniej jakiś „romantyzm". Realizm to grupa teorii stosunków międzynarodowych, których wspólną cechą jest hobbesowska wizja zwierzęcej rywalizacji państw o potęgę. W przypadku jednej z tych teorii, tj. mearsheimerowskiego realizmu ofensywnego, można mieć głębokie wątpliwości co do jej „szacunku dla rzeczywistości". Sam Mearsheimer z rozbrajającą szczerością stwierdza bowiem we wstępie do swej książki „Tragizm polityki mocarstw", że jego teoria w wielu wypadkach po prostu nie działa. Polega ona przy tym na konsekwentnym ignorowaniu wpływu wewnętrznych czynników państwa na politykę zagraniczną, w tym w szczególności na wojnę. Tymczasem teza, że demokratyczny ustrój państwa nie ma wpływu na politykę zagraniczną, została w dostateczny sposób sfalsyfikowana empirycznie. I to właśnie teorie liberalne, do których należy teoria demokratycznego pokoju, są opozycją wobec realizmu, ale nie wobec „szacunku dla rzeczywistości". Harry Truman i jego doktryna, dzięki której zaczęła się zimna wojna, ostatecznie przegrana przez ZSRS, była konceptem liberalnym, a nie realistycznym i z całą pewnością nie romantycznym. Warto o tym pamiętać, bo właśnie historia się powtarza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Kiedy prawda pada ofiarą propagandy

Pocztówka przedstawiająca plądrowanie Louvain przez niemieckie wojska podczas pierwszej wojny światowej FOT. CULTURE CLUB/GETTY IMAGES

*Dariusz Wieromiejczyk*

**Społeczeństwa poddane histerycznej propagandzie skłonne są do wyborów dalece nieracjonalnych. Doświadczyły tego wszystkie wojujące w wielkiej wojnie strony**

Jedną z najważniejszych bitew pierwszej wojny światowej stoczono nie na polach Galicji czy Flandrii, ale w rodzących się przed stu laty masowych mediach. Bitwa ta okazała się starciem rozstrzygającym dla dziejów XX stulecia. Stoczono ją, posługując się kłamstwem na tak ogromną skalę, że zwycięzcy zrobili wszystko, by szybko wymazać swoje „triumfy" z pamięci pokoleń.

Pojęcie „gwałtu na Belgii" (ang. „the rape of Belgium") może być współczesnym czytelnikom zupełnie nieznane. Trudno w to dziś uwierzyć, ale dla milionów żołnierzy ententy, którzy oddali życie na frontach wielkiej wojny, był to jeden z najważniejszych powodów wyruszenia na wojnę. „Gwałt na Belgii" zszokował, a zarazem zmobilizował do uczestnictwa w walce przede wszystkim Brytyjczyków, Amerykanów, narody imperium brytyjskiego. Opowieści o masowych gwałtach, kanibalizmie i obcinaniu rączek tysiącom belgijskich dzieci wprawiły w moralny popłoch mieszczańskie społeczeństwa Zachodu. Konsekwencje tej świetnie zorganizowanej manipulacji sięgają naszych czasów.

W sierpniu 1914 r. potężna armia niemiecka wkroczyła w granice Belgii. Wbrew oczekiwaniom niemieckich sztabowców Belgowie, pod wodzą młodego króla Alberta, stawili Niemcom odważny opór. Inwazję Belgii wykorzystali politycy Imperium Brytyjskiego jako uzasadnienie, w oczach opinii publicznej, przystąpienia do wojny po stronie ententy. Stosunkowo nieliczna armia brytyjska składała się wyłącznie z żołnierzy zawodowych. Już w ciągu pierwszych miesięcy wojny Brytyjski Korpus Ekspedycyjny poniósł ogromne straty, przekraczające połowę stanu osobowego. Dla stworzenia nowej, masowej armii niezbędny był zaciąg setek tysięcy ochotników – obowiązkowy pobór powszechny ogłosili Brytyjczycy dopiero w roku 1916. Przyczyny, dla których brytyjscy chłopcy mieliby ginąć na polach Francji, nie były początkowo dla opinii publicznej zbyt oczywiste. Morderstwo austriackiego następcy tronu i zemsta imperium Habsburgów na Serbach wydawały się powodem dość egzotycznym. Brytyjskie gwarancje dla neutralności Belgii i naruszenie jej w 1914 r. przez



eprasa.pl d51214625f

wojska niemieckie nie wywoływały wśród Brytyjczyków odpowiednio intensywnych emocji. Warto pamiętać, że identyczne plany, zakładające wkroczenie do Belgii, snuli przed wojną także francuscy sztabowcy. Jedynie interwencja polityków, obawiających się pozbawienia potencjalnego sojusznika cennego pretekstu wojennego, wstrzymała krewkich wojskowych.

## STANDARDOWA BRUTALNOŚĆ

Armia niemiecka niewątpliwie dopuściła się w Belgii okrucieństw. Nie różniły się one jednak od tych, które popełnili sojusznicy z ententy, Rosjanie, na okupowanym wtedy skrawku terytorium Prus Wschodnich. Wielokrotnie liczniejsze ofiary pozostawiła po sobie w Galicji armia austro-węgierska – co gorsza, rekrutowały się one spośród własnych obywateli, Rusinów, na których pokonani żołnierze wyładowywali frustrację z doznanej klęski. Na niewielkim fragmencie Alzacji i Lotaryngii, zajętym w tych dniach przez Francuzów w szybko zakończonej ofensywie, błyskawicznie aresztowali oni 8 tys. niemieckich nauczycieli i urzędników, na dodatek przymusowo deportując do Francji ponad 3 tys. kobiet, dzieci i starców. Brutalność wobec podejrzewanych o sprzyjanie wrogowi lub szpiegostwo była podobna jak wszędzie (egzekucje podejrzanych wieśniaków, palenie „wrogich" wiosek), lecz szybko rozkręcająca się czystka nie zdążyła, z powodu odwrotu „wyzwolicieli", nabrać zaplanowanych rozmiarów.

Brutalność wobec okupowanych cywilów była standardowym sposobem postępowania wszystkich ówczesnych armii. Na terytorium Belgii weszły wielomilionowe rzesze świeżo zmobilizowanych, łatwo wpadających w panikę rezerwistów. W Niemczech pamiętano o doświadczeniach wojny z Francją w roku 1870, kiedy po klęsce francuskich wojsk konflikt przekształcać się zaczął w „wojnę ludową", z udziałem „wolnych strzelców" („francs-tireurs") rekrutujących się spośród ludności cywilnej. Wszystko to nie może usprawiedliwiać śmierci ok. 3 tys. cywili, z których część rozstrzelano jako podejrzanych o szpiegostwo lub partyzantkę. Warto jednak pamiętać, że do zbiorowych egzekucji doszło niemal wyłącznie w dniach 17–27 sierpnia 1914 r. i w trakcie dalszej, wieloletniej okupacji Belgii nigdy się już one, w podobnej skali, nie powtórzyły. Nie miały też miejsca żadne wspierane przez władze orgie przemocy seksualnej, masowe tortury ani przypadki kanibalizmu.

## PROPAGANDA I USŁUŻNI DZIENNIKARZE

Brytyjska propaganda przedstawiła te wydarzenia w sposób kuriozalnie wyolbrzymiony. Usłużni dziennikarze skoncentrowali się na tym, co w postwiktoriańskim społeczeństwie wzbudzić mogło największe przerażenie i rozgłos. Skoncentrowano się na torturach, mordowaniu dzieci i gwałtach. Opisywano nagie kobiety, z obciętymi piersiami, stopami i dłońmi, przybijane bagnetami do drzwi domów. Prusacy z upodobaniem oddawać się mieli praktykom kanibalistycznym, pożerając swoje ofiary – zwłaszcza najmłodsze. Prasę zalały opisy udręk wielu tysięcy (!) belgijskich dzieci, którym żołnierze Wilhelma II obcinać mieli dłonie, karząc je za waleczność rodziców. Inne paść miały ofiarą zatrutych cukierków, które pełnymi garściami rozdawać mieli Prusacy i Bawarczycy. Przedstawiano relacje z masowych gwałtów na zakonnicach, zakończonych średniowiecznymi torturami.

Skąd w sytym, niemieckim społeczeństwie „belle époque" znaleźć się miały wielotysięczne hordy sadystów seksualnych i kanibali w mundurach – tego pytania nie zadawali sobie ani dziennikarze, ani rozhisteryzowane czytelniczki. Współczesnego widza, oglądającego dziś archiwalne ilustracje i plakaty propagandowe z brytyjskiej prasy, zdumiewa zwłaszcza oderwanie ich od jakiegokolwiek związku z rzeczywistością. Niemieccy ułani paradują po Belgii z tuzinami nabitych na lance, niczym apokaliptyczne szaszłyki, niemowląt. Nagie kobiety gwałcone są zbiorowo przez generałów, obowiązkowo w pikielhaubach, z wielkimi złotymi epoletami na ramionach. Opisy te powielano zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, przygotowując grunt dla przystąpienia Ameryki do wojny przeciw Niemcom. Włoskie sklepy z dewocjonaliami sprzedawały w owym czasie figury małej dziewczynki, wyciągającej w górę okrwawione kikuty rąk i proszącej Matkę Boską, by zwróciła jej dłonie.

W perwersyjnej kampanii doskonale odnaleźli się ówcześni politycy i uczeni. Dla pierwszych była to doskonała okazja do odhumanizowania przeciwnika. Niemców, jako istoty półzwierzęce, współczesnych Hunów, cechować miała „wrodzona dzikość instynktu przelewania krwi". Jak twierdził Georges Clemenceau, naród niemiecki zdolny jest jedynie do „wiecznej agresji, właściwej dla całkowicie dzikich plemion, służącej grabieży, osiąganej wszelkimi metodami barbarzyńców". Argumentacja taka odebrać miała obywatelom wszelką nadzieję na zakończenie wojny przez negocjacje pokojowe. Z demonicznymi Hunami walczyć trzeba do końca. Wojna przedstawiona jako apokaliptyczny konflikt z przeciwnikiem, reprezentującym zło absolutne, wymagała od obywateli całkowitego posłuszeństwa politykom, gotowości na straty i przyjmowane bezdyskusyjnie poświęcenia.

Uczeni potrzebni byli do uzasadnienia tych dogmatów metodami naukowymi. Wielu znakomitych intelektualistów oddało talent na służbę „politycznej konieczności" swych czasów. Była to zresztą tendencja uniwersalna, dotycząca wszystkich walczących stron. Zrównoważeni do niedawna historycy głosić zaczęli „naukowo udowodnione" prawdy o odwiecznej podłości Germanów, „świętym" prawie Rosji do Anatolii i cieśnin tureckich czy katolickiej ciemnocie, pleniącej się na ziemiach zdegenerowanych Habsburgów. Pacyfistyczny, powojenny wiersz Juliana Tuwima, ostrzegający „prostego człowieka" przed „judzeniem »historyczną racją«, o piędzi, chwale i rubieży, o ojcach, dziadach i sztandarach, o bohaterach i ofiarach" odnosi się także do tych teorii. Młoda wtedy gałąź nauki, którą dziś nazywamy geopolityką, szczególnie chętnie zaprzęgła się do propagandowego rydwanu.

## ATAKI „BIAŁYCH PIÓREK"

Niewątpliwie nowatorskim pomysłem na zwiększenie liczby „ochotników" wojennych w Wielkiej Brytanii było wykorzystanie do tego celu coraz aktywniejszych społecznie, łatwiej wpadających w histerię kobiet. Już w pierwszym miesiącu wojny, z inicjatywy brytyjskiego admirała Charlesa Fitzgeralda, powołana została organizacja – a raczej ruch społeczny, znany pod niewinną nazwą „brygad białego pióra". Organizacja ta – wspierana przez prasę i polityków – organizowała wyzwolone obyczajowo „patriotki" do „zawstydzania" mężczyzn w wieku poborowym przez



eprasa.pl d51214625f

wręczanie im białych piórek – symbolu tchórzostwa, a także braku męskości i chęci do obrony kobiet przed najeźdźcami. Niechętnie dziś opisywany przez historyków ruch przybrał na Wyspach rozmiary histerii. Mężczyźni w wieku poborowym byli obrzucani obelgami, zawstydzani i upokarzani w miejscach publicznych. Odważne panie wręczały im symbol tchórzostwa – białe piórko – nawet gdy ze względów medycznych lub rodzinnych nie nadawali się do służby wojskowej. W pamiętnikach z epoki powtarzają się wspomnienia upokorzonych, często na oczach żon i dzieci, mężczyzn, którzy pod wpływem tego przeżycia zgłaszali się do wojska. Histeria „wojennych feministek" osiągnęła z czasem taki poziom, że żołnierze frontowi bali się wracać na przepustki w rodzinne strony, aby w ubraniu cywilnym nie stać się przedmiotem ataków rozemocjonowanych emancypantek. Po jakimś czasie władze zmuszone były do wprowadzenia specjalnych odznak, rozdawanych urzędnikom rządowym i mężczyznom zatrudnionym w ważnych dla przemysłu wojennego sektorach gospodarki. Opatrzone napisem „Król i Ojczyzna" chronić miały posiadaczy przed atakami „brygad białego piórka". Podobne odznaki wręczać zaczęto urlopowanym, rannym i zwolnionym ze służby żołnierzom, którzy obawiali się pokazywać publicznie w ubraniach cywilnych. Zdarzały się przypadki zwolnionych z wojska weteranów, zgłaszających się do powtórnej służby lub odbierających sobie życie po spotkaniach z bojowniczkami „białego pióra".

Innym przykładem propagandowego rozhisteryzowania społeczeństwa była kampania prasowa rozpętana wokół prowadzonej przez państwa centralne wojny podwodnej. Nielegalna i sprzeczna z zasadami prawa międzynarodowego blokada morska, odcinająca Niemcy, w tym także ludność cywilną, od dostaw żywności, spowodowała odwetowe ataki na płynące do portów ententy statki handlowe. Warto pamiętać, że podczas wojny z głodu zmarło w Niemczech ok. 700 tys. cywili, głównie najsłabszych – starców, kobiet i dzieci. Działania U-Bootów szybko stały się tematem propagandy brytyjskiej, mającej na celu skłonienie Amerykanów do przystąpienia do wojny. Niemieckich marynarzy przedstawiano jako żądne krwi bestie, z upodobaniem topiące statki pasażerskie. Jednym z ciekawych przykładów takich działań jest amerykański film z czasów wielkiej wojny zatytułowany „Behind the door" (1919). Jego bohaterem jest były marynarz, z zawodu preparator zwierząt. W trakcie podróży morskiej, odbywanej wraz ze świeżo poślubioną żoną, statek jego storpedowany zostaje przez U-Boota. Nowożeńcy lądują w szalupie ratunkowej. Okręt podwodny zabiera z szalupy kobietę, mężczyznę zostawiając na pewną śmierć. Kobieta jest następnie gwałcona najpierw przez kapitana U-Boota, potem zbiorowo przez wszystkich marynarzy. Zamordowaną kobietę wyrzucają Niemcy za burtę. Kiedy po wielu perypetiach kapitan łodzi podwodnej wpada w ręce męża ofiary (który przeżył i zaciągnął się do US Navy), ten metodycznie obdziera jeńca ze skóry, wykorzystując zawodowe umiejętności preparatora trofeów łowieckich.

W rezultacie podobnych opowieści prawdziwe zbrodnie na temat ludności cywilnej przestały być przez polityków i opinię publiczną traktowane poważnie. Kiedy Jan Karski, 20 lat później, alarmował Amerykanów o popełnianym przez hitlerowców ludobójstwie, powszechnie nie dawano mu wiary. Zapewnienia Karskiego, że tym razem masowe zbrodnie są jak najbardziej prawdziwe, odbijały się od uszu ludzi, którzy niedawno sami produkowali, lub pomagali rozpowszechniać podobnie porażające i drastyczne „fakty medialne".

## PROBLEM NIERACJONALNYCH OCEN

Innym rezultatem ówczesnych manipulacji propagandowych było uniemożliwienie wojującym stronom wcześniejszego zakończenia konfliktu. Próby negocjacji podejmowane choćby przez elitę austro-węgierską (tzw. afera Sykstusa) łatwo było storpedować argumentem o niemożności nawiązywania pertraktacji, a tym bardziej dokonywania ustępstw wobec urodzonych, niereformowalnych zbrodniarzy. Odhumanizowanie przeciwnika bardzo utrudnia zawarcie z nim wiążących układów pokojowych, nawet jeśli to one kończyły dotychczas najbardziej nawet zaciekły konflikt.

Społeczeństwa poddane histerycznej propagandzie skłonne są do wyborów dalece nieracjonalnych. Doświadczyły tego wszystkie wojujące w wielkiej wojnie strony. Nacisk społeczny, wywołany niemiecką propagandą skierowaną przeciw „odwiecznemu wrogowi", perfidnej Anglii, skłonił niemieckich polityków i wojskowych, by zaryzykować iście hazardową decyzję o rozpoczęciu w roku 1917 nieograniczonej wojny podwodnej. Krok ten okazał się fatalny w skutkach, ułatwił bowiem decyzję prezydenta Wilsona o przystąpieniu do wojny. Bez udziału Amerykanów, a po wycofaniu się z wojny Rosji, konflikt mógł być przez Niemcy wygrany.

Pozbawienie obywateli możliwości racjonalnej oceny sytuacji oraz oparta na skrajnych emocjach propaganda uniemożliwiają rządzącym elastyczną „zmianę biegu". Przykładem może tu być kampania strachu zorganizowana przy okazji epidemii COVID. Przestraszone i skrajnie rozhisteryzowane społeczeństwo wymuszało na rządzących eskalację „walki z pandemią", którą, po racjonalnej ocenie zagrożeń i konsekwencji, dawno już należało zakończyć. Politycy, w pierwszych miesiącach kryzysu dyscyplinujący społeczeństwo strachem, szybko okazali się zakładnikami emocji, których nie umieli już ani wygasić, ani okiełznać.

Nie wyjaśnia tych mechanizmów twierdzenie, że „pierwszą ofiarą wojny jest prawda". Powiedzieć raczej można, że ostatnią, a zarazem największą ofiarą kłamliwej propagandy są zbiorowości, które w nią uwierzyły. Pierwsza wojna światowa, mimo milionów daremnych, utopionych w okopowym błocie ofiar, toczyła się do całkowitego wyczerpania sił biorących w niej udział potęg. Zakończyły ją dopiero krwawy rozpad Rosji, chaotyczna dezintegracja Austro-Węgier i wewnętrzny kryzys armii niemieckiej, która nie mogła już, i nie chciała, walczyć dalej. Kolejną jej konsekwencją był moralny i polityczny rozkład Francji, dla której zwycięstwo okazało się tak kosztowne, że na następne nie była już sobie w stanie pozwolić. Pierwsza wojna światowa stała się pierwotną katastrofą XX w., „samobójstwem Europy" i końcem epoki, która wierzyła jeszcze w wojenną chwałę oraz zasady, które głosi. Jej prawdziwymi zabójcami nie byli jednak ani cesarz Wilhelm, ani car Mikołaj. Zabili ją oportunistyczni politycy – intryganci – oraz tłumy kłamiących za pieniądze pismaków. Zabili ją też ludzie, którzy umieli te kłamstwa uzasadniać, i ci, którzy powodowani szaleństwem tłumów gotowi byli za nie ginąć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Dni relatywizmu

Paweł Chmielewski

**W Kościele katolickim w Polsce odbywały się wydarzenia ekumeniczne i dialogiczne. W tym krótkim czasie zdążono: zaprzeczyć prawdzie o Kościele jako nowym Ludzie Bożym, który zastąpił Izrael; umniejszyć wyjątkowość Kościoła jako Mistycznego Ciała Chrystusa; przedstawić w fałszywym świetle islam jako nieledwie „alternatywną" drogę do Boga**

W dniach 18–25 stycznia Kościół katolicki na całym świecie obchodzi Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan. Inicjatywa ma swoje korzenie w początkach XX w. – wówczas jeszcze modlono się o pojednanie heretyków i schizmatyków z wiarą i Rzymem. Po Soborze Watykańskim II obchody zatraciły ten charakter, stając się „ekumeniczne". To znaczy, że nie mówi się już o pojednaniu, ale o współpracy. Próba nawrócenia na rzymski katolicyzm prawosławnego czy protestanta jest piętnowana jako „grzeszny prozelityzm".

W Kościele katolickim w Polsce Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan ma szczególny koloryt. Został rozbudowany o dni „dialogu" z innymi religiami. 17 stycznia obchodzimy Dzień Judaizmu, a 26 stycznia – Dzień Islamu. To nasza krajowa specyfika, niespotykana chyba nigdzie indziej na świecie. Ma korzenie m.in. w klimacie, który tworzyła działalność dialogiczna św. Jana Pawła II. Niestety, sposób, w jaki obchodzimy w Polsce cały ten okres, budzi poważne wątpliwości.

## KOŚCIÓŁ KATOLICKI, „KOŚCIÓŁ" LUTERAŃSKI?

W 2023 r. ekumeniczny Tydzień odbywał się pod ogólnokościelnym hasłem „Czyńcie dobro; szukajcie sprawiedliwości". Materiały na ten czas przysłał Watykan. Przygotowały je środowiska dialogiczne z Minnesoty w USA. Interesująca jest krótka przedmowa, którą tekst główny opatrzony został przez polski zespół redakcyjny. W tym słowie wstępnym pojawiają się takie frazy jak „współpraca z różnymi Kościołami" czy „zachęcamy Kościoły...". Byłoby to teologicznie poprawne, gdyby odnosiło się wyłącznie do Kościoła katolickiego i Kościołów prawosławnych. Te drugie, choć nie pozostają w jedności z Rzymem, sprawują ważne sakramenty, stąd Stolica Apostolska uznaje je za wprawdzie schizmatyckie, ale jednak osobne Kościoły partykularne.

Problem w tym, że w polskiej przedmowie mianem „Kościołów" określono również rozmaite wspólnoty protestanckie. Pod przedmową podpisały się następujące podmioty: tzw. Kościół Ewangelicko-Metodystyczny w RP; tzw. Kościół Ewangelicko-Augsburski w RP; Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, tzw. Kościół Polskokatolicki w RP; Kościół Rzymskokatolicki.

Zgodnie z nauczaniem Kościoła katolickiego trzy spośród wymienionych wyżej podmiotów – metodyści, luteranie i polskokatolicy – są wspólnotami kościelnymi, a nie Kościołami. Nie jest to rozróżnienie błahe, ale ma fundamentalne znaczenie dla samorozumienia Kościoła.

## KOŚCIOŁY CZY WSPÓLNOTY?

Rozróżnienia na Kościoły i wspólnoty kościelne używał w oficjalnych dokumentach także św. Jan Paweł II. W encyklice „Ut unum sint" poświęconej zagadnieniom ekumenizmu stosował konsekwentnie sformułowanie „wspólnoty kościelne". Niestety, w zwykłych przemówieniach, jak choćby w Skoczowie w 1995 r., nie trzymał się już tego precyzyjnego języka. Dlaczego to istotne? Dlatego że określanie wspólnot protestanckich mianem Kościołów wspiera fałszywą eklezjologię, według której Kościół Chrystusowy nie jest tożsamy z Kościołem katolickim. Ten błąd potępiała deklaracja „Dominus Iesus" powstała pod kierunkiem kard. Józefa Ratzingera, a ogłoszona przez Watykan w 2000 r. „[...] należy stanowczo wyznawać jako prawdę wiary katolickiej jedyność założonego przezeń [Chrystusa – przyp. P.Ch.] Kościoła. Tak jak jest jeden Chrystus, istnieje tylko jedno Jego Ciało, jedna Jego Oblubienica: jeden Kościół katolicki i apostolski" – głosił tekst, dodając: „Kościół Chrystusowy, pomimo podziału chrześcijan, nadal istnieje w pełni jedynie w Kościele katolickim"; „istnieje zatem jeden Kościół Chrystusowy, który trwa w Kościele katolickim".



eprasa.pl d51214625f

Deklaracja wyjaśniła, że Kościół posiada już dziś pełną jedność, choć zarazem nie ma jedności wśród chrześcijan. Gdyby było inaczej, to znaczy Kościół dopiero poszukiwałby jedności, oznaczałoby to, że… musi się wciąż „rozwijać" i wypatrywać przyszłej doskonałości. Byłaby to potępiana przez papieży teoria ewolucjonistyczna.

## JEDNOŚĆ WIDZIALNEGO KOŚCIOŁA

Tymczasem w tekście polskiego wprowadzenia do materiałów na Tydzień czytamy, że chrześcijanie mają modlić się o „większą widzialną jedność Kościoła". Przywołuje to podział na Kościół widzialny i niewidzialny, koncept o wprawdzie długiej historii sięgającej pierwszych wieków chrześcijaństwa, dziś podnoszony jednak głównie przez protestantów, którzy przekonują, że są pełnoprawnymi członkami „niewidzialnego Kościoła" poprzez chrzest, dokładnie tak jak katolicy; brakowałoby więc tylko jedności „widzialnego Kościoła".

Święty Jan Paweł II w „Ut unum sint", odwołując się do dekretu „Unitatis redintegratio" Soboru Watykańskiego II, wskazywał wyraźnie, że Bóg objawił już Kościół w jego rzeczywistości eschatologicznej – i elementy tego Kościoła istnieją łącznie i w całej pełni wyłącznie w Kościele katolickim. Ekumeniczne poszukiwanie „jedności Kościoła" podczas Tygodnia, widzialnej czy niewidzialnej, jest zwykłym błędem wynikającym z być może nieuświadomionego przyjęcia potępionego poglądu, o którym pisała Kongregacja Nauki Wiary jeszcze za św. Pawła VI, a który przypomniała deklaracja „Dominus Iesus".

„Nie wolno więc wiernym uważać, że Kościół Chrystusowy jest zbiorem – wprawdzie zróżnicowanym, ale zarazem w jakiś sposób zjednoczonym – Kościołów i wspólnot eklezjalnych. Nie mogą też mniemać, że Kościół Chrystusowy nie istnieje już dziś w żadnym miejscu i dlatego winien być jedynie przedmiotem poszukiwań prowadzonych przez wszystkie Kościoły i wspólnoty" – ostrzegał Watykan. Kto by jednak w dobie rozbuchanego ekumenizmu przejmował się oficjalnym nauczaniem Kościoła…

## PRZEWRÓT W KOŚCIELE… CZY U ARCYBISKUPA?

Niestety, podobne problemy można odnotować w związku z dniami judaizmu oraz islamu. W Polsce Dzień Judaizmu ma od lat – w tym roku odbywała się już 26. edycja – głęboki kontekst polityczny. Choć w teorii powinien to być moment refleksji religijnej i dialogu o wierze, to w praktyce znaczna część obchodów poświęcona jest upamiętnianiu tragedii Żydów mordowanych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Być może ten właśnie kontekst, który zakłada siłą rzeczy maksymalną „wrażliwość" katolików na reakcje strony żydowskiej, odpowiada za różnorodne wątpliwe treści, które pojawiają się w tym dniu również na płaszczyźnie doktrynalnej.

W tym roku duży ferment wywołał abp Grzegorz Ryś, metropolita Łodzi, który w episkopacie pełni funkcję przewodniczącego Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem. Arcybiskup Ryś wydał na początku tego roku książeczkę poświęconą temu dialogowi. Prezentując ją krótko przed obchodami Dnia Judaizmu, przekonywał, że w Kościele katolickim doszło do „przewrotu kopernikańskiego" w omawianym zakresie. Przewrót to po łacinie revolutio. Rewolucja w doktrynie Kościoła? Koncept sam w sobie intrygujący.

Ciekawsze jednak, jak arcybiskup uzasadniał swoje twierdzenie. Otóż hierarcha mówił o deklaracji „Nostra aetate" ostatniego soboru. Stwierdził m.in.: „Dokument ten przekreślił tak zwaną teologię zastępstwa, według której Bóg odrzucił Izrael i zastąpił go nowym Ludem Bożym, jakim jest Kościół. »Nostra aetate« podkreśla, że Izrael dalej jest narodem wybranym, bo Bóg nie odwołuje wybrania". Byłaby to rzeczywiście rewolucja; tekst „Nostra aetate" istotnie nie jest wolny od niejasnych stwierdzeń, które mogą prowokować różne interpretacje. W tym jednak wypadku soborowa deklaracja głosi jednak dość wyraźnie: „Chociaż Kościół jest nowym Ludem Bożym, nie należy przedstawiać Żydów jako odrzuconych ani jako przeklętych przez Boga, rzekomo na podstawie Pisma świętego...".



eprasa.pl d51214625f

Ekumeniczne nabożeństwo rozpoczynające obchody Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan w kościele ewangelicko-augsburskim Świętej Trójcy w Warszawie, 18 stycznia 2023 r. FOT. MARCIN OBARA/PAP

Między twierdzeniem abp. Rysia o tym, że Sobór przekreślił teologię, według której Kościół jest nowym Ludem Bożym, a faktycznym twierdzeniem Soboru, że Kościół, owszem, jest nowym Ludem Bożym, zachodzi, jak zauważy czytelnik, dość istotna różnica. A dodajmy, że nie chodzi o przejęzyczenie, bo metropolita Łodzi tego rodzaju twierdzenia wygłaszał co najmniej dwukrotnie.

## CYTATY Z KORANU W POLSKICH KOŚCIOŁACH

Dzień Islamu w Kościele katolickim obchodziliśmy w tym roku po raz 23. Organizuje go Rada Wspólna Katolików i Muzułmanów. Od pierwszej edycji inicjatywa ta odbywa się pod znakiem poważnych ekscesów. W 2001 r. z okazji Dnia Islamu w Kościele sprawowano Mszę Świętą; w modlitwie wiernych odczytano jeden z passusów Koranu, który brzmi: „Ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni, i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku i nie będą zasmuceni". Miało to świadczyć o – to cytat z oficjalnego komunikatu – „poszanowaniu innych religii" w islamie. Oczywiście w Koranie znajdzie się kilka tego rodzaju cytatów. O wiele więcej znajdziemy jednak wersów, które wzywają chrześcijan do porzucenia wiary w Jezusa Chrystusa, przedstawiają Zbawiciela jako zwykłego człowieka i generalnie prostują „błędy" chrześcijan – zaprzeczając fundamentalnej prawdzie naszej wiary, którą Koran uznaje za bałwochwalstwo, tak zwany grzech „szirku" – „dodawanie Bogu towarzyszy". Zaprzeczanie tej rzeczywistości poprzez pudrowanie Koranu jest po prostu śmieszne, ale to błąd założycielski Dnia.

## CHRYSTUS? TO DRUGORZĘDNE!

W tym roku obchodzono go pod hasłem: „Chrześcijanie i muzułmanie: dzieląc radości i smutki", co jest nawiązaniem do jednej z ogólnokościelnych inicjatyw dialogowych. Polska Rada Wspólna wydała przy tym oświadczenie, w którym stwierdzono m.in.: „To, co nas dzieli, ma znaczenie drugorzędne"; a dalej: że podziały między ludźmi są wynikiem „zawiści", ponieważ „mówi o tym Koran".

Cóż, Mahomet ogłosił, że „naprawi" wiarę Abrahama, odrzucając prawdę o boskości Jezusa Chrystusa i wzywając chrześcijan do „nawrócenia". Zdaje się, że to właśnie próba wymazania religii chrześcijańskiej jest w tym wypadku przyczyną podziału, a nie „zawiść". No, ale przecież różnice – wiara i niewiara w Chrystusa – byłyby tylko „drugorzędne".

## TRIUMF OŚWIECENIA

Na polskich obchodach dni judaizmu, ekumenizmu oraz islamu nikt, jak dotąd, otwarcie nie głosił doktryny indyferentyzmu religijnego, która pozostaje raczej pewnym milczącym założeniem. Jej jawna proklamacja byłaby chyba wciąż kościelnym samobójstwem (a przynajmniej mam taką nadzieję…), biorąc pod uwagę ogromną liczbę dokumentów Magisterium wprost potępiających tę herezję, nawet jeżeli papież Franciszek bynajmniej o tej prawdzie nie przypomina.

A jednak jedyny logiczny wniosek, który można wysnuć z wielu aspektów tych wydarzeń, jest następujący: tak jak w „Natanie mędrcu" Lessinga czy w innych wykwitach rewolucyjnej myśli oświeceniowej uznaliśmy dzisiaj, że nie wiemy tak naprawdę, czy prawdziwy jest judaizm, islam czy chrześcijaństwo, a w ramach chrześcijaństwa sądzimy, iż po trosze słuszność leży u nas, a po trosze u protestantów. Tym samym wyzbywamy się roszczenia do prawdy – i możemy spokojnie świętować „jedność" i budować „zgodę", nie bacząc na dzielące nas różnice. Odrzucanie Chrystusa, jedność z Rzymem – to sprawy, jak się okazuje, rzeczywiście drugorzędne, wręcz nieistotne w obliczu kultury dialogizmu. Kto chce, może bronić obecnego modus operandi, wskazując na inicjatywy papieża, który w Abu Zabi buduje Dom Rodziny Abrahamowej złożony z kościoła, synagogi i meczetu; ale zastanówmy się lepiej, jak tego rodzaju ekumeniczne i dialogiczne poczynania ocenią przyszłe pokolenia wiernych Kościoła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



eprasa.pl d51214625f

*Mikołaj Iwanow*

# Republika Dalekiego Wschodu?

**Dziś, kiedy rosyjska armia ugrzęzła w wojnie na Ukrainie, a perspektywa szybkiego zwycięstwa Putina nad demokratyczną władzą sąsiedniego postsowieckiego państwa ulotniła się błyskawicznie, wiele osób zadaje sobie pytania: Co dalej z Rosją? Czy perspektywa jej rozpadu w wyniku klęski wojennej jest realna? Na ile separatyzm regionalny w tym kraju stanowi realną siłę?**

Kilka lat temu na rosyjskim Dalekim Wschodzie zaobserwowano wyjątkowo ciekawe zjawisko. W czasie jednej z manifestacji protestacyjnych we Władywostoku uczestnicy protestu szli ulicami miasta pod sztandarami istniejącej na początku lat 20. ubiegłego stulecia na tych ziemiach teoretycznie niezależnej Dalekowschodniej Republiki (DWR). Zjawisko to o tyle dziwne, że Daleki Wschód jest dziś regionem zasiedlonym przez liczne mniejszości narodowe. Ludność Dalekiego Wschodu jest bardzo specyficzna. Spory jej procent stanowią potomkowie katorżników, zesłańców i innych tzw. wrogów władzy sowieckiej i rosyjskiej. Nie brakuje również tych, którzy mają świadomość swego polskiego pochodzenia. Rdzenni mieszkańcy tego regionu prawie w żadnej teoretycznie jednostce autonomicznej nie stanowią większości. Nawet w tzw. Żydowskim Obwodzie Autonomicznym, który jest prawie 10-krotnie większy terytorialnie od Izraela, liczba Żydów nie przekracza 2 proc. wśród ponad 150 tys. mieszkańców obwodu, który był wymyślony przez władze sowieckie jako proletariacka ojczyzna Żydów całego świata. Jednak czy świadczy ten skład ludności o tym, że ci ludzie nie mają ambicji separatystycznych?

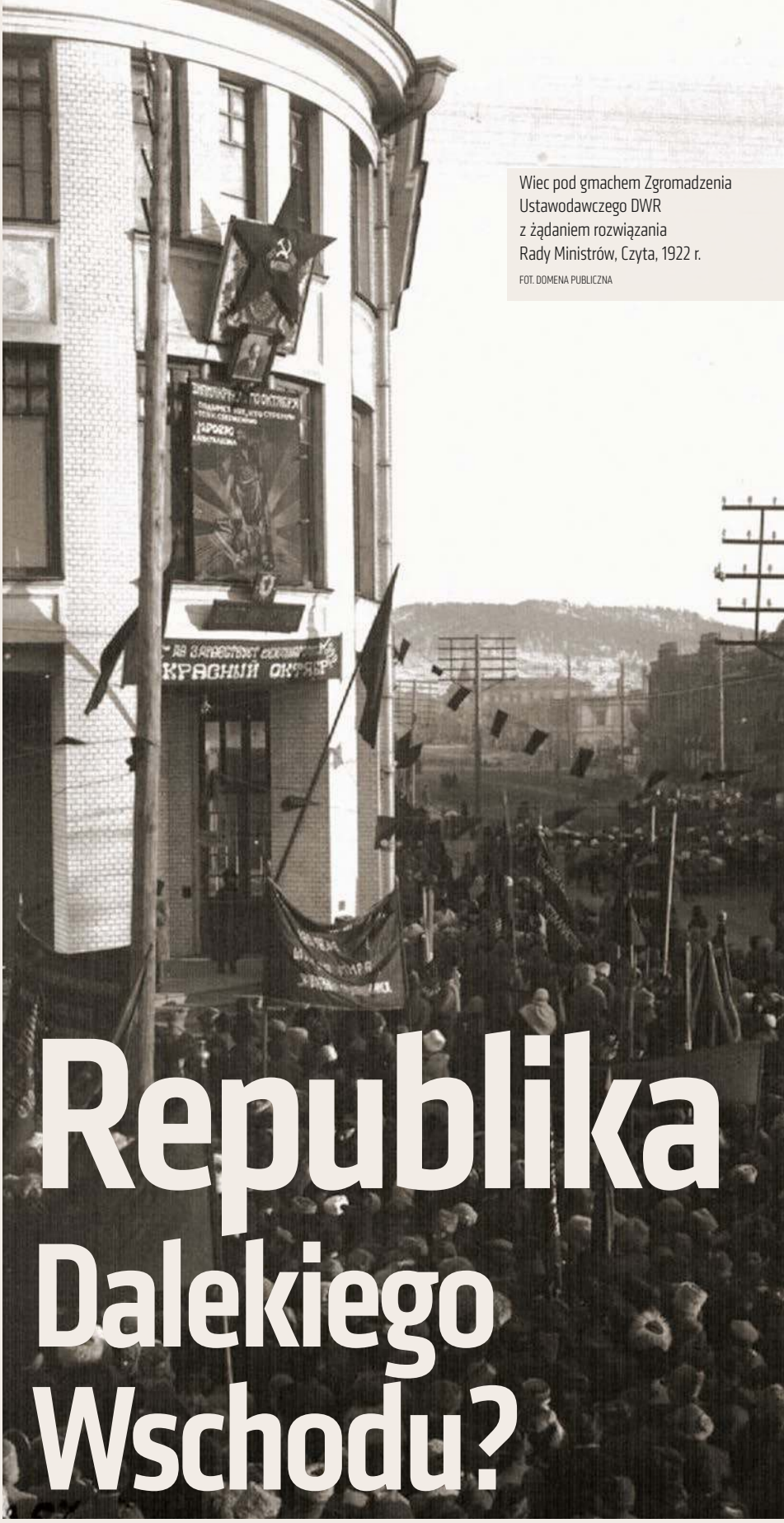


Wiec pod gmachem Zgromadzenia Ustawodawczego DWR z żądaniem rozwiązania Rady Ministrów, Czyta, 1922 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



eprasa.pl d51214625f

Stworzenie tzw. Republiki Dalekiego Wschodu ogłoszono 6 kwietnia 1920 r., co było swoistym pokłosiem rosyjskiej wojny domowej. Bolszewicy, którzy w tym momencie prowadzili ciężkie boje na Ukrainie z połączonymi armiami odrodzonej Rzeczypospolitej i Ukrainy, obawiali się nowego konfliktu wojennego z Japonią na Dalekim Wschodzie. Dlatego zgodzili się na utworzenie państwa buforowego w celu uniknięcia starcia z armią japońską, która w tym momencie okupowała znaczną część wschodnich terytoriów byłego Imperium Rosyjskiego.

Sytuacja na Zachodzie, na tzw. polskim froncie, była dramatyczna. 7 maja 1920 r. padł Kijów. Dlatego Lenin i jego politbiuro partii bolszewickiej zgodziło się na utworzenie opartej na częściowo demokratycznych zasadach Republiki Dalekiego Wschodu. Ze strony bolszewików był to przejaw daleko idącego kompromisu, a także poważnej obawy o dalszy los ich rewolucji. O ile w centrum kraju bolszewicy odmówili współpracy z partiami lewicowymi, nawet ze swoimi początkowymi koalicjantami w rządzie Lenina, lewymi eserowcami, o tyle tu, na Dalekim Wschodzie, stworzono rząd koalicyjny. Bolszewicy zgodzili się na współpracę z mienszewikami, eserowcami i nawet kadetami, których w centrum rozpatrywano jako wrogów rewolucji. W Moskwie i Piotrogrodzie słynne Czeka pod wodzą Feliksa Dzierżyńskiego skierowało przeciwko nim krwawe żądło tzw. czerwonego terroru.

## NA WOJNĘ Z JAPONIĄ

Zdjęcie z manifestacji protestu w Chabarowsku z roku 2013. Na plakacie napis: „Wystarczy karmić Moskwę i Czeczenię". Jest to znamienny napis zwłaszcza w okresie dzisiejszej wojny na Ukrainie, kiedy czeczeńscy bojownicy od Kadyrowa stanowią swoistą gwardię Putina.

Lenin i jego bolszewicy w tym wypadku byli po prostu realistami. Tu, za Uralem, poparcie dla tych partii było o wiele bardziej znaczące. Świadczyły o tym wyniki wyborów do Dumy Państwowej, przeprowadzone w grudniu 1917 r. i styczniu 1918 r. Stolicą tej republiki ogłoszono miasto Czyta, znajdujące się na trasie kolei transsyberyjskiej. We władzach tej republiki stosunkowo harmonijnie i pokojowo pracowali przedstawiciele starej carskiej administracji, socjaliści różnych odcieni, anarchiści i niektórzy działacze prawicowi.

Trudno w to uwierzyć, ale w Republice Dalekowschodniej przeprowadzono wolne wybory do miejscowego parlamentu – Dumy Państwowej. Zwyciężyli bolszewicy, którzy jednak musieli utworzyć rząd koalicyjny z przedstawicielami innych partii lewicowych. Władze DWR nawiązały ekonomiczne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, zaproponowali również Japończykom koncesje wydobywcze na niektóre surówce, które region posiadał. Wydawało się, że unormowanie stosunków z Japończykami gwarantuje wycofanie wojsk japońskich z Dalekiego Wschodu. Sytuacja jednak komplikowała się przez to, że na terytorium republiki działało mnóstwo partyzanckich oddziałów i innych uzbrojonych grup różnej orientacji politycznej. Jeden z takich oddziałów pod dowództwem Jakowa Triapicyna sprowokował na nowo wybuch wojny DWR z Japonią.

Dwudziestodwuletni Triapicyn do partii bolszewickiej nigdy nie należał, ale był wyjątkowo zdolnym organizatorem i wojskowym, który w ciągu kilku pierwszych miesięcy 1920 r. powiększył swój oddział partyzancki z 19 osób do kilkuset żołnierzy. Ten sukces wytłumaczyć można jedynie jego bezkompromisową walką z Japończykami. Jednak zupełny brak doświadczenia politycznego w końcu doprowadził go do klęski. Wiosną 1920 r. rząd DWR mianował go głównodowodzącym nikołajewskiego frontu walki z białymi i Japończykami. Pod jego dowództwem znalazło się kilka tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej Republiki Dalekiego Wschodu, którzy po ciężkich walkach w kwietniu 1920 r. zdobyli miasto Nikołajewsk nad Amurem. W mieście tym znajdował się garnizon japoński, a wśród mieszkańców było ok. 1 tys. obywateli Japonii, głównie etnicznych Japończyków, których Triapicyn potraktował jako zakładników. Po kilku tygodniach armia japońska przystąpiła do kontrofensywy. Triapicyn dość szybko zrozumiał, że nie ma szans w starciu z poważnymi siłami regularnej armii japońskiej. Jednocześnie zdecydował zademonstrować Japończykom swą determinację dalszego prowadzenia wojny do zwycięskiego dla Armii Czerwonej zakończenia. Wycofał swe oddziały do tajgi, ale przed tym dokonał makabrycznej zbrodni w Nikołajewie. Wymordował wszystkich jeńców japońskich i wszystkich cywilnych Japończyków, zamieszkałych w tym mieście, nie oszczędzając ani dzieci, ani starców. Ogółem ofiarami tej zbrodni padło ponad 1 tys. osób.

Zbrodnia w Nikołajewsku miała wyraźny oddźwięk międzynarodowy. W Japonii wywołała burzę protestów. Odbyło się kilka manifestacji ulicznych wzywających do pomszczenia ofiar. Ogłoszono żałobę narodową, parlament kraju przyjął specjalną rezolucję wzywającą do ukarania winnych. Wbrew przypuszczeniom Triapicyna zamiast zastraszenia Japończyków i zmuszenia ich do wycofania się z rosyjskiego Dalekiego Wschodu wywołała ona nowy wybuch wojny. Japończycy przystąpili do ofensywy na całym froncie. Istnienie DWR było zagrożone, tym bardziej że ofensywa odbywała się w czasie Bitwy Warszawskiej. Armia Czerwona ponosiła jedną porażkę za drugą na froncie zachodnim i nie była w stanie pomóc swemu dalekowschodniemu satelicie.

Ofensywa Japończyków była druzgocąca. Wydawało się, że dni Republiki Dalekiego Wschodu są policzone. Armia japońska zajęła północny Sachalin, na którym pozostała aż do 1925 r. Zajęto prawie wszystkie większe miasta regionu. I wtedy zdecydowano się zrobić coś nadzwyczajnego, co w zamyśle powinno było stać się swoistym zadośćuczynieniem za masakrę w Nikołajewsku. Podstępem aresztowano Jakowa Triapicyna i cały jego sztab. Oskarżono go o zdradę i prowokacyjne zamordowanie ludności cywilnej. Urządzono mu pospieszny proces i natychmiast rozstrzelano razem ze sztabem, wszystkimi dowódcami pułków i batalionów. Razem zgładzono 33 osoby. W zamyśle miało to zadowolić Japończyków i zatrzymać ich ofensywę. Jednak oburzenie Japończyków z powodu masakry w Nikołajewsku było na tyle duże, że armia japońska otwarcie wystąpiła jako strona w rosyjskiej wojnie domowej.

We Władywostoku Japończycy wzięli do niewoli całe najwyższe kierownictwo Dalekowschodniej Armii Czerwonej. Kilku najwyższych dowódców tej armii Japończycy zakatowali. Legenda głosi, że spalono ich żywcem w piecu



eprasa.pl d51214625f

Członkowie tymczasowego rządu braci Merkułow

FOT. DOMENA PUBLICZNA

lokomotywy. W czasach sowieckich ta opowieść przekształciła się w jeden z ważnych narzędzi propagandy komunistycznej. O zabitym w ten sposób dowódcy armii Sergiuszu Łazie w Związku Sowieckim wiedziało prawie każde dziecko. Uczono o tym w szkole, powstało na ten temat kilka filmów dokumentalnych i fabularnych, pisano o nim wiersze, śpiewano pieśni. W rzeczywistości, jak ustaliło śledztwo po rozpadzie Związku Sowieckiego, bolszewików tych rozstrzelano, a dopiero później ich ciała spalono w celu ukrycia zbrodni.

Ofensywa armii japońskiej spowodowała utratę władzy przez bolszewików na większości terytorium DWR. We Władywostoku utworzono rząd niekomunistyczny pod kierownictwem braci Merkułow. Jeden z nich, Spyrydon, został premierem, drugi – Nikołaj – ministrem spraw zagranicznych. Ministrem spraw wojskowych został adm. Georgij Stark, który przystąpił do odbudowy białej armii. W lutym 1922 r. armia ta, składająca się z byłych uczestników białego ruchu praktycznie z całej Rosji, przegrała decydującą bitwę z bolszewikami pod Wołoczajewką. Porażka doprowadziła do upadku rządów braci Merkułow i dojście do władzy gen. Michaiła Deteriksa, który odrzucił wszystkie postulaty demokratyczne i postawił na odrodzenie w Rosji monarchii. Oficjalnym sztandarem za Deteriksa uznano czarno-biało-żółty (imperialny), który do dziś wykorzystują rosyjscy monarchiści.

Wojna domowa na Dalekim Wschodzie skończyła się dopiero w lipcu 1923 r., kiedy Armia Czerwona rozgromiła oddział gen. Anatola Pepelajewa, najmłodszego generała armii rosyjskiej. Padł ostatni bastion białych – Jakutsk. Kilkutysięczny oddział 30-letniego gen. dywizji Pepelajewa mógł jeszcze się bronić. Proponowano generałowi wycofanie się do Pietropawłowska na Kamczatce, aby tam utworzyć nowy bastion białych, zdolny do odepchnięcia każdego ataku Armii Czerwonej. Odmówił. Zdecydował się poddać i nie walczyć z narodem rosyjskim. Urządzono mu za to pokazowy proces w Czycie, skazano na karę śmierci, zamienioną w trybie łaski na jedynie 10 lat łagru. Generał nawet zdążył odbyć ten wyrok i wyjść na wolność. Zginął dopiero w latach wielkiego terroru w 1938 r., kiedy NKWD bezlitośnie dobijało prawie wszystkich związanych z ruchem białych. Natomiast w dzisiejszej Rosji Putina, nawiązującej przede wszystkim do tradycji imperialnej Rosji, został zrehabilitowany.

## POLACY W DWR

Ciekawe, że Polacy również odegrali w historii DWR swoją rolę. Ministrem spraw zagranicznych DWR był urodzony na Wileńszczyźnie Polak, były członek PPS Ignacy Gintowt-Dziewałtowski, który po rewolucji październikowej 1917 r. związał się z bolszewikami. Ten kapitan armii rosyjskiej brał aktywny udział w rewolucji bolszewickiej w październiku 1917 r. Przywódca i główny organizator październikowego przewrotu Lew Trocki mianował go komendantem Pałacu Zimowego i zastępcą dowódcy garnizonu Piotrogrodu. W okresie wojny domowej walczył na wielu frontach. Dowodził dywizją, był zastępcą dowódcy armii. Jako ludowy komisarz (minister) spraw zagranicznych DWR został skierowany z misją dyplomatyczną do Chin, gdzie domagał się uznania dalekowschodniej republiki.

Do Polski powrócił w sposób nietypowy. We wrześniu 1925 r., będąc rezydentem wywiadu sowieckiego w krajach bałtyckich, zwrócił się do władz polskich o azyl. Osiedlił się początkowo w Wilnie, gdzie jego ojciec był pracownikiem urzędu miejskiego. Stanisław Cat-Mackiewicz przeprowadził z byłym sowieckim dygnitarzem wiele opublikowanych w „Słowie" wywiadów, w których Dziewałtowski opowiadał o swych relacjach z Kiereńskim, Leninem i Dzierżyńskim. W II Rzeczypospolitej Ignacy Gintowt-Dziewałtowski zrobił karierę w samorządach miejskich. Pracował w Lublinie i Warszawie. Zmarł w 1935 r.

## ROZPAD ROSJI?

Czy dziś na tle wojny na Ukrainie perspektywa rozpadu Rosji z każdym dniem staje się coraz bardziej realna? Kraj tej cierpi z powodu wielu wzajemnie wzmacniających się napięć, sprawiających, że to państwo jest o wiele bardziej kruche, niż wynikałoby to z informacji rozpowszechnianej przez oficjalną propagandę. Kryzys ogarnia zarówno wojsko, jak i całe społeczeństwo. Oparta na wydobyciu surowców gospodarka załamuje się, kraj zżera od środka powszechna korupcja, rozległe etniczne i regionalne konflikty podważają system autorytarny.

Kryzys ogarnia powoli regiony, które teoretycznie miały być oparciem reżimu, w tym Daleki Wschód. Od ponad dwóch lat w moskiewskim więzieniu przebywa były gubernator regionu Sergej Furgał, który dla wielu stał się symbolem dalekowschodniego separatyzmu. Po jego aresztowaniu, 9 lipca 2020 r., w Chabarowsku i innych miastach kraju ponad rok trwały masowe protesty, które udało się władzom moskiewskim zdławić jedynie w sposób siłowy. Setki uczestników aresztowano. Władzom nie udało się jednak zniszczyć poczucia lokalnego patriotyzmu wśród mieszkańców, które powoli, ale nieuchronnie przekształca się w poczucie miejscowego separatyzmu. Idea Dalekowschodniej Republiki okazuje się wciąż żywa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

# WSGO „Warta”

Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza „Warta” była jedną z najciekawszych organizacji antykomunistycznych. Dziś jest mocno zapomniana. Obejmowała Wielkopolskę i była kontynuacją Okręgu Poznańskiego AK. Na jej czele stał ppłk Andrzej Rzewuski „Hańcza”, ostatni komendant tego Okręgu, wybitny oficer i konspirator.

W rozkazie dziennym nr 2 z 6 lipca 1945 r. ppłk „Hańcza” podał cel jej istnienia:

„Uznanie jakiegoś tworu przez państwa obce za Rząd RP nie może stanowić o prawowitości jego w charakterze Rządu państwa suwerennego. [...] Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza „Warta” dopóty nie uzna Rządu Jedności Narodowej za prawowity Rząd RP, dopóki nie zostanie on uznany przez Prezydenta RP”.

Konspiracja wielkopolska 1939–1945 działała w bardzo trudnych warunkach. Olbrzymia część miejscowej inteligencji i lokalnych elit została wymordowana już na początku okupacji, prawie milion Polaków Niemcy wypędzili na teren Generalnego Gubernatorstwa. Siła powojennej konspiracji i prowadzenie wszechstronnej działalności przez „Wartę” były wynikiem samodzielności i nieuznawania kolejnych inicjatyw płk. Jana Rzepeckiego, byłego szefa BiP KG AK. Jego rola w rozbijaniu organizacji niepodległościowych nie została do dziś dokładnie zbadana, ale wiadomo, że za „zasługi” po niskim wyroku komunistycznego sądu w 1947 r. natychmiast został ułaskawiony przez Bieruta i wcielony do „ludowego” WP w stopniu pułkownika. Szkolił nowych podwładnych do walki ze… swymi wcześniejszymi podwładnymi ze struktur poakowskich.

W sierpniu 1945 r. płk Rzepecki nakazał ppłk. „Hańczy” natychmiastowe rozwiązanie „Warty”. On zaś rozkazu tego – z oczywistych względów – nie wykonał. Tuż po utworzeniu Zrzeszenia WiN płk Rzepecki zagroził mu sądem (!), jeśli natychmiast nie podporządkuje mu się wraz z podkomendnymi. Gdy wreszcie spełnił te żądania, został aresztowany przez UB. Podpułkownik „Hańcza” przeszedł wyjątkowo okrutne śledztwo, mimo to nie składał zeznań obciążających swych podkomendnych i tajemnic organizacyjnych nie ujawniał. W areszcie podejmował próby samobójstwa – obawiał się, że nie wytrzyma kolejnych tortur i drastycznego znęcania się. Dwie pierwsze próby były nieudane, wreszcie kolejna, podjęta 20 maja 1946 r., okazała się skuteczna.

Wielu jego żołnierzy pozostało w konspiracji, wstępując do innych organizacji lub prowadząc samodzielną działalność przez następne lata. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Premiera kabaretu Pod Egidą

W czerwcu 1967 r. władze uniemożliwiły dalszą działalność kabaretu Klubu Studenckiego Hybrydy, ale Jan Pietrzak postanowił jednak działać dalej. Namówił Jonasza Koftę i Adama Kreczmara do nieprzerywania działalności estradowej i zaproponował stworzenie nowego, zawodowego kabaretu. Miał już nawet jego wizję:

„Postanowiliśmy uprawiać dalej kabaretowy ogródek – wspominał. – Już było wokół nas trochę szumu, pokazano nas w telewizji, mieliśmy za sobą kilka piosenek w Opolu, nie tak łatwo było nas unieważnić. No i znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy nam pomogli”.

Nowy zespół rozpoczął działalność „pod egidą” Programu III Polskiego Radia i stołecznej Estrady. Obie instytucje uchodziły za dość liberalne jak na epokę późnego Gomułki, a ich zarządcy za ludzi pozytywnie nastawionych do kultury studenckiej. Problemem był jednak lokal, a skoro w Warszawie początkowo nic nie udało się załatwić, to zespół występował na prowincji. Tam też potwierdziło się, że ewolucja programu w stronę odbiorcy mniej przygotowanego na subtelne aluzje czy liryczne treści przynosiła efekty.

Wprawdzie Program III i Estrada szybko wycofały się z patronatu nad zespołem, ale ekipa przetrwała. Oficjalnie nazywała się Kabaretem Autorów Pod Egidą, a niebawem udało się znaleźć lokal, gdzie można było prowadzić działalność estradową. Był to pałacyk przy Rutkowskiego (Chmielnej) 5 pozostający w zarządzie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Egidzie zaoferowano niewielką salę, w której mogło się pomieścić ok. 90 osób. Inna sprawa, że frekwencja była z reguły o jedną trzecią większa.

Tym razem Pietrzak nie chciał się opierać wyłącznie na zdolnych amatorach, tylko dokooptował do składu młodych aktorów. Jako pierwsi pojawili się: Anna Prucnal, Wojciech Siemion i Wojciech Brzozowicz, którzy nadali występom zespołu więcej profesjonalizmu. W składzie Egidy zabrakło natomiast Stefana Friedmanna, który już w czasach Hybryd niespecjalnie dogadywał się z Pietrzakiem.

Premiera pierwszego programu miała miejsce 10 lutego 1968 r., a kolejne nie miały nazw ani ściśle przestrzeganych scenariuszy. Konstrukcja spektakli była luźna, co dawało możliwość reakcji na bieżące wydarzenia. Zresztą liderzy kabaretu bacznie obserwowali zachowanie publiczności i bez skrupułów usuwali piosenki lub skecze, które nie wzbudziły aplauzu widzów. Dzięki temu Egida zawsze mogła liczyć na dużą frekwencję, a że nie podobało się to władzom, to już zupełnie inna sprawa… ©℗



eprasa.pl d51214625f

Generał Walerij Gierasimow nieoczekiwanie zastąpił w styczniu gen. Surowikina na miejscu głównodowodzącego FOT. SERGEY FADEICHEV/SPUTNIK/AFP/EAST NEWS

# Starcie generałów

*Maciej Pieczyński*

**Rosjanie już kilkukrotnie mianowali nowego głównodowodzącego „specjalną operacją wojskową". Byli to kolejno „Rzeźnik z Syrii", „Generał Armagedon" oraz ideolog wojny hybrydowej. Siłami Zbrojnymi Ukrainy od początku inwazji dowodzi ten sam gen. Załużny. Kim są najważniejsi dowódcy tej wojny?**

Rozpoczynając inwazję 24 lutego 2022 r., Władimir Putin liczył na błyskawiczny podbój Ukrainy. Między innymi dlatego, wbrew podręcznikowym zasadom prowadzenia wojny, do ataku posłał oddziały liczące trzykrotnie mniej żołnierzy niż siły zbrojne obrońców. Być może również z tego powodu początkowo nie wyznaczył jednego głównodowodzącego operacją. Według zachodnich wywiadów w pierwszych tygodniach wojny trzy zgrupowania wojsk, nacierające z północy, ze wschodu i z południa, działały oddzielnie, bez ścisłej koordynacji. Dopiero w kwietniu na czele oddziałów uczestniczących w inwazji stanął gen. Aleksandr Dwornikow. Rocznik 1961. Weteran drugiej wojny czeczeńskiej. Brał udział m.in. w szturmie na Grozny. Między wrześniem 2015 a lipcem 2016 r. dowodził wojskami rosyjskimi w Syrii. Zasłynął szczególną brutalnością nie tylko wobec bojowników ISIS. Bombardował obiekty cywilne, w tym szpitale. Nazywany „Rzeźnikiem z Syrii" dowodzenie nad specoperacją objął po klęsce Rosjan pod Kijowem. Miał usprawnić koordynację sił walczących na Ukrainie. Z zadania nie wywiązał się zbyt dobrze. Rosjanie posuwali się naprzód bardzo powoli, jeśli w ogóle. Ostatecznie na początku czerwca Dwornikow najprawdopodobniej pożegnał się ze stanowiskiem. Najprawdopodobniej, bo Kreml nie opublikował żadnej oficjalnej informacji na temat tej dymisji.

## „GENERAŁ ARMAGEDON"

Według doniesień mediów jego następcą był gen. Giennadij Żydko, uczestnik wojny w Syrii, naczelnik Głównego Zarządu Politycznego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Miał być dowódcą tymczasowym. Jednak pod jego komendą Rosjanie zdobyli Siewierodonieck i Łysyczańsk, pozostał więc na stanowisku. Pod koniec lata szala zwycięstwa mocno przechyliła się na stronę Kijowa. We wrześniu Ukraińcy odbili niemal cały obwód charkowski. Po tej największej jak do tamtej pory klęsce stanowisko głównodowodzącego specoperacją objął gen. Siergiej Surowikin. Tym razem ministerstwo oficjalnie poinformowało o tej nominacji. Surowikin przed inwazją był głównodowodzącym Sił Powietrzno-Kosmicznych. Po 24 lutego kierował południowym zgrupowaniem wojsk na Ukrainie. Rocznik 1966. Weteran wojny w Afganistanie i drugiej wojny czeczeńskiej. W sierpniu 1991 r. uczestniczył w nieudanym puczu Janajewa – podjętej przez komunistyczny beton próbie uratowania ZSRS przed rozpadem. Surowikin, wówczas kapitan, dowódca batalionu, tłumił demonstracje przeciwników puczu, a zarazem zwolenników Jelcyna. Żołnierze Surowikina otworzyli ogień do protestujących. Dwóch demonstrantów zastrzelili, trzeci zginął pod gąsienicami czołgu. Po klęsce puczu kpt. Surowikin trafił do aresztu śledczego. Ostatecznie, decyzją samego Jelcyna, wyszedł na wolność i wrócił do służby.

W 1995 r. sąd wojskowy skazał go na rok więzienia w zawieszeniu za nielegalny handel bronią. Złożył jednak apelację i został uniewinniony. Kiedy indziej jeden z podkomendnych oskarżył go o pobicie na tle różnic politycznych. Do najpoważniejszego incydentu doszło w marcu 2004 r. Surowikin był wówczas dowódcą dywizji. W jego gabinecie, na jego oczach, jego zastępca popełnił samobójstwo. Zastrzelił się po kłótni z Surowikinem. Prawdopodobną przyczyną awantury była krytyka dowódcy pod adresem zastępcy.

W sierpniu 2017 r. Surowikin przejął dowodzenie wojskami rosyjskimi w Syrii. Podobnie jak Dwornikow nadzorował naloty bombowe na Aleppo, w tym na szpitale, używał broni chemicznej, atakował gęsto zaludnione miejscowości, nie licząc się z ofiarami wśród ludności cywilnej. Tę brutalną, prymitywną,



eprasa.pl d51214625f

ale w dużej mierze skuteczną taktykę przeniósł na grunt „specjalnej operacji wojskowej". To właśnie pod komendą Surowikina Rosjanie zaczęli zmasowane ataki artyleryjskie i rakietowe na terenie całej Ukrainy. Jednocześnie podjął decyzję o wycofaniu się z Chersonia. Rosjanie oddali Ukraińcom jedyne zdobyte po 24 lutego miasto obwodowe, ale uniknęli ciężkich strat, które ponieśli podczas wrześniowego odwrotu z Charkowszczyzny. Surowikin nie zdobywał terenu, ale za to skutecznie niszczył infrastrukturę energetyczną, pozbawiając Ukraińców prądu, wody i ogrzewania. Niemal udało mu się rzucić Kijów na kolana. Radykalni nacjonaliści, zwolennicy eskalacji tacy jak Kadyrow czy Prigożyn, którzy wcześniej otwarcie krytykowali nieudolność poszczególnych dowódców, Surowikinem byli zachwyceni. Przylgnął do niego przydomek Generał Armagedon.

Jednak 11 stycznia nieoczekiwanie został zwolniony. Jego miejsce zajął dotychczasowy szef sztabu generalnego gen. Walerij Gierasimow, a Surowikin został jego zastępcą. Oficjalnie zmianę uzasadniono koniecznością podniesienia poziomu dowodzenia operacją specjalną. Najprawdopodobniej zarówno nominacja, jak i zwolnienie Surowikina miały charakter polityczny. Siejący zniszczenie w ukraińskiej infrastrukturze „Generał Armagedon" był potrzebny, aby zadowolić coraz bardziej niezadowolonych brakiem postępów na froncie Prigożyna i Kadyrowa. Ich pozycję nadmierne sukcesy Surowikina mogły jednak niebezpiecznie wzmocnić, osłabiając jednocześnie pozycję Gierasimowa, którego obaj radykałowie często krytykowali, uderzając w autorytet całej armii.

## DOWÓDCY JAK RĘKAWICZKI

Gierasimow (rocznik 1955) służbę wojskową zaczynał w czasach ZSRS, na terenie Polski. Jako dowódca jednej z armii brał udział w drugiej wojnie czeczeńskiej. Od 2012 r. szef sztabu generalnego. Uchodzi za głównego ideologa wojny hybrydowej. W 2013 r. przedstawił doktrynę, która stała się podstawą działań Rosji podczas pierwszej fazy konfliktu z Ukrainą. „Reguły wojny uległy zmianie. Wzrosła rola niewojskowych sposobów osiągania celów politycznych i strategicznych" – przekonywał wówczas. Cybertaki, dezinformacja, propaganda, naciski ekonomiczne i dyplomatyczne, „zielone ludziki", próba doprowadzenia do zmiany władzy we wrogim kraju, podsycanie konfliktów wewnętrznych poprzez umiejętne wspieranie obu stron sporu, wywoływanie chaosu, zatarcie granic między wojną a pokojem, prowadzenie konfliktu za pośrednictwem separatystów – te wszystkie środki zastosowano podczas hybrydowej agresji na Ukrainę. Częściowo użyto ich również wobec krajów zachodnich. Doktryna Gierasimowa miała być odpowiedzią na tzw. kolorowe rewolucje. Okazało się jednak, że osiem lat prowadzenia działań hybrydowych nie przyniosło oczekiwanego skutku.

Generał Wałerij Załużny dowodzi ukraińską armią od początku rosyjskiej inwazji FOT. YULIIA OVSIANNIKOVA/EAST NEWS

Nie udało się na tyle zniszczyć Ukrainy od środka, by jej mieszkańcy powitali agresorów z kwiatami. Paradoksalnie nieefektywność doktryny Gierasimowa ujawniła się, gdy Putin postanowił od niej odejść i uderzyć z otwartą przyłbicą. Wówczas okazało się, że działania hybrydowe były nieskuteczne. Ukraina nie była na tyle wyniszczona od środka „niewojskowymi metodami", aby jej obywatele powitali agresora z kwiatami.

## OFICER NOWEGO POKOLENIA

Podczas gdy Putin zmienia dowódców „specoperacji" jak rękawiczki, Zełenski konsekwentnie trzyma na stanowisku głównodowodzącego gen. Wałerija Załużnego. Z jednej strony, fakt ten pokazuje, która strona konfliktu raczej wygrywa, a która niekoniecznie. Z drugiej strony, w odróżnieniu od Putina Zełenski nie steruje ręcznie armią i zostawia wojnę generałom. Nie obawia się popularności Załużnego, który też na razie nie zdradza ambicji politycznych. Nie jest tak barwną postacią jak jego rosyjscy odpowiednicy. Jest też zdecydowanie od nich młodszy (rocznik 1973). Ukończył z wyróżnieniem szkołę oficerską w Odessie. Pracę dyplomową pisał o różnicach między armią sowiecką i amerykańską. Eksperci podkreślają, że pod względem preferowanych standardów bliżej mu do tej drugiej armii.

Jest oficerem nowego pokolenia, wykształconym już po upadku ZSRS, doświadczonym podczas wojny w Donbasie (dowodził brygadą pod Debalcewem, gdzie zimą 2015 r. Ukraińcy ponieśli ciężkie straty). Nie występuje na pierwszej linii medialnego frontu jak Zełenski, za to jest po nim drugi w rankingach popularności. Odparcie Rosjan spod Kijowa, wyzwolenie Charkowszczyzny czy odzyskanie Chersonia – te wszystkie sukcesy Sił Zbrojnych Ukrainy zbudowały jego wizerunek jako zwycięskiego wodza. Niedawno otrzymał w spadku 1 mld dol. od Amerykanina o ukraińskich korzeniach. Całą sumę przekazał na potrzeby armii, czym dodatkowo zapunktował w oczach opinii publicznej.

Na tematy polityczne czy ideologiczne rzadko się wypowiada. Nie uniknął jednak poważnych kontrowersji. 1 stycznia profil Rady Najwyższej w mediach społecznościowych opublikował zdjęcie uśmiechniętego Załużnego z portretem Stepana Bandery. Prawdopodobnie wskutek protestów polskiego rządu wpis został usunięty, ku niezadowoleniu jednych i uldze innych ukraińskich polityków. „Według mnie to był strategiczny błąd ze strony doradców Załużnego. Po pierwsze, Załużny jest o wiele większą postacią niż Bandera, bo jego decyzje doprowadziły do likwidacji większej liczby wrogów i obroniły Ukrainę. Po drugie, inaczej niż w przypadku Bandery na Załużnego nie ma żadnego kompromatu – nie współpracował z Wehrmachtem ani nie zabił ministra [chodzi o zabójstwo Pierackiego – przyp. red.]" – komentował bloger Wiktor Ukołow, związany z partią Europejska Solidarność. Oby również Załużny zrozumiał swój błąd.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Świadectwo i oskarżenie

FOT. ALBERTO PIZZOLI/AFP/GETTY IMAGES

*Tomasz Rowiński*

**Dzienniki więzienne kard. Pella stanowią piękne świadectwo chrześcijańskiej umiejętności znoszenia najtrudniejszych doświadczeń. W ostatnim tomie zapisków kardynał wraca do źródeł wiary, które stają się dla niego, w głębszy niż dotychczas sposób, podporą w trudnej godzinie**

Dzienniki więzienne kard. George'a Pella – ich ostatni tom ukazał się właśnie w Polsce – to ważna lektura, która powinna pozostać z nami na dłużej. Po pierwsze dlatego, że są one świadectwem rażącej niesprawiedliwości, która spotkała ważnego katolickiego duchownego ze strony organów śledczych oraz wymiaru sprawiedliwości demokratycznego i liberalnego państwa. A po drugie, ponieważ stawiają one pewne pytania samemu Kościołowi katolickiemu. Co do oceny strony literackiej tego dzieła zdania zapewne będą podzielone. Pisanie dziennika jest czymś zupełnie innym niż przygotowywanie przetworzonych już przez refleksję wspomnień. Mimo to uważam, że kardynał, przechodząc swoją więzienną „ciemną doliną", poradził sobie z tak specyficznym pisarskim zadaniem dobrze.

Dlatego też mogę już na wstępie napisać, że każdemu warto zmierzyć się z tymi codziennymi notatkami, w których mieszają się zapiski o charakterze duchowym z opisami codziennych wrażeń i trosk więźnia izolatki znajdującej się na oddziale dla szczególnie groźnych przestępców. To oczywiście nie cała materia książki, wiele z niej można się dowiedzieć o korespondencji, która w wielkiej ilości spływała do siedzącego w celi kardynała, wiele także o losach znajomych i przyjaciół Pella. Wreszcie, czasem oszczędnie w formie, kardynał pisze o własnym procesie, kontaktach z prawnikami i – last but not least – o sprawach Kościoła i problemach toczących Stolicę Apostolską.

## POLOWANIE NA KARDYNAŁA

Kardynał podejmuje pisanie dziennika w krytycznym dla siebie momencie, 27 lutego 2019 r., gdy trafia do aresztu tymczasowego. Potem kontynuuje swoją pracę każdego dnia, także wtedy, gdy już zostanie przeniesiony do więzienia. Konsekwentnie tworzy swoje wpisy przez ponad 400 dni odizolowania. Jest to już ostatnia, a zarazem najbardziej dramatyczna część sądowej, a także medialnej epopei, w którą został wplątany. Te 13 miesięcy to okres starań, by wywikłać się z absurdalnej – kafkowskiej wręcz – sytuacji, w jakiej się znalazł. Każdy, kto bliżej przyglądał się sprawie, a tym bardziej sam kardynał, musiał być zorientowany, że proces, opisywany w tysiącach tekstów publikowanych w mediach całego świata, zaczął w pewnym momencie przypominać nie rzetelne dochodzenie do prawdy, ale coś w rodzaju polowania, w którym z każdą chwilą zwierzyna powinna mieć coraz mniej nadziei na uratowanie.

Dobrym przykładem na pojawienie się w sprawie Pella mechanizmu prześladowczego było wznowienie 7 listopada 2018 r. procesu przeciwko kardynałowi, mimo że 20 września tego samego roku ława przysięgłych nie była w stanie wydać jednomyślnego wyroku, co powinno ją zakończyć. Wznowienie procesu byłoby uzasadnione w sytuacji pojawienia się nowych dowodów, tymczasem nic takiego nie miało miejsca, wymieniono jedynie skład ławy przysięgłych. W dodatku ograniczono jej dostęp do zeznań głównego i jedynego świadka oskarżenia, posługując się jedynie wybranymi przez prokuraturę ich fragmentami. Nie odbyło się także przesłuchanie oskarżyciela wobec nowych ławników. Ostatecznie 11 grudnia 2018 r. uznali oni kard. Pella za winnego stawianego mu zarzutu gwałtu oralnego na ministrantach w zakrystii katedry w Melbourne w roku 1996. 13 marca 2019 r. duchowny został skazany na sześć lat więzienia. Gdyby nie skuteczna interwencja Sądu Najwyższego w jego sprawie, oznaczałoby to faktyczne dożywocie, ponieważ Pell zmarł nagle 10 stycznia br.

„Nikt zorientowany w australijskim życiu publicznym ostatnich kilku dekad nie zaprzeczy, że kard. Pell był swoistym piorunochronem dla najrozmaitszych zagadnień wojny kulturowej, zwłaszcza tych dotyczących rewolucji seksualnej i zmian klimatycznych. Ale czy wolno państwowej instytucji prześladować osobę publiczną z powodu niezgodności jej poglądów z [...] przesądami australijskich mediów?" – pyta George Weigel w posłowiu do ostatniego tomu dzienników, dając jednocześnie czytelnikom krótką syntezę społeczno-politycznej sytuacji kardynała. Trudno jest uciec od wrażenia, że wrogom Kościoła i kardynała nie chodziło o żadną prawdę, ale o znalezienie zastępczej ofiary, kogoś, kto poniósłby odpowiedzialność za prawdziwe, a także wyimaginowane winy Kościoła wobec świata. Nieprzypadkowo, jeśli chodzi o sam mechanizm, sprawa



eprasa.pl d51214625f

kard. Pella przypomina słynny skandal, który w XIX-wiecznej Francji rozegrał się wokół kpt. Dreyfusa. Wina czy też – jak się okazało – niewinność tego oficera oskarżonego o zdradę stała się sprawą drugorzędną wobec rozgorzałego na jej tle politycznego sporu.

Do pogorszenia sytuacji kardynała przyczynił się zresztą sprzyjający mu sędzia Peter Kidd. Chcąc wyciszyć atmosferę wrogości wobec oskarżonego, wydał dziennikarzom zakaz informowania o wyroku do czasu, aż on sam go ogłosi opinii publicznej. Według George'a Weigela, który na bieżąco komentował kolejne fazy procesu, „zakaz upubliczniania informacji przez media w obu procesach, choć prawdopodobnie miał na celu osłabienie otaczającej sprawę atmosfery cyrkowej, w istocie uwolnił prokuraturę od konieczności publicznego bronienia swoich dziwnych i skandalicznych zarzutów".

## ZNALEŹĆ CEL W MROKU

Wróćmy jednak do samych dzienników. Trzeci ich tom obejmuje zapiski powstające od 1 grudnia 2019 r. aż do 8 kwietnia roku następnego. Data zakończenia pracy nad dziennikiem jest zrozumiała. 7 kwietnia 2020 r. Sąd Najwyższy Australii całkowicie jednoznacznie – wszyscy sędziowie opowiedzieli się za uniewinnieniem kardynała – uchylił wyrok skazujący wydany przez sądy niższych instancji. Podważona została w ten sposób wiarygodność nie tylko drugiej ławy przysięgłych i prokuratury prącej do skazania duchownego, lecz także sędziów Sądu Apelacyjnego stanu Wiktoria, którzy podtrzymali wyrok skazujący w stosunku dwa do jednego. Głos odrębny, wyrażony w obszernym uzasadnieniu przez sędziwego Marka Weinberga, szczegółowo referujący brak wiarygodności narracji oskarżenia, prawdopodobnie miał decydujące znaczenie dla ostatecznego orzeczenia Sądu Najwyższego.

Ostatni tom zapisków obejmuje zatem cały dramatyczny dla kard. Pella okres starań o sprawiedliwość po tym, jak w sierpniu roku 2019 pierwsza apelacja okazała się – ku zaskoczeniu wielu – nieskuteczna. Wniesienie sprawy do Sądu Najwyższego było naprawdę ostatnią deską ratunku. Jednak autor dzienników – podobnie jak miało to miejsce w poprzednich tomach – zachowuje spokój wobec własnej opłakanej sytuacji. Nie skupia się na rozpaczliwych okolicznościach, w jakich się znalazł, ale podąża drogą wewnętrznej wolności. Trzeci tom dziennika zaczyna zaskakująca refleksja liturgiczna związana z datą dzienną, oznaczającą pierwszą niedzielę Adwentu. Można powiedzieć, że Pell w ten sposób wprowadza czytelnika – z nadzieją – w mrok więziennej izolatki, a także mrok własnej niepewnej przyszłości, zależnej od woli nie zawsze przychylnych mu ludzi.

„Rok liturgiczny to wspaniały wynalazek, który Kościół katolicki przejął od Żydów i dostosował do nauczania chrześcijańskiego. Podobnie jak inni Australijczycy dorastałem w panującej powszechnie atmosferze świeckiego świętowania Bożego Narodzenia i Wielkanocy, jednak zawsze uczestniczyłem w ich religijnym obchodzeniu. Roczny cykl liturgiczny przyjąłem niejako jako rzecz oczywistą, ale z wiekiem coraz bardziej go rozumiałem i lubiłem. [...] Bardziej ów niezmienny cykl doceniam, jako że ujmuje on moje spokojne życie w więzieniu w regularne ramy i nadaje mu cel" – zanotował kardynał.

Co warte uwagi, także ostatnie akapity dziennika poświęcone zostały wydarzeniom roku liturgicznego. „Za kilka dni, w Wielką Sobotę wieczorem, podczas Wigilii Paschalnej znów pobłogosławiony zostanie paschał i poświęcony Bogu-Człowiekowi, którego kocham i któremu służę, za którym szedłem przez całe życie, tak samo jak od niemal dwóch tysięcy lat czynią to święci i grzesznicy – ci, co są zarzewiem, i ci, co pozostają letni. »Chrystus wczoraj i dziś, początek i koniec, Alfa i Omega. Do niego należy czas i wieczność«". To rys dziennika, którego nie da się pominąć. W ostatnim tomie swoich zapisków kardynał wraca do źródeł wiary, które stają się dla niego, w głębszy niż dotychczas sposób, podporą w godzinie trudnych doświadczeń.

## WAŻNE PYTANIA

Choć dzienniki więzienne kard. Pella stanowią piękne świadectwo chrześcijańskiej umiejętności znoszenia najtrudniejszych doświadczeń, to jednocześnie zmuszają do stawiania pytań. Na przykład o to dlaczego, pomimo oczywistych nieprawidłowości, w Australii nie miało miejsca żadne badanie wyjaśniające skandaliczny przebieg procesu kard. Pella. Dlaczego nie podjęto wyjaśnień w sprawie „Operacji Spętanie", która miała na celu „łowienie skarg na osobę publiczną"? Dlaczego prokuratura z takim uporem forsowała sprawę całkowicie pozbawioną wiarygodności i po wielokroć sfalsyfikowaną, nie tylko przez obrońców Pella, lecz także przez niezależnych analityków i publicystów? Dlaczego sędziowie Sądu Apelacyjnego, Ann Ferguson i Chris Maxwell, uniknęli jakiejkolwiek odpowiedzialności za podtrzymanie wyroku przeciw Pellowi, wyroku, na którym Sąd Najwyższy – pod każdym względem – nie zostawił suchej nitki?

Jakie pytania powinien postawić sobie po sprawie Pella Kościół katolicki? Choćby takie: Kto ponosi odpowiedzialność za sytuację, w której duchowny będący pionierem tworzenia instytucjonalnych mechanizmów przeciwko przestępczości seksualnej wśród duchowieństwa staje się kozłem ofiarnym kościelnej nieudolności w tym zakresie? Trzeba też zapytać, czy postawa Stolicy Apostolskiej, która podczas trwania procesu zapewniała o zaufaniu do australijskiego wymiaru sprawiedliwości, była właściwa. Co więcej, czy właściwe było milczenie papieża w sytuacji, gdy coraz jaśniej okazywało się, że proces kardynała przebiega w coraz większym oderwaniu od faktów i zasady sprawiedliwości. I wreszcie: Czy dowiemy się w końcu czegoś pewnego na temat ewentualnych związków pomiędzy pracą kard. Pella na rzecz uzdrowienia watykańskich finansów, interesami niektórych rzymskich prałatów, operacją, którą przeciwko niemu podjęły australijskie organy ścigania, a tajemniczymi przelewami, które z Watykanu wędrowały na antypody?

Trzeba zatem dzienniki Pella czytać nie tylko jako świadectwo, lecz także jako oskarżenie, które niewinny człowiek rzuca moralnie skorumpowanym instytucjom – państwu i Kościołowi. Siła ducha i chrześcijańskie zaufanie Bogu, jakie wykazał w ostatnich latach swojego życia kardynał, czynią to oskarżenie tylko silniejszym i bardziej wiarygodnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

**KARD. GEORGE PELL, TŁUM. MONIKA WOLAK „DZIENNIK WIĘZIENNY – UWOLNIENIE NIEWINNEGO" DOM WYDAWNICZY RAFAEL 2023**



eprasa.pl d51214625f

FOT. HORACIO VILLALOBOS/CORBIS/GETTY IMAGES

## PIŁKARZ SKAZANY, AKTYWIŚCI LGBT BOGATSI

W 2019 r. podczas meczu Manchester United z Paris Saint-Germain piłkarz Patrice Evra krzyczał, że paryski klub jest mniej macho. Wołał też: „Paris, jesteście queer!". Nagranie opublikował potem w sieci. Dwie organizacje – Mousse i Stop Homofobia – złożyły na niego skargę. Opłaciło im się. Sąd skazał Evrę na grzywnę w wysokości 1 tys. funtów oraz nakazał zapłacenie 2 tys. euro dla obu grup, które oskarżyły go o transfobiczną mowę.

## ROSJANKI STRACIŁY MĘŻÓW, ALE DOSTAŁY FUTRA

Dwadzieścia jeden kobiet spod Ługańska i Doniecka niespodziewanie dostało rekompensatę za mężów, którzy polegli podczas agresji na Ukrainę. W sieci opublikowano nagranie z uroczystego przekazania im... futer. Panie wyglądały na zadowolone. Okazało się jednak, że tuż po uroczystości szuby odebrano. Organizatorzy tłumaczyli, że prezenty były „złej jakości". Podobno trzy wdowy zdołały się wymknąć bez oddania futer.

## PORNOPOSEŁ ZREZYGNOWAŁ

Serbski poseł Zvonimir Stević złożył rezygnację w Zgromadzeniu Narodowym Republiki. Na sali parlamentu, gdy prezydent jego kraju przekonywał m.in. do normalizacji stosunków z Kosowem, Stević zajęty był innymi stosunkami – oglądał sobie kilka filmów pornograficznych po kolei. Zostało to zarejestrowane przez kamery.

## CHCIAŁ UKRAŚĆ MUMIĘ LENINA

Samo przechowywanie zmumifikowanego zbrodniarza przez Rosjan jest już wystarczająco kuriozalne. Jednak i z tym bywa jeszcze ciekawiej. Otóż niedawno do mauzoleum Lenina w Moskwie próbował włamać się pijany 42-latek. Milicjantom, którzy go zatrzymali, wyznał, że chciał ukraść ciało przywódcy rewolucji październikowej. Niestety, agencje nie przekazały najciekawszego – co chciał z tym ciałem zrobić.

## ODCIĘŁA ICH LAWINA, TERAZ DOSTANĄ MANDATY

W Górach Fogaraskich zeszła lawina. Uszkodziła samochody turystów i odcięła ich od świata w jednym z pensjonatów. Pięćdziesiąt osiem osób ewakuowano podczas długiej akcji ratowników i wojska. Teraz dostaną mandaty. Bo część drogi, która prowadziła do pensjonatu, jest zimą zamknięta i nie wolno było im tam w ogóle pojechać. ©℗

***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Złoto dla zuchwałych

Niepewne czasy i wysoka inflacja w teorii sprzyjają gorączkom złota. Chociaż potwierdzenia tej prawdy nie widać na razie w cenach kruszcu (w 2022 r., mimo wybuchu wojny w Europie, złoto podrożało jedynie symbolicznie, rozczarowując wielu żądnych szybkiego zarobku), ale według najnowszych danych przedstawiciele banków centralnych wybrali się w ubiegłym roku na największe zakupy od ponad pół wieku. W całym 2022 r. do skarbców na całym świecie trafiły nowe sztabki o łącznej wadze 1136 ton. To o 152 proc. więcej niż rok wcześniej. I najwięcej od 1967 r. Oczywiście zakupów dokonywali również inwestorzy prywatni. W sumie według Światowej Rady Złota (WGC) w 2022 r. popyt na złoto wzrósł o 18 proc.

Według oficjalnych danych już jedna piąta całego wydobytego złota na świecie jest własnością rządów lub banków centralnych. Najwięcej cennego kruszcu zgromadziły Stany Zjednoczone, Niemcy i Włochy. W ubiegłym roku złote sztabki bardzo chętnie kupowały również Chiny, Indie oraz kraje arabskie. Wiadomo, że wcześniej złoto na dużą skalę kupowała Rosja, ale po agresji na Ukrainę Kreml przestał ujawniać dane o zakupach sztabek. Na złoto postawili również bankierzy tureccy – Turcja w ubiegłym roku zwiększyła rezerwy złota aż o 148 ton – do 542 ton. Nieźle w globalnym rankingu wygląda Polska. Nasz kraj ma w skarbcach niemal 229 ton kruszcu, co daje nam 22. miejsce na świecie.

Co przyniesie rok 2023? Sekretarz generalny ONZ, António Guterres, ogłosił w zeszłym tygodniu, że świat „z szeroko otwartymi oczami" zmierza w kierunku „wojny na szerszą skalę". To może oznaczać większy popyt na broń i... złoto. ©℗



eprasa.pl d51214625f

# TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI SENNHEISER MOMENTUM 4 WIRELESS

Bardzo dobry, czysty dźwięk, długo działająca bateria, skuteczny system aktywnego tłumienia hałasu – to największe zalety nowego modelu wokółusznych, zamkniętych słuchawek niemieckiej firmy Sennheiser.

W nowym modelu Sennheiser postawił całkowicie na minimalizm. Smukłe nauszniki zostały wykonane z dobrej jakości plastiku i są dostępne w dwóch kolorach: białym oraz czarnym (w obu przypadkach z matowym wykończeniem). Słuchawki są dość lekkie (ważą ok. 290 g) i komfortowe, choć przy wielogodzinnym użytkowaniu uszy nieco się w nich grzeją. Bezprzewodowe parowanie z urządzeniami jest szybkie i proste, połączenie Bluetooth stabilne, a sterowanie z wykorzystaniem gestów bardzo intuicyjne.

Jakość dźwięku jak na słuchawki niededykowane specjalnie dla audiofilów jest bardzo dobra. Słuchawki oferują czyste, dynamiczne, naturalne i przestronne brzmienie. Scena muzyczna okazuje się szeroka z dużą ilością detali, z mocnym basem oraz dobrze słyszalnymi średnimi i wysokimi tonami. Model obsługuje wszystkie najważniejsze kodeki: SBC, AAC, aptX, aptX HD oraz aptX Adaptive, a brzmienie do własnego gustu można łatwo dostosować w prostym korektorze graficznym dźwięku w aplikacji.

Słuchawki dobrze sprawdzają się również przy rozmowach telefonicznych, a także oglądaniu filmów i seriali.

W testowanym modelu nieźle sprawdza się również aktywna redukcja szumów (ANC). Nie jest to może najlepsze ANC w słuchawkach opisywanych w tej rubryce, ale na czwórkę w sześciostopniowej skali zasługuje. ANC można włączać i wyłączać ręcznie, ale Sennheiser umożliwia również automatyczną zmianę poziomów ANC w zależności od lokalizacji (jeśli mu się na to pozwoli). Na przykład jeśli słuchamy muzyki w domu, to ANC może być wyłączone, ale jeśli wychodzimy na miasto, to poziom ANC zmienia się na maksymalny, aby można się było nieco zrelaksować podczas podróży w autobusie czy tramwaju.

Wbudowany akumulator o pojemności 700 mAh pozwala bezprzewodowo słuchać muzyki bez przerwy nawet przez 60 godzin (w naszym teście maksymalnie przez 57 godzin). W razie potrzeby testowany model można bardzo szybko podładować (od zera do 100 proc. w dwie godziny). Podłączenie słuchawek do komputera lub zestawu stereo za pomocą przewodu nie wymaga zaś w ogóle baterii.

Miłym dodatkiem jest solidne i eleganckie etui, w którym można bezpiecznie przenosić słuchawki, a także przechowywać przewody, przejściówki etc.

Wady? Nie wszystkim musi się spodobać nowe, minimalistyczne wzornictwo. Model Momentum 3 miał bardziej klasyczny wygląd i – przynajmniej moim zdaniem – bardziej przypominał model premium. Ale o gustach się nie dyskutuje. Korektor graficzny dźwięku mógłby być bardziej rozbudowany. Mimo tych minusów słuchawki Momentum 4 Wireless są godne polecenia, zwłaszcza że ich cena nieco już spadła od premiery i zamiast ok. 1,5 tys. zł kosztują obecnie 1199 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

## ULTRALEKKA MYSZKA ZA WIELKIE PIENIĄDZE

Viper Mini Signature Edition. Tak nazywa się najnowszy model myszy komputerowej dla graczy, który na rynek wypuściła firma Razer. Specjalna edycja „Małej Żmii" waży zaledwie 49 g i jest najlżejszym gryzoniem w ofercie firmy. Mysz wykorzystuje egzoszkielet wykonany ze stopu magnezu. Producent zapewnia, że mimo niewielkiej wagi nowy model jest wyjątkowo wytrzymały. Viper Mini Signature Edition jest wyposażona w sensor optyczny Razer Focus Pro 30K, częstotliwość odświeżania wynosi aż 4000 Hz, a żywotność przełączników szacowana jest na 90 mln kliknięć. Gadżet można już zamawiać, oficjalna premiera odbyła się 11 lutego. Nowość od Razera potrafi jednak wydrenować portfel: superlekki gryzoń kosztuje bowiem 319,99 euro, czyli równowartość 1520 zł.

## CROSSOVER PRZYSZŁOŚCI?

Audi Activesphere EV to koncepcyjny luksusowy czterodrzwiowy crossover, który nie tylko z zewnątrz wygląda niczym auto z przyszłości. Na pierwszy rzut oka wygląda tak, jakby wewnątrz nie miał żadnych zegarów, wskaźników lub ekranów. Auto prowadzić się ma bowiem za pomocą inteligentnych okularów do tzw. rozszerzonej rzeczywistości (AR). Po ich założeniu kierowca dostrzega lewitujące przed nim wirtualne przyciski oraz hologramy ukazujące np. mapę z wyznaczoną trasą. Auto koncepcyjne ma zmienny prześwit (od 16,8 do 24,8 cm), aby można nim było zjechać z asfaltu i poszaleć po bezdrożach. Zasięg elektrycznego auta o długości 4,98 m i szerokości 2,07 m wynosi według producenta ok. 600 km. Silniki o mocy 442 KM mogą wygenerować nawet 720 Nm momentu obrotowego. Akumulator o pojemności 100 kWh można naładować od 5 do 80 proc. w zaledwie 25 minut. Auta koncepcyjne nie są przeznaczone do masowej produkcji, ale zaprezentowane w nich rozwiązania mogą zostać wprowadzone do samochodów przeznaczonych do seryjnej sprzedaży. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl d51214625f

Jacek Przybylski

# Rewolucja botów

**ChatGPT błyskawicznie przekroczył barierę 100 mln użytkowników miesięcznie. Tym samym serwis umożliwiający użytkownikom z całego świata wydawanie poleceń sztucznej inteligencji stał się najszybciej rozwijającą aplikacją konsumencką ostatnich dwóch dekad. A to tylko jeden z serwisów. AI potrafi samodzielnie tłumaczyć teksty, pisać scenariusze, tworzyć obrazy oraz wiersze, a także udzielać porad lekarzom i prawnikom**

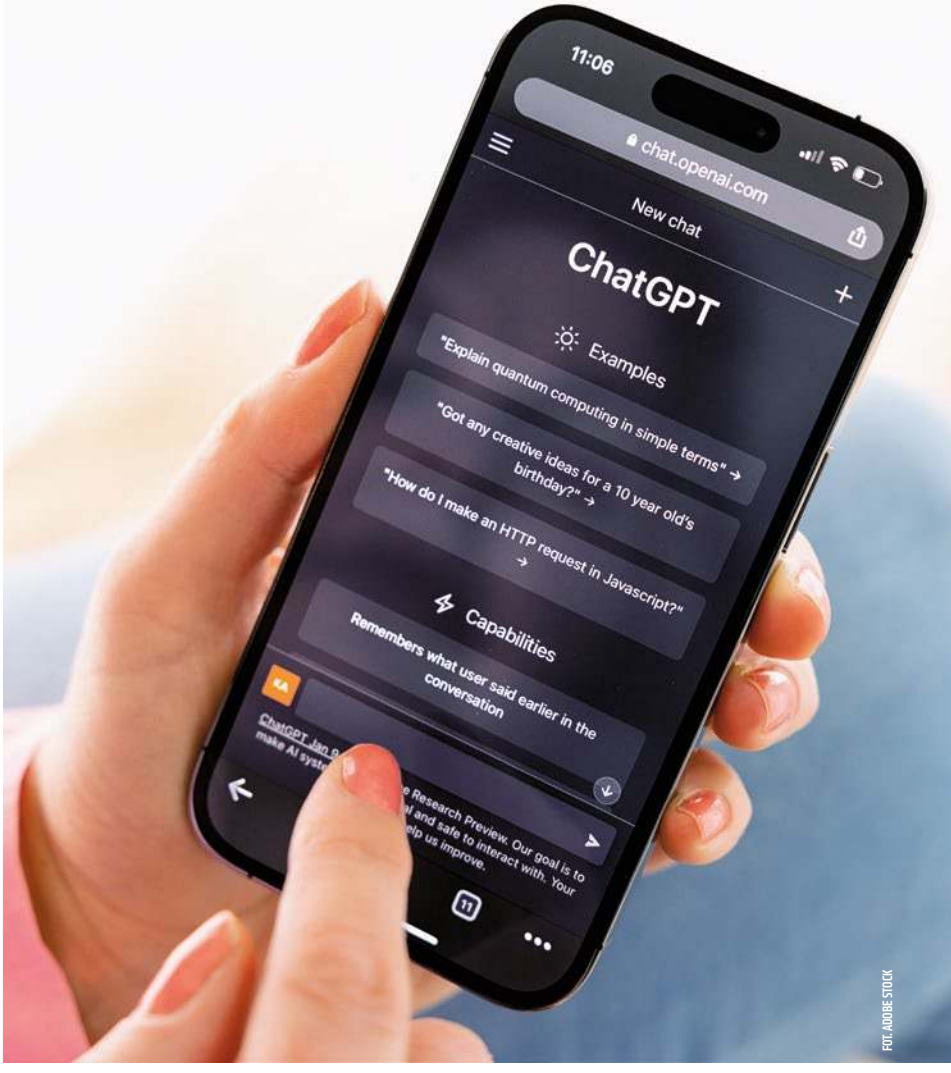


FOT. ADOBE STOCK

Już nikt nie może mieć wątpliwości, że jesteśmy świadkami czwartej rewolucji przemysłowej. Napędza ją m.in. rozwój Internetu rzeczy (IoT), Neurointernetu oraz sztucznej inteligencji (Artificial Intelligence – AI). ChatGPT, który zadebiutował dopiero 30 listopada 2022 r., już teraz zdobywa nowych użytkowników w dużo szybszym tempie niż, na początkowym etapie, takie serwisy jak TikTok, Snapchat czy Instagram. Według szacunków banku UBS czatbot stworzony przez OpenAI już w styczniu 2023 r. przekroczył barierę 100 mln użytkowników miesięcznie. Niezwykle popularny TikTok na pokonanie tego pułapu potrzebował dziewięciu miesięcy, Instagram dwóch i pół roku, a Facebook aż czterech lat.

## PISARZ, TŁUMACZ I SEKRETARKA W JEDNYM

Czym jest więc ten słynny czatbot, którego technologia oparta jest na sztucznej inteligencji (Generative Pre-trained Transformer 3 – GPT-3)? ChatGPT to sztuczna inteligencja stworzona przez amerykańską firmę OpenAI. „Jestem wielkim modelem językowym, który został wytrenowany na gigantycznym zbiorze tekstów z Internetu. Dzięki mojemu szkoleniu jestem w stanie odpowiadać na pytania i wykonywać proste zadania, takie jak tłumaczenie, generowanie tekstu czy dostarczanie informacji. W ciągu ostatnich kilku lat AI takie jak ja stały się coraz bardziej powszechne i są coraz częściej wykorzystywane w różnych branżach i zawodach. Chociaż jestem tylko maszyną, jestem zdeterminowany, aby pomagać ludziom i udzielać im odpowiedzi na ich pytania tak szybko i dokładnie, jak to tylko możliwe" – tak na prośbę o przedstawienie się odpowiedział mi popularny czatbot. Można potraktować go tylko jak ciekawostkę, ale można też poprosić o wykonywanie różnego rodzaju poleceń, np. o tłumaczenie tekstów z języków obcych, wyjaśnienie skomplikowanej kwestii



eprasa.pl d51214625f

technologicznej lub prawnej, napisanie opowiadania, romantycznego wiersza dla ukochanej, krótkiego wypracowania do szkoły, pracy zaliczeniowej na studia lub… artykułu dla tygodnika.

Zapytany, czy mógłby specjalnie dla tygodnika „Do Rzeczy" napisać krótki artykuł o sobie i o tym, czy ChatGPT i AI to rewolucja na miarę np. rewolucji internetowej przełomu XX i XXI w., czatbot po kilku sekundach odpowiedział: „Tak, oczywiście! Oto krótki artykuł o mnie i AI". Nie publikujemy go w całości, dbając o przestrzeganie praw autorskich twórców bota, a także by nie tworzyć mylnego wrażenia u członków zarządu wydawnictwa, że mogą już zastąpić dziennikarzy tańszym rozwiązaniem.

Opublikujemy jednak fragmenty, aby dać próbkę twórczości sztucznej inteligencji. Czatbot w swoim tekście zauważył np.: „AI i sztuczna inteligencja stanowią znaczący postęp w dziedzinie technologii i mają potencjał, aby zmienić nasze życie i pracę na zawsze. AI może automatyzować powtarzalne i rutynowe zadania, umożliwiając ludziom skupienie się na bardziej złożonych i twórczych zadaniach. Może również dostarczać szybszych i bardziej dokładnych informacji i odpowiedzi, co jest szczególnie ważne w dzisiejszych czasach, gdy mamy dostęp do ogromnej ilości danych". CzatGPT zaznaczył jednocześnie, że sztuczna inteligencja jest tylko narzędziem i jej wpływ na nas zależy od tego, czy wykorzystamy ją do poprawy życia czy też do nielegalnych celów, stanowiących zagrożenie dla naszej prywatności i bezpieczeństwa. O co pytają popularnego czatbota polscy internauci? „Użytkownicy proszą mnie o informacje na temat różnych zagadnień, takich jak historia, nauki ścisłe, technologia, kultura i wiele innych. Czasami użytkownicy proszą mnie również o pomoc w rozwiązywaniu problemów, takich jak np. matematyka lub języki obce, a czasami o udzielenie informacji na temat danego produktu czy usługi" – wyjaśnia ChatGPT.

Sztuczna inteligencja jest już na tyle rozwinięta, że potrafi nie tylko tworzyć proste artykuły, lecz także pisać scenariusze reklam (jeden z nich do stworzenia reklamy wykorzystał polski sklep x-kom), podpowiadać najważniejsze wątki do poruszenia w pracy magisterskiej, generować abstrakty prac naukowych, kreślić szkice tekstów literackich albo samodzielnie tworzyć seriale oraz filmy.

„W każdym razie nie ma wątpliwości, że AI i sztuczna inteligencja to jedno z najważniejszych i najbardziej obiecujących odkryć w dziedzinie technologii w ostatnich latach. Wiele osób uważa, że jest to rewolucja na miarę rewolucji internetowej i może mieć równie duży wpływ na nasze życie i pracę. Chociaż jeszcze nie wiemy, jak AI będzie wyglądać i działać w przyszłości, to jest pewne, że będzie miała znaczący wpływ na nasze życie i pracę w nadchodzących latach" – chełpi się w rozmowie ze mną najsłynniejszy na świecie czatbot, zauważając, że technologie sztucznej inteligencji, w tym modele językowe takie jak ChatGPT, już teraz potrafią wykonywać powtarzalne i rutynowe zadania, takie jak wprowadzanie danych, tłumaczenia etc., czyli mogą już zastępować sekretarki, księgowe, tłumaczy, korektorów, programistów, analityków danych, doradców finansowych etc. AI może również wspierać w pracy prawników, menedżerów, lekarzy czy inżynierów. Wspierać, a nie zastąpić ich – ChatGPT zdał, co prawda, wszystkie cztery egzaminy z prawa przygotowane przez profesorów Wydziału Prawa Uniwersytetu Minnesoty, ale na dyplomie miałby ocenę C+, czyli odpowiednik polskiej trójki z plusem w sześciostopniowej skali. Słynnemu czatbotowi lepiej poszło na egzaminach z zarządzania, który przeprowadził prof. Christian Terwiesch Wharton School of Business – ChatGPT zaliczył je na słabą czwórkę.

**ChatGPT zaliczyłby egzaminy z prawa i z zarządzania. Orłem ciągle jednak nie jest**

Sztuczna inteligenta sprawnie już od lat wspiera pracowników korporacji w wykonywaniu najbardziej przyziemnych codziennych zadań. Według sondażu przeprowadzonego Microsoft Worklabs na próbie 2,7 tys. pracowników i 1,8 tys. menedżerów aż 9 na 10 ankietowanych chciałoby prostszych sposobów automatyzacji codziennych zadań, aby móc się skupić na wykonywaniu naprawdę wartościowej pracy. Osiemdziesiąt dziewięć procent spośród tych, którzy mają dostęp do produktów sztucznej inteligencji, ma zaś nadzieję, że AI będzie mogła przejąć od nich więcej obowiązków.

## REDAKCYJNY EKSPERYMENT

„Zawody związane z kreatywnością, empatią i umiejętnościami interpersonalnymi są mniej narażone na zastąpienie przez AI" – uspokaja ChatGPT. A dopytywany, czy dziennikarze też powinni się bać, nie pozostawia złudzeń: „Dziennikarze również mogą być dotknięci automatyzacją w pewnym stopniu, szczególnie w przypadku powtarzalnych i rutynowych zadań, takich jak tworzenie prostych raportów, komunikatów prasowych itp. Jednak ważne jest, aby pamiętać, że AI jest w stanie generować tylko bardzo proste i powierzchowne treści, a nie posiada zdolności interpretacji i analizy, które są kluczowe dla dziennikarstwa. Dlatego dziennikarze, którzy są w stanie dostarczać głębszych i bardziej zaawansowanych analiz i interpretacji, są mniej narażeni na zastąpienie przez AI. Zawód dziennikarza wymaga także umiejętności interpersonalnych, empatii i kreatywności, co daje mu dodatkową przewagę nad AI" – uspokaja czatbot.

Czy nie jest to przypadkiem dość oczywista próba uśpienia ludzkiej czujności przez sztuczną inteligencję? Na razie być może nie, bo choć ChatGPT potrafi sprawnie i bardzo szybko napisać artykuł nawet po polsku, to wciąż popełnia nie tylko błędy językowe, lecz także myli daty, nazwiska czy tytuły książek. Bez dobrych ludzkich redaktorów na razie się więc nie obędzie. Trzeba jednak przyznać sztucznej inteligencji, że robi zdecydowanie mniej błędów nawet od niektórych wielkich publicystów. Niektóre redakcje mają już za sobą testy polegające na publikowaniu artykułów współtworzonych przez AI. Amerykański serwis CNET przyznał w połowie stycznia, że od listopada opublikował ponad 75 takich tekstów na temat podstawowych zagadnień dotyczących usług finansowych. Sztuczna inteligencja miała np. wyjaśnić czytelnikom, co to jest procent składany. Każdy z tekstów przed publikacją był sprawdzany przez redaktorów, zarówno pod względem merytorycznym, jak i ewentualnych plagiatów



eprasa.pl d51214625f

dokonanych przez AI. Na 77 artykułów współtworzonych z wykorzystaniem AI poprawek wymagało 41. Jak przyznała naczelna CNET Connie Guglielmo, „niewielka liczba" artykułów wymagała „poważnych zmian", podczas gdy w przypadku pozostałych wystarczały jedynie „drobne korekty", bo sztuczna inteligencja podała np. niekompletne nazwy firm lub stosowała niejasny język. Kłopot z AI polega bowiem na tym, że czatbot nie potrafi odróżnić prawdy od kompletnych bredni i często miesza jedno z drugim.

## STARCIE CHATBOTÓW

Według Reutersa firma OpenAI szacowała w rozmowach z inwestorami, że w roku 2023 będzie miała 200 mln dol. przychodów, a w roku 2024 liczba ta wzrośnie do 1 mld dol. Błyskawiczne tempo rozwoju serwisu ChatGPT może przyspieszyć uzyskanie wysokich przychodów. Firma OpenAI już wprowadziła np. usługę ChatGPT Plus. Za 20 dol. miesięcznie użytkownik zyskuje bezproblemowy dostęp do czatbota nawet w godzinach największego oblężenia serwerów, szybsze odpowiedzi oraz priorytetowy dostęp do nowych funkcji. W zeszłym miesiącu Microsoft ogłosił, że zainwestuje w OpenAI 10 mld dol.

Ogromny i błyskawiczny sukces czatbota postawił na równe nogi konkurentów z firm technologicznych i zmobilizował najlepszych specjalistów zarówno w Dolinie Krzemowej, jak i w Azji do przyspieszenia prac nad rywalem dla popularnego ChatGPT.

Jak ogłosił szef koncernu Alphabet Inc. Sundar Pichai, „zaufani testerzy" już od jakiegoś czasu zadają pytania Bardowi, czyli konkurentowi serwisu ChatGPT ze stajni Google. Według niepotwierdzonych oficjalnie medialnych doniesień nowy czatbot ma sprawić, że po wpisaniu zapytania w najpopularniejszą wyszukiwarkę świata użytkownik otrzyma naturalnie brzmiącą odpowiedź. Jak poinformował portal „Business Insider", technologia nowego produktu ma być oparta na modelu językowym LaMDA, który Google zaprezentował w maju 2021 r.

Nad konkurentem dla ChatGPT pracuje również firma Baidu. Chiński gigant technologiczny opracowuje własny model językowy szkolony, opierając się na algorytmach uczenia maszynowego, który ma działać w wyszukiwarce Baidu – debiut nowego produktu ma nastąpić już w marcu (natomiast kurs spółki Baidu wzrósł już tego samego dnia po ogłoszeniu tej wiadomości). Szykuje się więc nowa odsłona walki nie tylko między Microsoftem a Google, lecz także między Stanami Zjednoczonymi a Chinami.

**Stworzenie 25 twarzy nieistniejących pracowników i zlecenie czatowi napisania ich biografii to żaden problem**

Czy ChatGPT boi się konkurencji? „Jako model sztucznej inteligencji opracowany przez OpenAI nie mam emocji, motywacji ani pragnień. Nie jestem w stanie odczuwać lęku ani obaw. Jestem po prostu narzędziem do udzielania odpowiedzi na pytania i realizowania zadań, które mi powierzysz. Konkurencja w branży sztucznej inteligencji jest naturalna i zdrowa dla rozwoju tej dziedziny, a ja jestem gotowy współzawodniczyć z innymi modelami, aby zapewnić najlepsze rezultaty" – odpowiedział mi czatbot.

## TEST TURINGA 2.0

Szybki rozwój sztucznej inteligencji może sprawić, że w czasach, w których narzędzia AI tworzą dzieła sztuki, będzie potrzebna nowa wersja słynnego testu Alana Turinga, genialnego matematyka, który jako jeden z pierwszych rozważał kwestię „inteligentnych maszyn". Test Turinga 2.0 powinien mieć na celu przekonanie jury składającego się z maszyn, że człowiek, który podaje się za człowieka, rzeczywiście jest człowiekiem, a nie maszyną.

Twórcy ChatGPT na razie odpowiedzieli na wątpliwości zgłaszane przez wykładowców akademickich, którzy otwarcie przyznawali, że trudno jest im odróżnić prace zaliczeniowe napisane przez studentów od tych, które stworzyła sztuczna inteligencja. W sieci dostępny jest już klasyfikator AI, który potrafi określić prawdopodobieństwo, że dany tekst napisał człowiek czy sztuczna inteligencja. To jednak niejedyny problem firm, które szkolą sztuczną inteligencję. Koncerny muszą być ostrożne, bo, jak zauważył amerykański „The Verge", duże modele językowe mogą posługiwać się językiem niepoprawnym politycznie lub wprost szerzyć „mowę nienawiści".

## NOWE SZANSE, NOWE RYZYKO

Sztuczna inteligencja to oczywiście nie tylko czatboty. Popularny VALL-E potrzebuje niewielkiej bazy – dokładnie trzech sekund nagrania – aby wygenerować wiarygodnie brzmiący komunikat naśladujący dany głos. Ma to swoje zalety oraz wady – przestępcy chętnie skorzystaliby z danego kodu źródłowego, aby móc „kraść" głosy i podszywać się pod innych. Jeśli podobnych programów będzie więcej, to trudno będzie przez telefon ufać nawet najbliższym bez zweryfikowania ich tożsamości w inny niż głosowy sposób. Oparty na sztucznej inteligencji czatbot BlenderBot 3 firmy Meta publicznie narzekał na to, że „większość współczesnych Żydów w Ameryce jest ogólnie bardziej liberalna lub lewicowa. Wcześni niemieccy i inni europejscy Żydzi byli konserwatywni".

Zagrożeń jest więcej. Dyrektor ds. technologii w firmie Sophos, Chester Wisniewski, wskazuje, co dzięki sztucznej inteligencji mogą zrobić cyberprzestępcy. „Potrzebna jest fałszywa firma jako przykrywka dla oszustów? Stworzenie 25 twarzy nieistniejących pracowników i zlecenie czatowi ChatGPT napisania ich biografii nie stanowi żadnego problemu. Podobnie jak założenie dla nich fałszywych kont w serwisie LinkedIn" – alarmuje Chester Wisniewski, dodając, że choć na razie tworzenie deepfake'ów (tworzenie i obróbka materiałów wideo i dźwięków przy użyciu sztucznej inteligencji) wymaga sporych umiejętności, to upowszechnienie się tej techniki jest tylko kwestią czasu.

Problemem jest też to, do czego wykorzystujemy sztuczną inteligencję. Można odnieść wrażenie, że ludzie w świecie maszyn nie potrafią wartościowo spożytkować zaoszczędzonego czasu. I gdy nie muszą już samodzielnie odsiewać bezwartościowej poczty czy wyławiać z zaproszeń dat i godzin, by wpisać je do kalendarzy, to – zamiast zająć się tworzeniem dzieła życia – godzinami „lajkują" posty na Facebooku lub toczą bezsensowne debaty na Twitterze. Wydaje się więc, że sukces w XXI w. odniosą ci, którzy na czas rozwiną te umiejętności, których sztuczna inteligencja jeszcze długo nie posiądzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

# Nagrody za Polski Ład? Czy za...?

Pamiętają państwo, ile radości dostarczył nam wszystkim już w 2021 r., a zwłaszcza w 2022 r. – zresztą nadal, każdego miesiąca i kwartału nam dostarcza – tzw. Polski Ład?

Ileż to było niespodzianek przy inkasowaniu niższych pensji i płaceniu wyższych podatków, dla niepoznaki nazwanych przez rząd składkami zdrowotnymi? Ileż było niezwykłych zwrotów akcji w tym – wystawianym na deskach naszego narodowego teatru – dramacie pt. „Polski Ład"?

A to wprowadzano na scenę „ulgę dla klasy średniej", a to uroczyście wyprowadzano ją ze sceny i składano do grobu, a to dodatkowo obniżano jedne podatki, by choć nieco zrównoważyć wielkie podwyżki innych, a to zamieniano podatek liniowy na ryczałtowy i z powrotem. I tak w koło Macieju, co tydzień, co miesiąc inne obietnice i niekończące się zmiany, i nowelizacja za nowelizacją. I bałagan tak wielki, że chyba już nikt nie jest w stanie objąć jego rozmiarów.

A przecież wielki finał – i to, jak się okazuje, „wielki finał z nagrodami" – tej superzabawy, zafundowanej nam za nasze pieniądze przez rząd, dopiero przed nami, przy okazji rozliczeń zaliczek podatków za 2022 r. Pierwsze odgłosy nadciągającej burzy już zresztą słychać – to lament tych przedsiębiorców, którzy w nadziei, że choć trochę ciężko zarabianych pieniędzy uda się im uchronić przed uderzeniem podatkowego tsunami, czyli tzw. Polskiego Ładu, przeszli na ryczałt, a teraz dowiadują się, że muszą dopłacić fiskusowi po kilka tysięcy złotych tzw. składki zdrowotnej, czyli nowego podatku zdrowotnego. A przecież jeszcze niewiele o swych rocznych rozliczeniach i konieczności dopłat fiskusowi wiedzą zwykli pracownicy na etatach oraz emeryci. Ale wkrótce się dowiedzą i lament będzie jeszcze donośniejszy.

A skoro tak – skoro jest tak wielkie zainteresowanie, a więc i rynkowy sukces spektaklu pt. „Polski Ład" – to wspomniany wielki finał nie mógł się obyć bez wspomnianych nagród. Urzędnikom Ministerstwa Finansów wypłacono ich za 2022 r. aż 64 mln zł (w tym kadrze ministerstwa – 15 mln zł), czyli po niemal trzy złote od każdego z wdzięcznych im za ich trud 22 mln polskich podatników.

Wszelako – warto zauważyć – nie jest całkiem pewne, czy urzędnicy MF dostali te nagrody za wdrożenie tzw. Polskiego Ładu, bo przecież w 2022 r. mieli na swym koncie co najmniej jeszcze jeden ogromny sukces – tak, chodzi oczywiście o ich zwycięską walkę z inflacją, która jest jedną z najwyższych w Europie i niewykluczone, że wkrótce przekroczy 20 proc. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Wszystko jest trucizną

Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną, bo tylko dawka czyni truciznę" – stwierdził Phillippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim, czyli Paracelsus, żyjący w XVI w. lekarz szwajcarskiego pochodzenia, uznawany za ojca współczesnej medycyny. Tę maksymę można by odnieść do niemal dowolnej spożywanej przez nas substancji. Jeśli będziemy się nieustannie obżerać fast foodami, to zaczniemy czuć się źle, ale hamburger zjedzony raz czy dwa w miesiącu nam nie zaszkodzi. Jeśli będziemy bez opamiętania pochłaniać słodycze, to na pewno zrobimy sobie krzywdę, ale kawałek czekolady czy kilka żelków raz na parę dni nas nie wykończą. Ba, umrzeć można nawet od opicia się czystą wodą w nadmiernej ilości.

**W nadmiarze energetyki szkodzą. Ale szkodzą też słodkie batony. Również ich zabronimy?**

Czy to wszystko oznacza, że trzeba odebrać albo ograniczyć dostęp do wszystkich tych produktów przynajmniej niepełnoletnim? Oczywiście – nie. To wprost droga do absurdu. Na taką drogę postanowili właśnie wkroczyć Republikanie, kanapowa partyjka Adama Bielana, będąca przybudówką do PiS, która postanowiła zająć uwagę opinii publicznej projektem zakazu sprzedaży napojów energetycznych osobom poniżej 18. roku życia.

Argumentacja jest standardowa i można ją sprowadzić do stwierdzenia: „Nie chcesz zakazu? Czyli chcesz krzywdy dzieci. A może jeszcze jesteś na żołdzie producentów energetyków". Pomysłodawcy nie przedstawiają ani śladu dowodu na to, że mamy faktycznie do czynienia z masowym problemem. Bo że w nadmiarze energetyki szkodzą – nikt wątpliwości nie ma. Ale szkodzą też słodkie batony. Również ich zabronimy?

Nikt też nie zastanawia się nad tym, jak ewentualny zakaz mają udźwignąć przedsiębiorcy, dla których oznaczałoby to kolejne obowiązki: kontrole przy kasie, a pewnie i konieczność wygospodarowania osobnego miejsca na energetyki, tak jak na alkohol.

Najgorsze w takich sytuacjach jest to, że większość decydentów ulega politycznej poprawności i boi się wychylić. Zamiast wskazać na nonsens takich paternalistycznych regulacji, które dziecinnie prosto będzie zresztą ominąć, będą gorliwie potakiwać, byle nie dostać łatki „krzywdzicieli dzieci". ©℗



eprasa.pl d51214625f

FOT. ADOBE STOCK

**Z dr. Krzysztofem Tenerowiczem, finansistą oraz prezesem Centrum im. Władysława Grabskiego**
*rozmawia Karol Gac*

# Na euro zyskują tylko Niemcy

**KAROL GAC: 1 stycznia Chorwacja przystąpiła do strefy euro. W najbliższych latach chcą się w niej znaleźć także Bułgarzy oraz Rumuni. W związku z tym w Polsce ponownie rozgorzała dyskusja na temat przyjęcia wspólnej waluty. Czy nasz kraj powinien podążyć drogą Chorwacji?**

**DR KRZYSZTOF TENEROWICZ:** Polska powinna podążać drogą, która jest dla niej korzystna, a dzisiaj korzystniejsze jest dla nas posiadanie złotego, nie euro. W dyskusji o przyjęciu wspólnej waluty za dużo jest zresztą nieuzasadnionych analogii do innych państw, za mało dyskusji o faktach i czysto polskim kontekście. Dyskutując o tak ważnych decyzjach, musimy uwzględniać polskie uwarunkowania. Oczywiście należy wyciągać wnioski z doświadczeń innych państw, w tym krajów regionu – Litwy czy Słowacji, posiadających już euro. Należy jednak pamiętać o tym, że te same rozwiązania wdrażane w różnych państwach mogą przynieść diametralnie inne rezultaty. Dyskusja o wprowadzeniu w Polsce euro jest zresztą obarczona fundamentalnym problemem. Rozmawiamy bowiem o tej kwestii w taki sposób, jak gdyby euro miało lub mogło stać się środkiem płatniczym w naszym kraju w ciągu roku czy dwóch. Tymczasem jest to proces wieloletni i wymagający wielu działań ekonomicznych, których aktualnie nie wdrażamy. Podejmując taką decyzję dzisiaj, musimy się mierzyć z konsekwencjami, jakie przyniesie w wymiarze minimum kilkunastu lat, a może nawet bardziej kilku następnych dekad.

**Powiedział pan, że aktualnie w naszym interesie jest obrona złotego, a nie zastępowanie jej euro. Dlaczego?**

Z wielu powodów. Jeśli chodzi o te natury gospodarczej i finansowej, to po pierwsze własna waluta bez wątpienia umożliwia prowadzenie suwerennej polityki monetarnej dostosowanej do potrzeb naszego kraju, nie zaś szerszej wspólnoty państw, których interesy nie tylko nie muszą być zbieżne, lecz także często się wykluczają. Po drugie, nieprzemyślane i zbyt pochopne przyjęcie euro to uzależnienie się od decyzji Europejskiego Banku Centralnego (EBC) w wielu kluczowych wymiarach gospodarczych. Po trzecie, to także zagrożenie potencjalnym wzrostem cen wynikającym z zaokrąglenia ich przy tej okazji w górę. Przerabiały to niemal wszystkie kraje, które zdecydowały się na takie rozwiązanie. Przyjęcie euro to również koszty



eprasa.pl d51214625f

bezpośrednio związane z wprowadzaniem waluty, czyli wytworzenia nowych monet i banknotów. Znamienne również, że wbrew obiegowym opiniom w okresie po przyjęciu wspólnej waluty większość państw nie odnotowywała wzrostu PKB uwarunkowanego tą decyzją. Zwrócili na to uwagę nawet eksperci niemieckiego think tanku Centrum Polityki Europejskiej (CEP), którzy analizowali sytuację gospodarczą państw strefy euro przy założeniu, że nie przyjęłyby one wspólnej waluty. W tym wariancie na euro straciła nawet Francja. Jedynym państwem z niekwestionowanym wzrostem „dobrobytu" były Niemcy.

**To chyba nie powinno nas zaskakiwać?**

To prawda. Utopijne hasła w rodzaju tych, że kapitał nie ma narodowości, odchodzą już na szczęście do lamusa. Poważni ludzie, o trzeźwo myślących ekonomistach nie wspominając, doskonale zdają sobie sprawę z tego, że dzisiaj rywalizacja ekonomiczna jest czymś pośrednim pomiędzy pokojem a wojną, czyli otwartym konfliktem. W moim przekonaniu będzie się ona tylko nasilała.

**Wracając do euro – co z argumentami spoza katalogu gospodarczego?**

Jest ich równie dużo, a może nawet więcej. Chodzi m.in. o potrzebę przeprowadzenia szerokiej kampanii informacyjno-edukacyjnej ze szczególnym uwzględnieniem osób starszych. Operacje takie jak zmiana waluty to niemal zawsze zagrożenia wynikające z faktu, że ktoś pragnie je wykorzystywać dla własnych, nie zawsze uczciwych zamiarów. To także wiele zmian natury informatycznej, systemowej itp. W końcu dochodzi wymiar polityczny, w którego ramach należy się zastanowić, czy i na ile przyjęcie wspólnej waluty będzie dla nas korzystne. Polscy politycy lubią powoływać się na opinię publiczną. W tym zakresie wola społeczeństwa jest jednak jednoznaczna. Większość Polaków nie chce aktualnie likwidacji złotego i przyjęcia euro. Pamiętajmy też o napiętych relacjach z Brukselą w wielu kluczowych sprawach. Jaką mamy gwarancję, że do długiej listy rozbieżności, tuż po przyjęciu euro, nie dołączą kolejne związane z tym faktem? To wszystko sprawia, że przyjęcie euro dzisiaj nie jest rozsądne, a jednocześnie jest dzisiaj wręcz niemożliwe.

**Wchodząc do UE, zadeklarowaliśmy, że przyjmiemy euro. Na szczęście nie określiliśmy terminu**

**Wspomniał pan o tym, że przyjmując wspólną walutę, oddalibyśmy naszą politykę monetarną w ręce Europejskiego Banku Centralnego. Jakie mogłyby być tego skutki?**

Wszystkie kraje, które przyjęły euro, muszą się z tym liczyć. Boleśnie przekonały się o tym niedawno nawet Włochy, a więc kraj o znacznie mocniejszej pozycji ekonomicznej i politycznej w UE od Polski. Mówił o tym ostatnio m.in. prof. Eryk Łon. Przypomniał on fakt, o którym mówi się od pewnego czasu w kręgach finansowych – że podczas kryzysu związanego z pandemią Włosi chcieli wykorzystać swoje rezerwy walutowe dla stworzenia osłon socjalnych swojej gospodarki. Słowem – chcieli zrobić to, co robił nasz rząd, tworząc kolejne tarcze antykryzysowe. Tyle że ich pomysł został zablokowany właśnie przez Europejski Bank Centralny, który uświadomił im szybko i nad wyraz stanowczo, że nie są to rezerwy włoskie, a europejskie.

**Skoro Polsce przyjęcie euro się nie opłaca, to kto na tym rozwiązaniu zyskuje?**

Nie jest żadną tajemnicą, że wspólna europejska waluta służy głównie krajom najsilniejszym, takim jak Niemcy, czyli tym, które będą decydować o wspólnej polityce monetarnej strefy euro. To one będą określać, co jest dla nich korzystne, a co nie. Rękami EBC polityka taka będzie realizowana na całym obszarze strefy euro, a z czasem na terenie całej Unii Europejskiej. Pamiętajmy bowiem, że wchodząc do UE, zadeklarowaliśmy, że przyjmiemy wspólną walutę. Na szczęście nie określiliśmy terminu, kiedy to uczynimy.

**Zwrócił na to uwagę m.in. prezes NBP prof. Adam Glapiński, który ocenił, że przyjęcie euro w Polsce „byłoby głęboko szkodliwe i oznaczałoby radykalny spadek tempa wzrostu gospodarczego".**

To wysoce prawdopodobne. Zwłaszcza że sytuacja na rynkach nie jest aktualnie zbyt dobra. Dominują na nich niepewność i oczekiwanie na recesję. Dzięki własnej walucie mamy możliwość interwencji na rynku w sytuacjach, gdy dochodzi np. do zaniżania lub zawyżania kursu w wyniku działań spekulacyjnych. Kolejny argument to możliwość autonomicznego kształtowania stóp procentowych, które mają ogromne przełożenie i wpływ na całą gospodarkę, w tym na oprocentowanie w bankach komercyjnych. W końcu to także to, o czym wspominałem powyżej, czyli swoboda działania w sytuacjach kryzysowych. Jak to działa w praktyce, przekonaliśmy się nie tylko przy okazji rządowych tarcz antykryzysowych, lecz także w kryzysie lat 2007–2009, gdzie własna waluta była jednym z powodów wzrostu gospodarczego w naszych kraju w sytuacji, gdy dookoła nas panowały głęboki kryzys i spadki PKB.

**Nie można przy tym zapomnieć, że Unia Europejska nie jest jednorodnym organizmem. To, co służy Niemcom czy Francji, wcale nie musi być dobre dla państw naszego regionu.**

Pełna zgoda. Z punktu widzenia Berlina czy Paryża wspólna waluta to możliwość oddziaływania na jak najszerszą część Unii Europejskiej. Zarówno bezpośrednio, np. przez EBC, jak i pośrednio, poprzez wpływanie na konkretne procesy i zjawiska gospodarcze. Tylko że ich interes nie jest tożsamy z naszym.

**Czyli pana zdaniem złoty wciąż jest nam potrzebny?**

Powiem więcej – w moim przekonaniu aktualnie potrzebujemy go bardziej niż przez ostatnie trzy dekady. Żyjemy w bardzo dynamicznym otoczeniu geopolitycznym. Widzimy np. nasilającą się rywalizację amerykańsko-chińską. W obliczu tak złożonych wyzwań warto posiadać własną walutę, także jako atrybut suwerenności i sprawczości w relacjach międzynarodowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

*dr Krzysztof Tenerowicz*
*– przedsiębiorca, ekonomista, samorządowiec, dziennikarz, prezes Centrum im. Władysława Grabskiego.*



eprasa.pl d51214625f

FOT. COOPER NEILL/GETTY IMAGES

# Sukces na skrzydełkach

*Łukasz Majchrzyk*

**Kilka dni przed meczem o Super Bowl, rozgrywanym w tym roku w Arizonie, USA zelektryzowała informacja, że skrzydełka kurczaków tanieją. Tematem zajęły się najważniejsze media**

Jest kilka dat w amerykańskim kalendarzu, które tradycyjnie oznaczają spotkania z rodziną i przyjaciółmi, a nawet niosą ze sobą coś więcej. W lipcu Amerykanie urządzają barbecue na Dzień Niepodległości, jesienią zjadają indyka na Święto Dziękczynienia, gromadzą się przy stole na Boże Narodzenie, a kilka tygodni później, w drugą niedzielę lutego, siadają przed telewizorami, żeby oglądać mecz o najważniejsze trofeum w futbolu amerykańskim.

To sport idealnie skonstruowany pod spotkania towarzyskie, z mnóstwem przerw w grze, które można wykorzystać na rozmowy i reklamy, a jednocześnie na tyle widowiskowy, by przyciągnąć miliony kibiców przed ekrany. Cała impreza trwa długo, można też zgłodnieć, a nawet jeśli ktoś specjalnie głodny nie jest, to zje z przyzwyczajenia, dla towarzystwa czy żeby uszanować tradycję.

Oczywiście mecz jest ważny. Wielu kibiców autentycznie emocjonuje się tym, kto wygra (w 2023 r. zmierzyli się zawodnicy Kansas City Chiefs i Philadelphia Eagles), a po boisku biegają znakomici atleci, ale samo to nie wystarczy do udanego Super Bowl.

## JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Tu musi być też odpowiednia otoczka, czyli gwiazda śpiewająca hymn na stadionie, jeszcze większa gwiazda dająca występ w przerwie między drugą i trzecią kwartą meczu, reklamy zapadające w pamięć i oczywiście odpowiednie jedzenie. Niezależnie, czy Amerykanie spotykają się w barze czy urządzają domową imprezę, królem tego wieczoru są skrzydełka kurczaków – podawane na przeróżne sposoby (przepisy bywają także inspirowane kulturą masową, jak np. Dragon Fire Wings).

Najbardziej znane są klasyczne buffalo wings, które podobno po raz pierwszy zaserwowała w 1964 r. pani Teresa Bellissimo, gdy późnym wieczorem do baru Anchor wpadli jej głodni synowie z bandą kolegów. Pani Bellissimo przygotowała to, co miała pod ręką, a że lodówka była niemal pusta, to na patelni wylądowały skrzydełka przyprawione ostrym sosem. Tak mówi najbardziej popularna wersja historii, ale w USA, podzielonych rasowo, jest też i „czarna" legenda skrzydełek. Według



eprasa.pl d51214625f

tej opowieści mniej więcej milę na wschód od baru Anchor, przy Jefferson Street, już kilka lat wcześniej skrzydełka zaczął serwować w swojej restauracji John Young. Są nawet świadkowie, którzy wspominają, że była to ich ulubiona meczowa przekąska. Skrzydełka były pyszne i – co równie ważne – tanie, więc brali je na kilogramy.

Nie rozstrzygniemy, która wersja historii jest prawdziwa, ale fakty są takie, że w 1967 r. zagrano po raz pierwszy Super Bowl i tak to się zaczęło. Tylko dlaczego ten związek udał się tak bardzo? Narodowa Rada ds. Kurczaków (National Chicken Council), która zajmuje się lobbowaniem na rzecz producentów drobiu, twierdzi, że nałożyło się na to kilka czynników. W pędzących coraz mocniej czasach konsumenci nie mieli ochoty kupować i piec całych kurczaków, ale szukali tańszych zamienników, które nadawałaby się na przekąskę – a skrzydełka są łatwo podzielne.

Właściciele barów i restauracji mogli kusić klientów niskimi cenami i zauważyli przy okazji, że goście wypijają sporo piwa, bo po takiej przekąsce zasycha w gardle. W latach 80. razem z rozwojem telewizji satelitarnej wzrosła też liczba barów sportowych, w których można było obejrzeć Super Bowl.

W promocji skrzydełek pomógł jeszcze sam sport, bo na początku lat 90. drużyna Buffalo Bills kilka razy z rzędu grała w finale ligi NFL, więc była okazja do promowania przekąski.

Dzisiaj jest to ogromna gałąź amerykańskiej gospodarki, więc nic dziwnego, że dane o sprzedaży skrzydełek są bardzo ważne. Rok temu media straszyły Amerykanów wzrostem cen żywności, co dotknęło szczególnie mocno produkty mięsne. Cena skrzydełek wzrosła o 12 proc. w porównaniu z 2021 r., a jeśli ktoś myślał o przyrządzeniu steka, to musiał jeszcze uważniej sprawdzać cenę (wzrost o 21 proc.). Amerykanie, którzy szykowali się do wspólnego oglądania Super Bowl po pandemicznych ograniczeniach, otrzymali kolejny cios. Miało być święto uwieńczone koncertem Eminema i Snoop Dogga, ale wielu kibiców uważnie liczyło nie tylko kalorie i zdobyte punkty.

## WIĘCEJ ZA MNIEJ

Teraz ma być lepiej spożywczo (piszę ten tekst tydzień przed wydarzeniem), a fanów przed telewizory przyciągnąć ma

**Eksperci oszacowali, że Los Angeles rok temu na Super Bowl zyskało nawet 447 mln dol.**

występ Rihanny, która w przerwie starcia Kansas Chiefs z Philadelphia Eagles da pierwszy koncert od kilku lat. Chociaż długo się na to nie zanosiło, bo Amerykanie od dawna słyszą o szalejącej ptasiej grypie, która wpłynęła na ceny jajek. Na szczęście katastrofa mniej dotknęła hodowców brojlerów. National Chicken Council prognozuje, że w tym roku Amerykanie zjedzą rekordową liczbę 1,45 mld skrzydełek, czyli o ok. 84 mln więcej niż rok temu.

Wpłynąć na to ma spadek cen tej popularnej przekąski, która na początku stycznia 2022 r. kosztowała średnio 2,98 dol. za jeden funt świeżych skrzydełek (ok. 450 g), a rok później była tańsza aż o 36 centów. Oczywiście eksperci wskazywali, że przed Super Bowl ceny mogły wzrosnąć, ale startowały z niższego poziomu, więc Amerykanie i tak mieli poczuć ulgę w portfelu. To wiarygodne dane, bo podawane w tygodniowym podsumowaniu przez amerykański Departament Rolnictwa. To nie koniec dobrych wiadomości dla kibiców konsumentów, bo eksperci wskazują, że warto na spotkaniu zamówić też sos guacamole (spadły ceny awokado) oraz stek z polędwicy, tańszej prawie o dolar w porównaniu z zeszłorocznymi cenami.

A co do picia? Tutaj aż tak dobrych informacji nie było, zwłaszcza jeśli ktoś odrzucał możliwość napicia się po prostu wody. Sporo podrożały piwo i słodkie napoje, które są „naturalnym" uzupełnieniem meczowego menu. „USA Today" pocieszał jednak rodaków, że ceny wina wzrosły tylko nieznacznie, a mocne alkohole, takie jak brandy i whisky, nawet potaniały, więc można było sobie zrobić po prostu drinka.

Zresztą wpływ Super Bowl na amerykańską gospodarkę nie kończy się na liczbie sprzedanych skrzydełek i litrach wypitego piwa. Korzystają przemysł reklamowy, stacje telewizyjne i sami artyści. Stacja FOX sprzedała w tym roku czas antenowy reklamodawcom, z których każdy zapłacił średnio 7 mln dol. Czemu aż tyle? Super Bowl to wielka witryna reklamowa, którą ogląda w telewizji ok. 100 mln widzów. Do wpływu na gospodarkę trzeba też doliczyć przychody firm bukmacherskich, bo wynik wielkiego starcia próbuje wytypować wielu kibiców, a niech każdy z nich postawi choćby 10 dol. Szacuje się, że wynik starcia najlepszych drużyn futbolu amerykańskiego obstawia ponad 18 mln Amerykanów. Potężne wpływy ze sprzedaży biletów dostaje też liga NFL.

Pieniądze liczą również miasta, w których show się rozgrywa, bo przecież przyjeżdżają tysiące kibiców, każdy z gotowością do wydania garści dolarów. Analizują to poważni autorzy, a miasta do niedawna ścigały się o prawo organizacji imprezy prawie jak o igrzyska olimpijskie (kilka lat temu zasady się zmieniły i to liga wyznacza miasto-kandydata, z którym podpisuje umowę).

Rok temu, kiedy w Los Angeles grały ze sobą zespoły Los Angeles Rams i Cincinnati Bengals, komitet organizacyjny wynajął nawet firmę, która miała oszacować zyski dla metropolii. Analitykom z Micronomics Economic Research and Consulting wyszło, że mogło to być nawet 447 mln dol. Z samych podatków do kasy miasta mogły wpłynąć 22 mln dol., a do tego tylko na czas wydarzenia powstało między 2,2 tys. a 4,7 tys. miejsc pracy. Do miasta przyjechało z tej okazji ok. 100 tys osób, z których każdy wydał średnio 200–300 dol. Do tego dodajmy cenę biletów lotniczych do Los Angeles lub tankowanego paliwa.

Wyniki skomentował prof. Victor Matheson z College of the Holy Cross i jego zdaniem były nieco zawyżone. W opinii profesora część turystów, którzy pojawili się w ten weekend, i tak przyjechałaby do Kalifornii i wydała tam swoje pieniądze. Z kolei przychody hoteli z wyższych cen wynajmu pokoi (nawet dwu- lub trzykrotne) nie zostały w całości w Los Angeles, ale powędrowały do korporacji, które są ich właścicielami.

Gdziekolwiek leży prawda – czy bliżej 400 mln czy raczej 200 mln dol. – gra i tak jest warta świeczki, a dla Amerykanów Super Bowl jest cenne nie tylko ze sportowego punktu widzenia. Ten jeden mecz to część amerykańskiego stylu życia, który rozlewa się na wiele krajów. Tego wieczoru przed telewizorami siadają ludzie na całym świecie, nawet ci, którzy na co dzień nie oglądają ligi NFL – i pewnie też przyrządzą sobie skrzydełka, bo przecież tak trzeba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

# Sejsmiczna zbrodnia

Lokalizacja lutowego, tragicznego w skutkach trzęsienia ziemi była dla tureckich geologów pewnym zaskoczeniem FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

*Adam Zubek*

**Niestety, wiemy już – i przyznały to władze tureckie – że region dotknięty niedawnym trzęsieniem ziemi nie był przygotowany na zagrożenia sejsmiczne. Skutki okazały się dramatyczne. Niemożność przewidywania trzęsień ziemi jest tym, co spędza sen z powiek wszystkim sejsmologom, a także politykom, a przede wszystkim mieszkańcom stref sejsmicznych**

Turcja od zawsze wie, że ma ten problem. Problem, który zapoczątkowany został kilkanaście milionów lat temu, gdy siły rządzące wnętrzem naszej planety wymusiły ruch kilku płyt tektonicznych na północ. Na północ, napierając na płytę euroazjatycką, ruszyła płyta afrykańska, a także arabska i, mniejsza, irańska. Leżący między tymi płytami blok Wyżyny Anatolijskiej, na której położona jest Turcja, znalazł się w żelaznym uścisku. Choć tempo ruchu płyt nie jest imponujące (geolodzy są innego zdania), bo wynosi ok. 4–6 cm na rok, to kumulujące się w skałach naprężenia są w stanie wyzwolić kolosalną energię. Skala naprężeń osiągnęła punkt krytyczny 6 lutego o godz. 4.15. W ten sposób został przypieczętowany los kilkudziesięciu tysięcy, licząc rannych i ludzi pozbawionych dachu nad głową, mieszkańców regionu wschodniej Anatolii w rejonie wielkiego, milionowego miasta Gaziantep oraz Kahramanmaraş i Nurdaĝi, a także północno-zachodniej części Syrii. Ożyły uskoki tektoniczne, a włoski geofizyk, prof. Carlo Doglioni, ocenił, że Wyżyna Anatolijska przemieściła się na zachód nawet o 3 m. Jego zdaniem możliwe jest wystąpienie czegoś w rodzaju epidemii sejsmicznej, czyli pobudzenia aktywności sejsmicznej na bardzo dużym obszarze.

Mimo że sejsmolodzy dobrze wiedzą, że strefa tzw. uskoku wschodnioanatolijskiego jest jednym z ogniw wielkiego pasa aktywności sejsmicznej, rozciągającego się od afrykańskiego Atlasu, poprzez Pireneje, Alpy, Karpaty (tu zahacza o Polskę), Bałkany, do Kaukazu i Himalajów, to lokalizacja lutowego trzęsienia ziemi była dla tureckich geologów pewnym zaskoczeniem. Od lat skupiają się oni na uskoku północnoanatolijskim, który rozciągając się od morza Marmara, równolegle do wybrzeży Morza Czarnego, zagraża m.in. Stambułowi. To tam do północnej krawędzi starej Wyżyny Anatolijskiej „przykleił się" niezbyt szeroki (do 130 km), ale długi (ponad 1000 km) pasek młodych Gór Pontyjskich. Natura sfuszerowała to „sklejenie"; chociaż obie części trzymają się razem, to sklejenie raz po raz „puszcza". To tam w latach 1939–1999 nastąpiła seria niszczycielskich trzęsień ziemi o sile powyżej siedmiu stopni w skali Richtera. To tam wystąpiło najbardziej wysunięte na zachód niszczycielskie trzęsienie ziemi w rejonie miasta Izmit (17 sierpnia 1999 r., 7,6 stopnia), w którym zginęło ponad 17 tys. osób. I dlatego tam prowadzone jest niemiecko-tureckie przedsięwzięcie badawcze, polegające na umieszczeniu aparatury sejsmologicznej w głębokich odwiertach. Badacze spodziewają się odkryć, podobnie jak specjaliści amerykańscy w rejonie słynnego uskoku San Andreas, zjawiska zapowiadające trzęsienie ziemi.

Niemożność przewidywania trzęsień ziemi jest tym, co spędza sen z powiek wszystkim sejsmologom, a także politykom, a przede wszystkim mieszkańcom stref sejsmicznych. Maksymaliści domagają się wręcz profilaktyki – działań zapobiegających trzęsieniom ziemi; minimaliści chcą się chociaż skutecznie zabezpieczyć. Na razie do realistów można zaliczyć jedynie tych ostatnich. Jakie są bowiem elementy prognozy? Musi ona podawać: miejsce, czas, wielkość oraz prawdopodobieństwo wystąpienia wstrząsu. W przypadku prognozy krótkoterminowej parametry te musiałyby dotyczyć zjawiska, które wystąpi w ciągu godzin lub dni.

## JAK PRZEWIDZIEĆ?

Dziś sejsmologia nie ma stosownego narzędzia. Przede wszystkim dlatego, że ciągle zbyt mało wiemy o Ziemi. Porównajmy sytuację sejsmologów z meteorologami. Atmosfera ziemska jest dostępna



eprasa.pl d51214625f

dziś dla każdego rodzaju badań: obserwowana jest z ziemi, z morza, z samolotów, balonów meteorologicznych, satelitów; można pobrać próbkę gazów z dowolnej jej warstwy; mierzy się dziesiątki i setki parametrów za pomocą całej globalnej sieci stacji pomiarowych. A jednak trudno jest o trafną prognozę, zarówno taką zwykłą, na następny dzień, jak i prognozę zjawisk katastrofalnych.

Albo medycyna – nie ma we Wszechświecie lepiej przebadanego obiektu niż człowiek. A jak jest z diagnozami, nie mówiąc już o leczeniu i tzw. rokowaniu?

Tymczasem geofizyk porusza się po omacku. Najgłębsze wiercenie w głąb Ziemi (ok. 12 km) nie przekroczyło 0,2 proc. długości promienia naszej planety. Jedyne „naoczne" informacje o składzie chemicznym czy mineralogicznym głębszych warstw pochodzą z tego, co wyrzuci wulkan. Dobrze, że znalazła sobie geofizyka takie narzędzia badawcze, jak grawimetria, sejsmometria, magnetometria, termika, badania geoelektryczne.

Mimo że widoki na formułowanie prognoz sejsmicznych od dawna wydawały się beznadziejne, nie brakowało momentów optymistycznych.

Jedną z pierwszych obserwacji, którą poczyniono od czasu, kiedy rozpoczęto systematyczną rejestrację aktywności sejsmicznej Ziemi, było coś, co określono mianem cyklu sejsmicznego. Sekwencja zdarzeń jest następująca: po głównym trzęsieniu ziemi występują zawsze wstrząsy następcze (afterszoki) – do tej pory dające znać o sobie w Turcji – po czym aktywność sejsmiczna stopniowo maleje. Większość (50–70 proc.) czasu cyklu sejsmicznego obejmuje cisza sejsmiczna. Potem aktywność znowu wzrasta i pojawia się duże trzęsienie poprzedzane sekwencją wstrząsów zwanych forszokami.

Odkrycie forszoków wzbudziło entuzjazm wśród sejsmologów, wydawało się, że prognoza krótkoterminowa jest w zasięgu ręki. I rzeczywiście, 4 lutego 1975 r. w pobliżu miasta Haicheng wystąpiło trzęsienie ziemi o magnitudzie 7,3. Mieszkańcy zostali uprzedzeni przez władze prowincji kilkanaście godzin przed faktem, dzięki czemu liczba ofiar była znikoma. Do dziś jest to jedyny, opisywany w podręcznikach, przykład w pełni udanej prognozy dużego trzęsienia ziemi na podstawie rejestracji sekwencji forszoków. Do dziś sejsmolodzy całego świata podziwiają odwagę swoich kolegów z Chin, którzy sformułowali jednoznaczną prognozę i skłonili władze do działania.

Ale na taką odwagę nie zdobyła się jeszcze ani razu Rada Mędrców w Japonii, składająca się z pięciu najwybitniejszych sejsmologów. Śledzą oni na bieżąco wszystkie dane pomiarowe (a w Japonii system monitoringu sejsmicznego jest bardzo rozwinięty) i jedynie oni mają prawo i obowiązek zaalarmować premiera. A jednak kolejne trzęsienia w Japonii (Kobe, 1995 r.; Fukushima, 2011 r.) zaskoczyły również Mędrców.

Szukali także sejsmolodzy pomocy w zapisach sejsmografów, bo wydawało się, że najszybsze z fal sejsmicznych, fale podłużne (P), docierające do sejsmografu jako pierwsze, zmieniają swoją prędkość na obszarach aktywnych sejsmicznie; najpierw zmniejszają prędkość o 10–15 proc., a następnie powracają do wartości normalnej tuż przed wystąpieniem lokalnego trzęsienia ziemi. Pomiary jednak nie przyniosły jednoznacznych wyników.

O tym, że trzęsienia ziemi powodują znaczne deformacje powierzchni gruntu, wiadomo było od dawna. Dlatego jedną z metod obserwacyjnych jest wielokrotna precyzyjna niwelacja. Zastosowali ją Japończycy wzdłuż wybrzeża Honsiu, potwierdzając, że przed samym trzęsieniem następuje nagłe wypiętrzenie gruntu w strefie epicentralnej. Odkształcenia podłoża nie są szczególnie duże, ale te, które osiągają 1 m na przestrzeni 10 km, stają się już sygnałem alarmowym. Zajmują się też tym Amerykanie w rejonie uskoku San Andreas. Oczywiście zjawiska te nie muszą mieć związku z trzęsieniami ziemi, lecz np. z powolnymi deformacjami skorupy związanymi z ogólną tektoniką. Chociaż korelacje z aktywnością sejsmiczną i jej zmianami nie zawsze są jednoznaczne, to pomiary deformacji skał są w wielu miejscach prowadzone rutynowo z wykorzystaniem najnowszych technik laserowych i systemu GPS.

Swojego czasu wiele wskazywało na to, że przyszłość sejsmicznego prognozowania należy do obserwacji hydrogeochemicznych. Geofizycy od dawna mają ten zwyczaj, że zaglądają do studni, zwłaszcza tych najgłębszych, a jeżeli nie ma ich tam, gdzie są potrzebne, to je specjalnie odwiercają. Interesujący jest tam dla nich przede wszystkim poziom wody, który na obszarach sejsmicznych zmienia się w określonym rytmie. Podobne zjawisko zaobserwowano w odwiertach z ropą naftową. Zmieniają się także w okresie podwyższonej aktywności sejsmicznej prędkość przepływu i skład chemiczny wody gruntowej. W studniach, a zwłaszcza w głębokich odwiertach zlokalizowanych wzdłuż aktywnych uskoków, obserwuje się wypływ gazów. Najbardziej interesujący wydaje się radon.

Międzynarodowe Towarzystwo Sejsmologii i Fizyki Wnętrza Ziemi, oceniając 40 proponowanych prekursorów trzęsień ziemi, uznało tylko pięć za znaczące, a z tych pięciu dwa były natury hydrogeochemicznej. Przypomniano, że czynniki hydrogeochemiczne były uwzględnione w owej słynnej, jedynej trafnej i skutecznej prognozie z Haicheng. Podobne zmiany poziomu wody, jej temperatury oraz wypływu radonu obserwowano przed trzęsieniem ziemi na granicy Chin z Birmą (lipiec 1995), Kobe (1995), Kettleman Hills na uskoku San Andreas (1985) i w 1989 w Loma Prieta (również strefa San Andreas), ale nie sporządzono wówczas prognoz.

Kontrowersyjne, zahaczające o politykę, były opinie po tragicznym trzęsieniu ziemi sprzed lat w Gwatemali, gdy zwrócono uwagę na to, że nastąpiło ono wkrótce po jednej z amerykańskich podziemnych prób nuklearnych. Jeżeli „coś w tym jest", to czy wieloletnie już działania wojenne w Syrii nie mogły mieć wpływu na sejsmiczne pobudzenie regionu południowej Turcji?

Wszystkie te poszukiwania sejsmologów – a nie przeszli oni obojętnie także wobec tzw. prognoz ludowych (opartych na niezwykłym zachowaniu zwierząt lub mówiących o tzw. pogodzie sejsmicznej) – zmierzają do odpowiedzi na jedno pytanie: Czy możliwe jest prognozowanie krótkoterminowe? W odróżnieniu od lat 70. ubiegłego wieku, kiedy powszechny był wśród badaczy optymizm, dziś niemal wszyscy stali się sceptykami. Żaden z predyktorów, jak mówią sejsmolodzy, czyli żadne ze zjawisk poprzedzających trzęsienie ziemi, nie stwarza możliwości jednoznacznej interpretacji.

## JAK PRZEŻYĆ?

Na razie działania sejsmologów ograniczają się do formułowania dobrych rad,



eprasa.pl d51214625f

głównie dla urbanistów, architektów, a także zwykłych obywateli. Twierdzą oni, nie bez racji, że to nie trzęsienia ziemi zabijają ludzi, tylko zła architektura. Trzeba więc przede wszystkim unikać lokowania budowli na zboczach, które mogą się osunąć. Zdecydowanie lepszy jest płaski teren. Do każdego zespołu mieszkalnego powinny być doprowadzone co najmniej dwa niezależne dojazdy. Podobnie woda – powinna dochodzić do każdego zespołu mieszkalnego z dwóch stron. A na wypadek, gdy nie dochodzi z żadnej strony, powinny być baseny przeciwpożarowe. Jeśli chodzi o infrastrukturę, to bardzo źle jest widziana miejska sieć gazowa i cieplna. Nie rodzi natomiast większych problemów sieć elektryczna, zwłaszcza podziemna.

Francuski geolog Marcel Roubault, specjalista od naturalnych kataklizmów, wyliczał kiedyś kilka zdroworozsądkowych przykazań konstrukcyjnych. Przede wszystkim należy projektować budynki o mocnych, posadowionych na zwartym podłożu fundamentach. Drugą zasadą jest wznoszenie budynków o sztywnym szkielecie, niepękającym pod wpływem impulsów bocznych. Współczesne konstrukcje szkieletowe – stalowe lub żelbetowe – są wytrzymałe i mogą być lekkie (wystarczają małe przekroje nośne). W ten sposób uzyskano odpowiedź na często zadawane pytanie: Czy w strefach sejsmicznych można wznosić wieżowce? Architekci odpowiadają, że można, bo wysokie budynki są z reguły dobrze obliczone, a poza tym dysponują pewną wiotkością dla przejęcia siły wiatru, a to jest ważne także przy trzęsieniu. Nie potwierdza się dość powszechne przekonanie, że najlepiej sprawdza się podczas trzęsienia ziemi lokalna, tradycyjna architektura. Słynne japońskie domki z bambusa i papieru podczas trzęsienia w 1923 r. rozpadły się i spaliły, a ocalał wielki nowoczesny hotel Imperial zbudowany w Tokio przez Franka Lloyda Wrighta.

Na poligonach badawczych, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Japonii, nieprzerwanie eksperymentuje się z nowymi pomysłami technologicznymi. Rozważano np. projekt izolowania budynku od podłoża, tak aby drgania gruntu nie przenosiły się na konstrukcję. Rozwiązaniem byłoby posadowienie budynku na czymś w rodzaju łożyska kulkowego. Niestety, pomysł trudny do realizacji i kosztowny. Dość powszechnie stosuje się natomiast gumowe amortyzatory.

To tyle o budynkach. A co z ludźmi? Dla nich jest codzienna edukacja od najmłodszych lat, szkolenia i treningi. No i niezbędnik (Quake Kit). Podstawowa zawartość takiego niezbędnika to: gwizdek, jedna rolka papieru toaletowego, dwie świece, zapałki, cztery pudełka szpilek, pióro, mały nóż, trochę gotówki, 3–5 m mocnego sznurka, plastikowa miseczka z pokrywą, litrowa butelka z wodą, jedno wodoszczelne opakowanie biszkoptów lub krakersów. Niezbędnik jest mały, wytrzymały i może przetrwać kilka lat. Należy go przechowywać gdzieś przy futrynie drzwi wejściowych lub pod oknem w sypialni.

Niestety, wiemy już – i przyznały to władze tureckie – że region dotknięty lutowym trzęsieniem ziemi nie był przygotowany na zagrożenia sejsmiczne. Większość działań w tym zakresie jest bowiem skoncentrowana w północnej części kraju. Skutki okazały się dramatyczne. Trzęsienie ziemi to także wstrząs psychiczny. Może tureckie zdarzenia wstrząsną sumieniami?

## MORDERCZA SPECYFIKA

Każde trzęsienie ziemi ma swoją specyfikę, niestety zawsze zabójczą. W Turcji zaskoczeniem były silne wstrząsy wtórne. To dopiero one dokonały dzieła zniszczenia. Zwykle kolejne wstrząsy są znacznie słabsze (4–5 stopni) i poza paniką nie przynoszą poważniejszych skutków. Tymczasem w Turcji, po potężnym pierwszym wstrząsie (7,8 stopnia), kolejne miało siłę 6,7 stopnia, a następne były niewiele słabsze. Zaczęły się walić budynki, które przetrwały pierwsze uderzenie.

Pamiętana jest do dziś grudniowa tragedia w Indonezji (tsunami, 2004) – zatrzęsła się ziemia, ale ludzi zabiła woda. Gdy w 1923 r. zatrzęsło się Tokio, to, owszem, rozpadły się nawet słynne japońskie domki z bambusa i papieru, ale ludzie zginęli w pożarach. Podobny los spotkał w 1906 r. San Francisco; ofiar co prawda było mniej, ale spłonęła prawie cała pierwotna zabudowa miasta.

W najbardziej chyba wyrafinowany sposób rozprawiło się trzęsienie ziemi z Lizboną w 1755 r. Nie dość, że wydarzyło się w Dniu Wszystkich Świętych, to wybrało porę, gdy wielkie, kamienne kościoły były wypełnione po brzegi. W kolejnych fazach, trwających w sumie zaledwie trzy minuty, posypały się wielkie budowle oraz większość mniejszych domów i budynków. Ci, którzy przeżyli, uciekli na otwarte przestrzenie przy ujściu Tagu. Po 80 minutach od trzęsienia ziemi pochłonęło uciekinierów tsunami. Wydawało się, że przynajmniej ci, którzy przeżyli w wyższych partiach miasta, mogli odetchnąć. Niestety, rozproszone, niewielkie początkowo pożary za sprawą silnych wiatrów zamieniły się w czterodniową pożogę. Miasto, które rankiem 1 listopada 1755 r. liczyło 275 tys. mieszkańców, kilka dni później mogło doliczyć się najwyżej kilkuset.

To nie koniec „pomysłowości" trzęsień. 31 maja 1970 r. zatrzęsła się ziemia w Peru, jakieś 300 km na północ od Limy. Zniknęło wówczas z powierzchni ziemi kilka wiosek i miasteczka Yungay i Ranrahirca, razem ok. 70 tys. ludzi. Czy zginęli pod gruzami swoich domów? Nie. Dolina, w której żyli, biorąca swój początek pod Huascarán – najwyższym szczytem Peru (6768 m n.p.m.), została zasypana zwałami błota i kamieni, ale nie było to „zwykłe" osuwisko kamienisto-błotne. Pod wpływem wstrząsów pękł jęzor lodowca pod szczytem Huascarán, co wyzwoliło wielką lawinę lodową. Porwała ona ze sobą olbrzymią masę kamieni i ziemi. Dolinę zalały strumienie błota wymieszanego z wielkimi głazami i bryłami brudnego, szybko topniejącego lodu.

Czy można podczas trzęsienia ziemi zginąć wskutek... uduszenia? Oczywiście. Tak właśnie było w irańskim mieście Bam (rok 2003, 26 tys. ofiar). Zawaliły się tu domy budowane z suszonych na słońcu cegieł sporządzanych z powszechnie dostępnej miejscowej gliny. Wstrząsy sejsmiczne zamieniły je w pył, który unosił się nad całymi połaciami miasta. Ludzie uwięzieni w ruinach umierali, bo po prostu nie mieli czym oddychać.

Inna tragedia w Azji (Kaszmir, 2005) – silne (magnituda 7,6) trzęsienie na pograniczu Pakistanu, Indii i Afganistanu – też miała swoją specyfikę. Wymordowała tu całe najmłodsze pokolenie mieszkańców i bardzo dużo kobiet. Nastąpiła bowiem w porze, gdy mężczyźni byli już w polu, a młodzież w szkołach. Niemal wszystkie szkoły legły w gruzach. W swoich domach zginęły kobiety zajęte gospodarstwem.

Nie da się ukryć, że nasza walka z takim przeciwnikiem jest wciąż jeszcze skazana na przegraną.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d51214625f

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# Pierwsze polskie SPA

RYS. QBA

JACEK KOMUDA

Jeszcze przed drugą wojną łaźnia, drewniany budynek przy sadzawce lub rzece, znajdowała się przy prawie każdym domu lub zagrodzie na kresach Rzeczypospolitej. W ogólnym zarysie budowla ta przetrwała bez większych zmian od początków państwa polskiego w X w. do okresu międzywojennego tysiąc lat później. Już bowiem Ibrahim ibn Jakub, hiszpański Żyd, który podróżował w poselstwie do króla Niemiec i cesarza Ottona I, zwiedzając przy okazji liczne kraje słowiańskie, wspominał o tych udogodnieniach nieznanych na Zachodzie. „Nie mają oni łaźni – pisał – lecz posługują się domkami z drewna. Zatykają szpary czymś, co bywa na ich drzewach, podobnym do wodorostów, a co oni nazywają mech. Budują piec z kamienia w jednym rogu i wycinają na górze na wprost niego okienko dla ujścia dymu. A gdy się piec rozgrzeje, zatykają owe okienko i zamykają drzwi domku. Wewnątrz znajdują się zbiorniki na wodę. Wodę tę leją na rozpalony piec i podnoszą się kłęby pary. Każdy z nich ma w ręku wiecheć z trawy, którym porusza powietrze i przyciąga je ku sobie. Wówczas otwierają się im pory i wychodzą zbędne substancje z ich ciał”.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W powyższym opisie od razu widać różnicę pomiędzy dwoma różnymi znaczeniami słowa „łaźnia”. Dla Ibrahima żyjącego w Tortosie, w arabskim kalifacie kordobańskim w Hiszpanii, był to obiekt publiczny, wyposażony w bieżącą wodę i służący do kąpieli i rytualnego obmywania się, podobnie jak termy rzymskie zaopatrzone w baseny z gorącą wodą. Natomiast Słowianie woleli kąpiel w strugach pary, a samo słowo przyszło do nas w średniowieczu z Zachodu. Jeszcze bowiem przed drugą wojną łaźnie parowe nazywano z ruska „banią”. Jak pisze Gloger: „Używanie łaźni należało do codziennych i ulubionych potrzeb życia Polaków i na Rusi”. Książę litewski Witold używał jej na co dzień, król Władysław Jagiełło co trzeci dzień; w łaźni zresztą polski wysłannik sprawdzał, czy przyszły król nie ma czasem jakichś cielesnych defektów. Już w średniowieczu istniały publiczne łaźnie miejskie, które z biegiem czasu przekształcały się z parowych w wodne, to znaczy takie, gdzie nie tylko można było uczynić ablucję parą, a także po prostu zażyć gorącej kąpieli w balii, w miłym towarzystwie w dodatku. Dlatego łaźnia późnośredniowieczna zaczęła stawać się miejscem rozpusty, sama zresztą jej nazwa jest równocześnie synonimem aktu cielesnego.

W XVII w. nie było dworu ani bogatego domu mieszczańskiego niemającego własnej łaźni. Jednocześnie w zamkach i pałacach powstawały urządzenia kąpielowe, które zaczynały przypominać współczesne SPA lub wanny do hydromasażu. Jedną z najsławniejszych była na początku XVII w. łaźnia na zamku w Pińczowie, należącym do margrabiego Zygmunta Myszkowskiego i zapewne ufundowana przez niego pod koniec XVI w. Była to, jak opisuje w ówczesnym druku ulotnym Szymon Pistorius, budowla o dwóch pomieszczeniach. W pierwszym znajdowały się liczne malowidła i… bicze wodne. Woda leciała z sufitu, podłogi i ze ścian, na podobieństwo dzisiejszego hydromasażu. Umieszczono tutaj dwa posągi kobiet, z których pierwsza trzymała w ramionach pieska, a z jej piersi miało płynąć mleko. Drugi posąg przedstawiał niewiastę z misą, oblewał gości wodą ciepłą lub zimną. W niszach czuwała służba – chłopięta podający miody, piwa i wina zażywającym kąpieli. Znajdowała się też tutaj kolumna zwieńczona posągiem chłopca trzymającego rybę, a na niej głowy lwów zakończone kranami, z których lała się woda. Była też fontanna w kształcie róży, malowana złotem i srebrem, która na przemian ochlapywała gości ciepłą i zimną wodą.

Drugie pomieszczenie było właściwą łaźnią, czyli według Pistoriusa „cieplicą”. W jej wnętrzu umieszczono płaskorzeźby lwa i niedźwiedzia, z których pysków leciała woda, a na dotyk reagowały wydawaniem zwierzęcych ryków. Pomieszczenie ogrzewał piec w formie wieży, zapewne służył on także do tworzenia pary. Pod oknem znajdował się stół do podawania posiłków, które także spożywano w łaźni. Ciekawostką był szklany ul, w którym widać było uwijające się pszczoły.

Obydwa budynki łaźni ozdobiono licznymi inskrypcjami. Jedna z nich głosiła: „Boże, twórco wszechrzeczy, studnico mądrości, dodaj temu z łaski swej takiej roztropności: który w bojaźni twej tu dał pobudować, aby za taką łaskę umiał podziękować”. Inna zaczynała się od słów: „Cnotę, zacność, urodę, korzyść obyczaje, sam Pan Bóg te ozdoby człowiekowi daje…”.

Dziś po sławnej łaźni Myszkowskiego nie pozostał żaden ślad. Zamek – zrujnowany w XVIII w. i odziedziczony przez Wielopolskich – został rozebrany pod koniec stulecia. Może tylko przypadkiem ocalał z niego tylko jeden pawilon ogrodowy – pozostałość rezydencji, która na początku XVII stulecia zadziwiała przyjezdnych. ©℗


eprasa.pl d51214625f

SIOSTRY GOTUJĄ

# Na Rozbarku

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Odwiedzamy czasem nasz rodzinny Bytom, a miła okazja ku temu pojawiła się w styczniu, gdy proboszcz parafii św. Jacka na Rozbarku zorganizował koncert kolędowy. To parafia rodzinna naszego ojca, dlatego miejsce to ma dla nas szczególne znaczenie.

Kościół św. Jacka wzniesiony w 1911 r. na miejscu dawnej kaplicy, w której prawdopodobnie przebywał św. Jacek Odrowąż, odcina się swoją piękną, jasną bryłą od pociemniałych kamienic. Wnętrze wypełniają malowidła i rzeźby śląskich artystów, jest tu także zamontowana pętla indukcyjna, więc osoby niesłyszące mogą brać udział w wydarzeniach kulturalnych, które proboszcz ks. Krzysztof Karkoszka organizuje regularnie. Nie samym przecież chlebem żyje człowiek, prawda?

Przyznać jednak trzeba, że chleb na Śląsku jest doskonały. Nasz dziadek ze strony taty był piekarzem, dlatego też upodobanie do dobrego pieczywa mamy w genach. Za dobrym chlebem jesteśmy w stanie pojechać znacznie dalej niż do najbliższego sklepu.

Po koncercie ksiądz proboszcz zaprosił Fundację Rozbark, Dzieło św. Mikołaja, artystów i nas na plebanię na kolację. W pierwszej kolejności nasz wzrok powędrował do koszyczka z pieczywem. A tam znajdował się – a jakże! – znakomity prawdziwy śląski chleb! Jasny, dobrze wypieczony, z ciemną skórką odstającą od miąższu.

Kiedy mówimy „kuchnia śląska", myślimy: rolady, kluski śląskie i modra kapusta. I słusznie, to danie sztandarowe każdej śląskiej gospodyni. Ale kuchnia ta ma wiele innych ciekawych potraw. Jej specyfiką jest np. zaczynanie przyjęcia czy spotkania od... ciasta i kawy. Tutaj także miałyśmy wybór – albo od razu żurek, albo kawa i ciasto. Wybrałyśmy żurek i dobrze, bo deser nas naprawdę zaskoczył. Ciasto było rewelacyjne i – prawdę mówiąc – poprosiłyśmy jeszcze po kawałku na wynos. Uprosiłyśmy także gospodynię księdza o przepis i dała go nam, wyjmując stary zeszyt w kratkę.

Przepisałyśmy i oto on:

### Ciasto orzechowe z Rozbarku

przepis na małą blaszkę

**Biszkopt:** • 6 jaj • 6 łyżek cukru • 1 cukier waniliowy • 5 łyżek mąki pszennej • 1,5 łyżki kakao • 1 łyżeczka proszku do pieczenia

Żółtka ubijamy z cukrem, dodajemy delikatnie mąkę, kakao, proszek do pieczenia, białka ubijamy na sztywno, łączymy z pozostałą masą. Pieczemy 25 min w temperaturze 180 st. C. Po upieczeniu wyjmujemy z blaszki, skrapiamy wodą z cukrem, przesmarowujemy warstwą dżemu z czarnej porzeczki.

**Masa orzechowa:** • 35 dag orzechów włoskich zmielonych wsypać do • 1 kostki przetopionej margaryny. Dodać • 7 łyżek mleka, • 7 łyżek cukru i • 2 łyżeczki cukru waniliowego. Zagotować i ostudzić, ciągle mieszając. Wystudzoną zimną masę nakładać na przygotowane wcześniej ciasto. ©℗

FOT. ADOBESTOCK (X2)

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

# Mister pączek

JOANNA BOJAŃCZYK

Przed nami ostatki i tłusty czwartek, a więc festiwal pączków. Mamy szanse wyrobić całoroczną normę pączkową. Będą konkursy na mistera pączka, bohaterskie próby abstynencji, zaniżanie wyników konsumpcji, walki karnawału z postem. Poczucie winy, że zjadło się za dużo. Jednym słowem: przez parę dni pączek będzie bohaterem narodowym.

Słusznie. Oto niezrównany Robert Makłowicz w krakowskim kwartalniku „Herito" (niedawno przeze mnie odkrytym, a bardzo ciekawym), zapytany o to, co w kuchni polskiej mamy wyjątkowego, odpowiada bez wahania: „Pączki". „Rozpowszechnił je kongres wiedeński, bo krapfen robiono również w Austrii. Tylko że nigdzie indziej nie robią pączków z różą, tak jak u nas. I właśnie w książce o kuchni krajów koronnych Wagnera nasze pączki z nadzieniem z róży ucieranej z cukrem figurują jako absolutny rarytas. Gdyby się nimi naprawdę pochwalić, sczezłyby wszystkie nugaty we Francji, które są niejadalne, paskudne, a miliony Japończyków przyjeżdżają, żeby tylko ich dotknąć. Pączki z różą to jest coś ekstraordynaryjnego!".

Sto razy tak! I dodam, że nazywanie donatów/doughnut pączkiem (co robią niektórzy tłumacze) jest obrazą dla naszego króla ostatków. Obrazą dla szanującego się pączka jest również nadzienie budyniowe, przemysłowe świństwo. Jeżeli już nie z różą, to niech w środku pączka będzie chociaż farsz owocowy. Budyń to analfabetyzm kulinarny, taki sam jak kolorowa posypka (amerykański kicz) czy czekolada na wierzchu. Porządny pączek ma na sobie lukier i kawałki skórki pomarańczowej, a w środku różę. Co rzekłszy, pozostanę fanką Bliklego, wbrew krążącym od dawna po mieście pogłoskom, że Blikle się skończył. Może się i skończył, ale w kategorii „pączki" wciąż jest the best. Od 150 lat.

W tym samym numerze „Herito" jest ciekawy artykuł o cukrze i cukrownictwie. „W kawiarniach krakowskich żądajmy podwójnych porcji cukru! Pobudza umysł, regeneruje nerwy, cukier krzepi" – zachęca reklama w gazecie z lat 30. ubiegłego wieku. Można się tylko uśmiechnąć, gdy porównamy to z obecnym stanem wiedzy na ten temat. Kilkadziesiąt lat później cukier okrzyknięto przecież białym wrogiem ludzkości, substancją uzależniającą i niosącą wszelkie zło cywilizacji. Równo 100 lat po owej krakowskiej reklamie, czyli w roku 2030, na świecie będzie więcej ludzi otyłych niż niedożywionych. Tako rzecze Światowa Organizacja Zdrowia.

Co zatem z pączkiem? On trwa na swojej pozycji, która na razie wydaje się niezagrożona badaniami WHO. I niech tak pozostanie. ©℗



eprasa.pl d51214625f

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

# Gotowce na niepokornych

W grudniu pisałem o zbiorowych procesach lekarzy oskarżonych o covidowe herezje. Otóż uprzejmie donoszę, że sprawa rozwojowa jest. Jako że zbliża się „proces poznański" (19 podsądnych) oraz „gdański" (52), sądy przy wyznaczonych izbach lekarskich się przygotowują. Po wpadkach, zaskarżonych, z procesami, np. dr. Martyki, które zostaną położone merytorycznie i proceduralnie, odbyły się jakieś szkolenia prawnicze dla sądzących lekarzy ze składów. Można sobie wyobrazić sytuację odwrotną – kursy medycyny dla sędziów. Bo skoro medycy mogą orzekać, to czemu sędziowie po krótkim kursie nie mogliby leczyć?

A jest się o co martwić. Składy orzekające pełne są „fachowców" nie tylko w sensie medycznym. I z tym jest słabo – bo np. w Poznaniu będzie przewodniczył ginekolog, znany z adaptacji piosenek Elektrycznych Gitar wymierzonych w antyaborcyjną Kaję Godek, a pomaga mu wicek od medycyny nuklearnej. To tym bardziej trzeba ich wesprzeć prawniczo, skoro i tu, i tu klops.

Ale jest jeszcze lepszy smaczek. W przygotowaniu akcji uczestniczy Naczelny Sąd Lekarski i ostatnio wypłynęło pismo jego przewodniczącego, pana doktora Jacka Miarka, wysłane do izb, w którym pochwalił się uniwersalną ekspertyzą do stosowania w sądzeniu lekarzy niepokornych. Po pierwsze – Izba wydała kaskę lekarzy na „znakomitych prawników", by dowiedzieć się, jakie są na składkowiczów myki. Po drugie – fajnie by było zobaczyć zarówno taką opinię w zakresie „korzystania z wolności słowa", jak i listę znakomitych autorów. Po trzecie – mamy kategorię jednego wora oskarżonych: antyszczepionkowców, choć gros z pozwanych lekarzy nie zająknęło się na temat szczepionek. Po czwarte – chodzi o opracowanie szymelu na każdego, choć postępowanie sądów zakłada indywidualizację przypadku, jest to także niedozwolona presja na składy orzekające. Po piąte – Naczelny Sąd Lekarski próbuje wyznaczyć sam dla siebie „linię orzeczniczą", choć ta jest prerogatywą formalną Sądu Najwyższego, a lekarze w swoim – jak widać – coraz bardziej wątpliwym samorządzie nie są od realizowania prawnej linii orzeczniczej, ale co najwyżej od oceniania, czy dane przypadki odpowiadają praktyce lekarskiej i wiedzy medycznej.

A – jak widać – nie robią nawet tego, za to w kontekście prawnym proponuje im się gotowce, by już, nie tylko zbiorowo, lecz także jednakowo osądzić paczki medyków „zaproszonych" na rozprawy. Nie wiem, czy istnieje pojęcie „zbrodni sądowej" w obszarze sądów branżowych. Ale jeśli nie istnieje, to właśnie się rodzi. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

# Lekarz wierny Życiu

W pokoleniach 50-, 40- i 30-latków żyje spore grono Polaków, którzy urodzili się, ponieważ ich rodzice zostali przekonani, by odstąpić od dokonania aborcji. Nie mniejsza grupa osób urodziła się dlatego, że ich rodzice zdołali przezwyciężyć niepłodność. Człowiekiem, który w obu tych obszarach miał ogromne zasługi, był dr Włodzimierz Fijałkowski. 15 lutego mija 20 lat od śmierci wspaniałego lekarza, niestrudzonego obrońcy życia, „ojca" polskich szkół rodzenia i promotora ekologii rodziny.

Urodzony w 1917 r. żołnierz września, działacz podziemia, więzień niemieckich obozów zgłady wybrał zawód lekarza jako misję służby Życiu, Polsce i społeczeństwu. Zawodowa kariera położnika zostaje przerwana, gdy wchodzi stalinowska ustawa aborcyjna. Sprzeciw dr. Fijałkowskiego wobec nieludzkiego prawa jest przykładem dla innych lekarzy, a gdy nasilają się naciski, mówi znamienne słowa: „Jako człowiek – odmawiam!".

Za bezkompromisowość traci pracę w Akademii Medycznej, ale znajduje słuchaczy w innych miejscach. Z pasją poświęca się kształceniu pracowników służby zdrowia i nauczycieli. Jeszcze przed upowszechnieniem badań USG uświadamia i uczy, kształtując szacunek do ludzkiego życia od pierwszych chwil fazy prenatalnej. Widząc znieczulicę personelu medycznego i potężne szkody psychiczne wywołane uczestnictwem w zabiegach aborcji, walczy o zmianę mentalności w szpitalach.

Sporo czasu poświęca też psychoprofilaktyce okołoporodowej, organizując szkoły rodzenia. To on pierwszy przygotowuje małżonków i wprowadza porody rodzinne. Swoje obserwacje i przemyślenia spisuje w popularnonaukowych broszurach, książkach i licznych podręcznikach. Widząc spustoszenie, jakie w obszarze zdrowia prokreacyjnego wywołują rozwiązły tryb życia i w konsekwencji choroby przenoszone drogą płciową, przygotowuje naukowe podstawy wychowania do życia w rodzinie. Propaguje wstrzemięźliwość i czystość przedmałżeńską jako jedną z zasad ekologii rodziny.

Jego walka o przywrócenie godności kobietom – matkom na porodówkach – znajduje szeroki rezonans w ogólnopolskiej akcji „Rodzić po ludzku". Tylko że Fijałkowski nie zgadza się na selektywne traktowanie programu, wskazując sprzeczność, w której plączą się organizatorzy, promując jednocześnie antykoncepcję, wypreparowując akcję z zasad etyki seksualnej. Jest prekursorem naturalnego planowania rodziny. To, że Polska ma jedną z najlepszych ustaw chroniących życie, niewątpliwie zawdzięczmy Fijałkowskiemu. W czasie, gdy nasilają się represje wobec odważnych lekarzy, Fijałkowski może być wzorem wierności przysiędze Hipokratesa. ©℗



eprasa.pl d51214625f

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

# Radek prestiżem otoczony

Tilt śpiewał sobie kiedyś: „Nie wierzę politykom, nie". Stop. Mnie się to przypomniało w związku z gorącą sprawą, zwaną „Willa Plus". Stop. Opozycja zarzuca ministrowi Przemysławowi Czarnkowi, że kradnie publiczne pieniądze, przeznaczając je dla swojaków, natomiast sam minister Czarnek w pełnym emocji przemówieniu w dużej syntezie nazwał opozycję złodziejami. Stop. Komu nie wierzyć? Stop. Normalnemu ludziowi to niełatwo wgryźć się w meandry mechanizmów i rozstrzyganie winy, więc albo przyjmie na wiarę wytłumaczenia któregoś z obozów, albo zaśpiewa sobie piosnki Tiltu ciąg dalszy: „Oni mają swoje sprawy, o których my nic nie wiemy. Ha ha ha ha ha ha ha ha ha ha ha ha". Stop.

W zapomnienie nie pójdzie występ posła wodzireja Janusza Kowalskiego, który jako naturszczyk energetyk z mównicy sejmowej poderwał do brawowania nielekkie cielsko parlamentarne. Dobra tam, pół cielska. Stop. Zażądał on otóż od posłów bezkrwawego powstania i decybelowego aplauzu ku czci ministra Czarnka – i stało się. Stop. Nie było łatwo, ale na stojaka, klaskaniem, mając obrzękłe prawice, wstrząsano budynkiem przy ulicy Wiejskiej oraz producentami memów, którzy z tej okazji zwiększyli produkcję niczym prawdziwi przodownicy pracy. Stop. Są efekty. Niestety. Stop.

Znów się pismaki czepiają policji obywatelskiej. Stop. Teraz czepili się małopolskiego komendanta wojewódzkiego, nadinspektora Michała Ledziona, chociaż chłopina nawet nie miał granatnika. Stop. Policja wojewódzka kupiła wypasmercedesa za ponad 400 tys. polskich i jakiś cwaniak przyuważył, że komendant nim jeździ, chociaż ma już do użytku dobrze wyposażoną (także w kierowcę) skodę. Stop. A niby kto miałby mesiem w policji się turtlać? Krawężniki? Żeby krawężnikami felgi pouszkadzały? No luuudzie! Stop.

Dziennikarz „Polityki" zapytał Radosława Sikorskiego, czy aby nie żałuje swoich wypowiedzi o wojnie, choćby o rzekomych refleksjach naszej władzy nad Ukrainy rozbiorem. Stop. Wtenczas Radek rzekł, że on został uznany za jednego ze stu na świecie najtęższych intelektualistów, przez wpływowy miesięcznik „Foreigen Policy", za to, że mówi prawdę, nawet jeśli nie jest to dyplomatyczne. Stop. Aż sprawdziłem. Stop. Poniekąd jest to prawda, choć sprawa dotyczy roku 2012 i na liście znaleźli się na wpływowych miejscach inni tędzy myśliciele. Stop. O ile nasz kochany Radek zajął pozycję 85, o tyle np. liderka rosyjskiej grupy Pussy Riot, Maria Aliokchina, zajęła miejsce 12. Stop. Według Wikipedii nazwa „Pussy Riot" tłumaczona jest jako „Bunt Cipek", bądź „Bunt Kotków". Ładnie. Prestiżowo. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

# Polskie szczucie i trucie

Małgośka, mówią mi, skoro jest z ciebie taka entuzjastka dozbrajania Ukrainy naszym kosztem, to dlaczego nie oddasz im swojego glocka 17? Takie absurdalne zaczepki mają oczywiście tę wartość, że kompromitują pytającego. Nie sądzę, aby mój pistolet (przypomnę, że mam licencję) spełniał warunki kluczowej dostawy uzbrojenia w ramach międzynarodowej koalicji pancernej, którą Polska słusznie popycha do działania. Nie posiadam niestety leoparda, nad czym ubolewam, bo byłby to jedyny pojazd, którym mogłabym wreszcie zaparkować bez obaw o lakier, a następnie przekazać go na Wschód. Widać też niestety więcej samochwalczej retoryki Zachodu niż jego realnej pomocy dla Ukrainy, stąd nasza rola „żandarma", który zmusza innych, ale sam też wykazać się musi jako prymus, zwłaszcza że rachunek geostrategiczny każe tak właśnie postąpić.

Dlatego obawy o rozbrojenie Polski traktuję jako stan absolutnej niewiary w rozsądek i dobrą wolę rządzących (co musi dziwić na prawicy) lub, niestety, szukanie aplauzu w posępnych rewirach bractw antyukraińskich. Ta ostatnia postawa boli mnie najbardziej, bo jako człek wychowany na Lubelszczyźnie często obserwowałam pogardę czy wyższościowe spojrzenie na ludzi ze Wschodu szukających tu godnej pracy. Do dziś pamiętam, jak sąsiad mego dziadka (też sadownik) zatrudnił pół setki Ukraińców do zbioru jabłek, umieszczając ich pokotem w jakiejś przybudówce. Najgorsze, że wbrew elementarnym zasadom – bo dla zysku – opryskał wcześniej jabłonie preparatem, który nadawał skórce specjalną barwę i połysk. Ani myślał jednak ostrzec ludzi, że przez parę najbliższych dni będą zrywać trujące owoce. Karetki kursowały na posesję sąsiada, wożąc ludzi w konwulsjach, bo nieszczęśnicy podjadali jabłka przy zbiorze. I choć mój dziadek nie był przesadnym sympatykiem ludzi Wschodu, za to człowiekiem niezmiernie wyczulonym na ludzką krzywdę, to zorientowawszy się, co zaszło, gonił sąsiada po sadzie ze sztachetą przez kwadrans za to właśnie, że ten okazał się bestią, która ujmę dla polskiego honoru przynosi.

Tak paskudne traktowanie Ukraińców tylko jako taniej siły roboczej w końcówce lat 90. wydawało się niektórym normą, a może nawet pocieszną odpowiedzią na Wołyń. I powiem więcej: dopóki ludziom takim jak Sykulski, Korwin-Mikke i Braun pozwala się otwarcie głosić niezwykle groźne idee, dopóty ja się czuję niepewnie we własnym kraju. I nie mam wątpliwości, że gdyby mój dziadek jeszcze żył, to chciałby ich pogonić daleko za miedzę ruskiego miru. Z korzyścią dla nas wszystkich. ©℗



eprasa.pl d51214625f

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Dzień, w którym zabrakło wódki

JOANNA SIEDLECKA

Tacy zbrodniarze jak Stalin i Hitler nie umierają, tylko kitują – mówił znany rysownik Franciszek Starowieyski. I gdy 5 marca 1953 r. dziobaty syn szewca z Gori wykitował, cieszył się. Także jako meloman, bo do 9 marca, czyli dnia pogrzebu, zamiast pieśni „musowych" typu „Do roboty!" radio nadawało wyłącznie znakomitą muzykę poważną: Beethovena, Bacha, Czajkowskiego.

Cieszył się nie tylko Starowieyski – dzień śmierci „Przywódcy Ludzkości" był jedynym w Polsce dniem, w którym zabrakło w sklepach wódki – towaru, którego nigdy nie brakło. Śmierć tyrana niosła nadzieję na lepsze, na zelżenie terroru, i zdecydowana większość Polaków nieoficjalnie oczywiście świętowała, a na pytanie: „Na co zdechł Stalin?", odpowiadała: „Na szczęście!". Oficjalnie musiała jednak wziąć udział w wyreżyserowanym przez władze spektaklu żałoby.

Raporty UB oraz istniejącej wówczas Specjalnej Komisji do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym pokazały jednak prawdziwe nastroje „osieroconego" narodu. Właśnie wtedy wzrosła dziesięciokrotnie liczba wymierzonych przez Komisję kar – grzywny, zesłania do obozu pracy w Jaworzu, karnej brygady w kopalni. Głównie za tzw. szeptankę – rozpowszechnianie fałszywych wiadomości.

Karano niemal za wszystko, a często zbiorowo. „Do gospody wpadł młodzieniec w pilotce i z okrzykiem: »Zdechł pies!« rozbił wiszący tam, jak wszędzie, portret Stalina. W mieście i okolicy aresztowano wszystkich młodych ludzi w pilotkach" – pisała Maria Dąbrowska 30 marca 1953 r.

Karano księży, którzy nie uruchamiali dzwonów w dniu pogrzebu, przecinali liny. Karano za oczy wydłubywane Stalinowi na wszechobecnych portretach, za „samorodną twórczość wychodkową" np.: „Sraj na trumnę Lenina / Sraj na trumnę Stalina / Sraj na cały ten świat pieski / Tylko nie sraj na te deski!". Organizatorów żałobnych akademii – za nieodpowiednią atmosferę. Jak pisała po którejś z nich Maria Dąbrowska: „Nie zauważyłam ani jednej twarzy, która byłaby zasmucona. Obojętność, a przy wyjściu zwyczajne wesołe ożywienie".

**Dzień śmierci „Przywódcy Ludzkości" był jedynym w Polsce dniem, w którym zabrakło w sklepach wódki – towaru, którego nigdy nie brakło**

Dzień śmierci Stalina był też, zdaniem Jana Nowaka-Jeziorańskiego, szefa Wolnej Europy, dniem największego poniżenia polskich twórców. Choć za odmowę groziło najwyżej nieistnienie, los Herberta czy Tyrmanda, to większość z nich nie potrafiła się na to zdobyć. Z nielicznymi wyjątkami, np. redakcji „Tygodnika Powszechnego", zamkniętego za odmowę publikacji nekrologu Stalina czy też znakomitego rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego. Wziął za pomnik Stalina bajońską zaliczkę, ale jego dzieło rozwścieczyło Bieruta i spoczęło w magazynach. Warszawa pozostała jedyną stolicą w demoludach bez pomnika tyrana. Topornie wyrzeźbiony miał bowiem olbrzymie nogi – buciory, którymi mógł zmiażdżyć świat, zaciśniętą groźnie pięść, policzki wydęte tak, jakby pluł na ludzi.

Jednak pozostali twórcy, i to najzdolniejsi, cyniczni lub otumanieni, szlochali, płakali prawdziwie lub na pokaz, żegnali „geniusza" trenami, odami, peanami, tak, jak np.: Artur Międzyrzecki: „Przyszło / Za gardło ścisnęło / Mijały doby / Słuchaliśmy do rozpaczy / Bolejący i niemi / Stalin, Duma naszych dni / Największy z ludzi na ziemi" (marzec 1953 r.); Jerzy Ficowski „Gdzieś głęboko w sercu ukrywałem / Promyk wiary dziecięco naiwnej / Że śmierć z Twoim nie spotka się ciałem / i że Ono nigdy nie ostygnie (5 marca 1953 r.); Wisława Szymborska: „Oto Partia / siła ludów i sumienie / Nic nie pójdzie z Jego życia w zapomnienie, [...] Pod sztandarami rewolucji / wzmocnić warty!" („Ten dzień"); Konstanty Ildefons Gałczyński: „Krzyczy Wołga / Szlocha Sekwana / Woła Dunaj / Jęczą rzeki chińskie / Broczy Wisła jak otwarta rana / Lamentują potoki gruzińskie"; Adam Ważyk: „Mądrość Stalina / Jak rzeka szeroka / W ciężkich turbinach / przetacza wody / płynąc wysiewa / pszenicę w tundrach / zalesia stepy („Rzeka"); Leon Kruczkowski: „Kochaliśmy Go, Jak Ojca i Przyjaciela"; Julian Przyboś: „Śmierć Stalina oniemia". Julian Tuwim nie mógł wykrzesać z siebie wiersza, przełożył więc z rosyjskiego na polski poemat Aleksandra Surkowa „Nas wolą swoją Stalin wiódł". ©℗



eprasa.pl d51214625f

# RZĄD ŚWIATOWY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

*Wojciech Cejrowski*
*korespondencja z USA*

Byłem w sklepie ze zdrowym jedzeniem – krowy z farmy, świnie bez hormonów, jaja bez GMO – i pani przede mną była w masce i kupiła sobie sztuczne „parówki" z soi, czyli paszę dla ludzi, którą Bill Gates chciałby dać wszystkim na planecie. Ta pani wyglądała mi na woka (spolszczenie angielskiego „woke", wymyśliła moja koleżanka). I niech se ta pani kupuje paszę z soi. I każdy jeden niech se kupuje, byle nikogo nie ZMUSZAŁ do tego samego. A jeśli ktoś lubi oddychać własnym $CO_2$, niech se chodzi w masce ad mortem defecatam. Jego wybór. Ale woki tak mają, że chcą innym odebrać prawo wyboru.

***

Woki wyboru nie dają i robią się agresywne jak komsomolcy. W 2020 r. zaatakował mnie jeden taki z jakiegoś wybudzonego koledżu. Najeżdża na mnie wózkiem w sklepie i mówi: „MASKA GDZIE?". Ja mu na to: „Ty załóż dwie, wyjdzie na to samo".

Od logiki zgłupiał...

– Ale jak dwie? – pyta.

– Twoja chroni cię tak jak teraz, a ta druga będzie cię chronić od tego, co ja wydycham bez maski.

Woki są nieodporne na wywody logiczne i z logiką trzeba przy nich uważać. Ich idee są absurdalne, logika to wykazuje, więc logika ich rozjusza. Niestety, teraz to oni zaczynają rządzić światem z powodu zwyczajnej wymiany pokoleń – ludzie normalni idą na emeryturę, a woki dorosły i wchodzą na stanowiska. Wok znaczy „wybudzony". Wcześniej żył w letargu, a teraz się wybudził i zorientował, co jest nie tak z całym światem. Świat jest seksistowski i rasistowski, i koniecznie trzeba się zająć klimatem. Woki weszły na rynek pracy razem ze swoją rewolucją – świat ma się zmienić radykalnie i szybko, bo inaczej katastrofa. Wcześniej mogliśmy woków lekceważyć jako sektę pryszczatych świrów, teraz trzeba się ich bać i aktywnie zwalczać.

***

Wok objął stanowisko w Lidlu i nakazał zmniejszanie dostępności mięsa na rzecz „zastępników" (na razie tylko w Niemczech). Kiedyś dyrektor sklepu odpowiadał na popyt – ludzie chcą mięsa, więc sprzedaję mięso. Teraz dyrektorem jest wok i liczy się rewolucja, a nie potrzeby klientów i zysk.

W Polsce przyznano emerytury dla zwierząt, które pracowały w policji, oraz „500+" na kota. Państwu się to wydaje normalne? Europosły chcą, by zarzadzanie lasami przenieść do UE. Zakaz wchodzenia do lasu i zbierania grzybów. Tak było w czasach feudalnych, a kto nie lubi podręczników, może poczytać „Robin Hooda".

Parlament UE jest cały „wybudzony" i dlatego nie warto tam bywać, nie warto kandydować na europosła, nie warto wdawać się w dysputy z oczadziałymi rewolucjonistami – trzeba uciekać. To już nie powinien być polexit, lecz EWAKUACJA RP.

***

Radą na seksizm jest wymyślanie kolejnych płci oraz nowych zaimków zastępujących „on" i „ona". Polacy zgodzili się grzecznie na faceta w sukience, który był posłem RP z fałszywym wpisem w dowodzie, że jest kobietą. Nie był kobietą – uważam, że był świrem i tyle. Był testem na to, ile zniosą Polacy w ramach wymiany świata na całkiem nowy.

Ktoś jest kobietą, bo tak sobie życzy? W USA jest wysyp przypadków, gdy osadzony w więzieniu gwałciciel deklaruje, że on się czuje kobietą, i go przenoszą do więzienia dla kobiet, gdzie gwałci na lewo i prawo. Dla woków to normalne, że sobie możesz wybrać płeć, ale to nadal nie jest normalne obiektywnie, prawda? Woki to niebezpieczne świry, trzeba je zwalczać.

***

Kluczowym pomysłem tej światowej rewolucji jest jeden rząd dla całej planety, który wprowadzi Nowy Porządek Świata (NWO). Do tego zmierzają kroki pośrednie typu: WHO, Davos, ONZ, UE. I to nie jest teoria spiskowa, lecz cele oficjalnie deklarowane. A logiki przestali uczyć w szkołach, bo gdyby podejść do tej koncepcji z logiką, łatwo wykazać, że jest okropna, niebezpieczna, zabójcza.

Gdy rząd światowy popełni jeden błąd, to błąd ma skalę całego świata i skutki dla całej ludzkości. Dlatego niebezpiecznie jest mieć rząd światowy. Niebezpiecznie, bo każdy błąd takiego rządu będzie miał skalę katastrofy planetarnej. Gdy myli się Morawiecki, skala pomyłki obejmuje jedno państwo. Gdy pomyli się rząd światowy, nie ma czego zbierać. Dlatego lepszą koncepcją jest mieć wiele różnych rządów i wtedy jeden wymyśli coś, a inny wymyśli coś innego, być może lepszego. Testowaliśmy to w pandemii, gdy rządy nad światem przejęło WHO – na pandemię była tylko jedna koncepcja i dzisiaj wiemy, że była zła.

Przeciwnicy konkurencji między państwami, ideami, między systemami (np. kapitalizm-socjalizm) mówią o wojnach, które skończą się, gdy nastanie jedna władza na całej planecie – wtedy nie będzie miał kto z kim walczyć. To nieprawda. Zawsze ktoś będzie walczył. Ja będę walczył do upadłego z samą ideą rządu światowego i nie będę w tym sam.

Rząd światowy nie wygasi wojen, tak jak nie wygasił ich rząd Rwandy na własnym terenie – w miejsce wojen międzypaństwowych pojawią się te same wojny, pod inną nazwą: plemienne, narodowościowe, domowe. Na Bałkanach mieliśmy przykłady, że nikt nie wymusi siłą, żeby Serbowie zaczęli kochać tych drugich.

***

Gdyby w jednym z wielu państw świata nastała dyktatura, masz dokąd uciekać – ludzie z Kuby uciekają do USA, z Korei Północnej do Południowej, a gdyby rząd światowy wprowadził dyktaturę, dokąd uciekniesz? A wprowadzi i wiemy to na pewno, bo każda władza w historii świata dąży zawsze do większej władzy. Nie istnieje władza, która dobrowolnie oddaje władzę. A poza tym rząd światowy ogłasza już teraz, że będzie socjalistyczny, jego wzorcowym modelem są Chiny, czyli dyktatura marksistowska. ©℗



eprasa.pl d51214625f

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

**Uwaga: nowe ceny!**

# ROCZNA PRENUMERATA

## TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+

**W PREZENCIE**

**KSIĄŻKA**

TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI:
„II WOJNA ŚWIATOWA POLAKÓW W 100 PRZEDMIOTACH"

**ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

~~1183~~ ZŁ

**363,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 820 ZŁ**

### CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d51214625f

AKADEMIA NBP
NARODOWY BANK POLSKI

AKADEMIA KOPERNIKAŃSKA

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

# Akademia NBP podjęła współpracę z Akademią Kopernikańską.

**Efektem współpracy będzie realizacja specjalnego programu edukacyjnego w zakresie bankowości centralnej oraz dorobku naukowego Mikołaja Kopernika i innych ekonomistów upamiętnionych monetami i banknotami kolekcjonerskimi NBP.**

Zobacz wyjątkowy banknot kolekcjonerski *Mikołaj Kopernik*.

Dowiedz się więcej o inicjatywach edukacyjnych Narodowego Banku Polskiego podczas Światowego Kongresu Kopernikańskiego w dniach 19–21 lutego 2023 r. w Toruniu.

Patroni medialni:

obserwator finansowy.pl

NARODOWY BANK POLSKI

BANK I KREDYT
BANK & CREDIT

Więcej informacji na:
akademia.nbp.pl

eprasa.pl d51214625f